BEZ ZIEMI I BEZ NIEBA

STANISŁAW SZPOTAŃSKI

BEZ ZIEMI I BEZ NIEBA

POWIEŚĆ

NAKŁAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA
POZNAŃ — WARSZAWA — WILNO — LUBLIN

Nr 1341 A
KS. ARCHIWALNY
w Białymstoku

884-311,2

3237

TŁOCZONO W DRUKARNI ŚW. WOJCIECHA W POZNANIU
NA PAPIERZE Z WŁASNEJ FABRYKI PAPIERU „MALTA".

I.

Nad grubym, ochrypłym bełkotem chłopów, stłoczonych w karczmie i cisnących się koło szynkwasu, zapanował przez chwilę płaczliwy głos urzniętego z kretesem człeczyny.

— Nie róbcie tego, ludzie, nie róbcie! Nie róbcie, krześcijany!

W zgrabiałej ręce dygotał mu półkwaterek, i wódka rozlewała się po palcach. Dla utrzymania równowagi rozstawił szeroko nogi i, pochylając się wtył, pił powoli, ostrożnie. Stuknął wypróżnionym półkwaterkiem.

— Nalij, żydzie! Nalij, powiadam ci! Nalij, kiej mówię!

Rozełzawił się doreszty i, bijąc się w piersi, prawił:

— Ciężka jest nasza chłopska krzywda, ale nie róbcie tego! Serdecznie wam mówię, nie róbcie! Panu Bogu ofiarujcie swoje krzywdy! Panu Jezusowi! Niech rozpatrzy!

— Do mnie ty, co tam gadasz! Chodź tu!

— Szela cię wołają! Idźże!

Nie rozumiał i nie słyszał. Powtarzał uparcie:

— Nie róbcie tego, ludzie! Nie róbcie, krześcijany!

— Chodź tu do mnie! Słyszysz?!

Chłopina wybałuszył oczy i zaniemiał. Patrzył osłupiały w koniec izby, w kierunku stołu, skąd grzmiał rozkaz. Popchnięto go tam, aż się zatoczył. Koło stołu siedział stary, osiwiały już człowiek, ale trzymający się dziarsko, krępy i muskularny. Kożuszek miał na sobie krótki, pokryty suknem, wojskowe spodnie lansdragońskie, buty długie, nowe, mocno natarte łojem. Krótkie wąsy miał uczernione, co przy siwych baczkach, brwiach i włosach oraz kaszkiecie, na ucho nasuniętym, bardziej mu jeszcze nadawało postać przebranego za cywila austrjackiego feldfebla. Otaczający go chłopi tworzyli przy nim jakby straż. Nie mieszali się z kupą i pili z osobnej flaszki, stojącej na stole.

— Ktoś jest?

— Jo?

— Ady ty!

— Jo to jestem Antoni Wrona.

— Skądeś?

— Stąd.

— Skądeś? — pytom!

— Z Kopalina.

— Pańszczyznę odrabiasz, czy nie odrabiasz?

— Juści, że odrabiam.

— Dobrze ci z nią?

Chwilowa przytomność znowu opuściła Wronę. Chwiał się na nogach i łypał oczami pod przeszywającym go wzrokiem Szeli, jak człowiek nagle

TŁO
NA P

ze snu przebudzony, gdy spojrzy w ostre, jaskrawe światło.

— Nie wisz! To ty pewnie tyż nie wisz, czy cię bito po pysku, czy nie! Czy ci portki spuszczano, czy nie! A wisz ty chociaż, że cysorz pańszczyznę skasował?

Chłopi cisnęli się do nich jeden przez drugiego, jedni przez ramiona drugich wystawiali głowy. To, co Szela mówił, słyszeli już po sto razy, ale chcieli słyszeć jeszcze, gdy to mówił napozór do samego Wrony. Słychać go było na całą izbę. Waląc pięścią w stół, krzyczał:

— Mnie pytoj, a ci powim! Cysorz pańszczyznę skasował. Czytoł mi list cysorski starosta tarnowski, pan Breindel. Nimo być pańszczyzny, ani poddaństwa. Taki jest cysorski befel. Panowie sie temu sprzeciwowali. Nie wisz to, że na wojska cysorskie zaczęli napadować, na urzędników cysorskich rękę podnosić? Pozamykał ich cysorz do kryminału, bo cysorskiej woli nikt nie śmie sie sprzeciwować! Idź do Tarnowa, a zobaczysz, ilo ich siedzi w kryminale! Ale buntują sie furt, bo ich jest wielo i wielo jest takich głupich chłopów jak ty! Wielo ich jeszcze pozostało na wolności i przeciw cysorzowi chcą wojować. Nie pozostał to na wolności Podhorecki z Gorzejew, Bogusz z Siedlisk, Kruczkiewicz, Sobolewski, Strzelecki, Stradomski?! Powiedział tedy cysorz: Jak wojna, to wojna! Niech se włościany porządek robią sami. Z tem raz ma być *fertig!* Rozumisz tero?!

Nie odezwał się nikt. Nawet oddech nie płoszył rozdzwonionych w powietrzu słów: „Z tem ma być *fertig!* Cysorz pańszczyznę skasował!" — Wsłuchani w nie byli jak w szept tajemnicy, zstępującej w tę karczmę. Tylko żyd za szynkwasem stał nieporuszony, obojętny, niczem figura woskowa wśród ludzi, i brodę przebierał w palcach.

— Z tem ma być *fertig!!*

Wielki, rozrosły, w kożuchu i czapie baraniej chłop skoczył, gdzie stały oparte o ścianę drągi, cepy i widły. Schwycił cep i, grzmocąc dzierżakiem o ziemię, ryczał:

— Z tem ma być *fertig!!*

Porwali się za nim inni do wideł, cepów i drągów.

— Prowadź nas, Szela! Prowadź nas, Jakób!

— Widzcie, że poprowadzę.

— Nie róbcie tego, ludzie! Nie róbcie, krześcijany! — zawodził Wrona.

— Pódziesz ty precz!

Padł na ławę i, zwisnąwszy głową wdół, mamrotał:

— Serdecznie wam mówie, nie róbcie.

Każdy krzyczał i każdy słyszał tylko siebie. Jeden i drugi obracał mowę do wszystkich — nie słuchany: o tem, jak z nim także gadał komisarz austrjacki; o tem, jak rząd jest z nimi; o tem, jak cesarz jest dobry dla biednego narodu, jak nie wiedział, co się dzieje, aż wreszcie doszło do niego. Wrodzona chłopu polskiemu wiara we władzę i najsilniejsze przekonanie, że wszystkie łaski spłynęłyby na niego, gdyby przed jej oblicze dopuszczony został, buchały w słowach żałosnych i pomstliwych. Szela stał w słońcu tej władzy. Służył długo w wojsku i rozumiał po niemiecku. Z Breindlem[1]) był jak kumoter z kumotrem, a Breindel był tu przysłany przez samego cesarza. Każdy gadał co innego, a każdy gadał to samo: ten sam żywot polskiego chłopa. Żywot czarny i nędzny. Zagnojony poniewierką i uciskiem. Żywot nieludzki. Bez chleba i bez światła.

Szela rozpiął kożuszek, wsparł się pięściami o stół. Lekko zaróżowiły mu się wygolone policzki. Oddychał szybko. Czasem przesuwał językiem po spierzchłych wargach. Wychwytywał uchem słowa, żarzące się jak głownie, i ciskał w ciżbę swoje.

— O Polskę powstanie robią! Powiadają nam, że nie będziemy w niej odrabiać pańszczyzny i że ziemia będzie nasza. To czegój powstanie robią, kiej cysorz tego samego kce? To czegój robią? pytom!

Wtem zadźwięczały dzwonki od sanek, ucichły tuż przed karczmą, i drzwi rozwarły się naoścież, wpuszczając hożą jędrność zimy w powietrze ciężkie i lepkie od odoru okowity, kożuchów baranich, ciał ludzkich, cebuli i czosnku. Na progu stał młody, postawny mężczyzna, w pięknem futrze i futrzanej czapce — człowiek z innego świata. W karczmie stało się cicho.

[1]) Breindt von Wallerstein, starosta w Tarnowie, przez chłopów zwany Breindlem.

TŁO
NA

— Mój Judka, każno wynieść furmanowi wódki.

— Zaraz, panie dziedzicu — zakrzątnął się żyd i, otworzywszy drzwi, prowadzące z karczmy do swego prywatnego mieszkania, powtórzył komuś polecenie po żydowsku.

— Już, panie dziedzicu.

— Cóż to u ciebie tyle ludzi?

Rozejrzał się po izbie i teraz dopiero pod jego wzrokiem niektórzy z chłopów poczęli odkrywać głowy. Dojrzał Szelę.

— I ty tu, Szela?

— I ja tu, jaśnie panie.

— Cóż tu robisz?

— Do Smarzew wracam, jaśnie panie.

— Chcesz, to cię podwiozę, bo ja do Siedlisk.

— Dziękuję jaśnie panu, zajdę sam.

— Ano, jak chcesz, ale zmarzniesz, bo zimno. Okrutny mróz.

Skinął głową i zawrócił ku wyjściu. Chłopi, coraz gęściej zdejmując czapki, uczynili mu drogę. Zatrzymał się jeszcze, jakby umyślnie, w sieni, jeszcze tam do ludzi zagadał, wsiadł do sani i długo nogi otulał wilczurą, nim rzekł:

— No, ruszaj!

A w karczmie stało się nieswojo, głupio, języki skołowaciały, jeden i drugi naciskał czapkę, jakby zabierając się do domu.

Wtem Szela ruszył z swojego miejsca i stanął na środku izby.

— Pijcie! Ja płacę!

Pito naumor. Pił z innymi, ale do głowy wódka mu nie szła. Blady był tylko bardzo i ruszał szczękami, jakby żuł. Wyszedł na przyzbę na dwór, aby odetchnąć, i w tejże chwili ujrzał cwałującego w śnieżnym blasku konnego jeźdźca. Podniósł rękę do czoła — patrzył.

— Staszek!

Tak, to syn jego nadjeżdżał. Już całkiem go było widać, pochylonego na chłopskim koniu, na worku z sieczką zamiast siodła, z nogami w słomianych strzemionach, uczynionych z powróseł. Podskakując śmiesznie na worku, zatrzymał konia, ściągając go przydługą trzęzlą, i równemi nogami skoczył w śnieg.

— Ociec! — zawołał, zadychując się i ocierając z sopli rude wąsy. — Ociec! Idą!

— Dużo?

— Idą ze wszystkich wsiów. Siła narodu wali. „Szela!" wołają.

Harda pycha zaświeciła obydwom w oczach, spojrzeli w siebie.

— A tu co?

— Schlali sie, ale to nic — odparł Szela. — Ochocki przejeżdżał tędy do Siedlisk.

— Widziołem go.

— Widziołeś?

— A ino.

— Napiłbyś sie wódki?

— Napiłbym się.

— Pódźwa do izby żydowskiej, bo tam w karczmie smród. Odbierz ta konia który!

TŁO NA

Usiedli w izbie, przeznaczonej dla gości przedniejszych. Zaglądał tam ekonom, zatrzymywał się na popas koni obywatel ziemski. Zjawił się Judka i uchylił jarmułki.

— Co panowie każą podać?

Młody Szela poczerwieniał z ukontentowania.

— Daj wódki, ino lepszej, tej słodkiej.

Niepodobny był do ojca. Wyższy i smuklejszy, o wąsie rudym, przystrzyżonym, oczy jednak miał te same, czające się pod grubemi, obfitemi brwiami.

Trącił się z ojcem.

— Do Siedlisk pódziewa? — spytał.

— Do Siedlisk. A bo co?

— Ociec, wicie, co wom powim, oni nie na darmo robią ten zjazd.

— Może i nie na darmo.

— Oni dobrze miarkują, co sie dzieje.

— To jo wim. Przepytują po ludziach, przez żydów, i księża im mówią. Księża są z nimi. Ochocki, jak tu wloz...

— Właził to tu?

— A ino. Furmanowi wódki kazał wynieść.

— Nie po wódke on tu właził.

— Jo to wim, że nie po wódke. Wloz, aby pokazać, że sie nie boi. I aby przy wszystkich ludziach powiedzieć do mnie „ty — Szela".

— Tak ozwał się do ojca?

— Tak. „Chcesz, Szela, to cię na saniach do Smarzew podwiozę".

— A ociec co?

— Jo powiedziołem ino tylo: „dziękuje jaśnie panu". Alem czapki nie zdjon, anim sie nie pokłonił. On wiedzioł, co to „jaśnie panie" znaczy.

— A chłopi co?

— A chłopi nic. Czapki pozdejmowali, o mało go za nogi nie ułapili.

— Widzi ociec!

— Co widzę?

— Poprowadzi ich ociec pode dwór, a jak zobaczą pana, to czapki zdejmą i tylo z tego bedzie.

— Nie wierz temu nic. Są pomiędzy nimi tacy, co skoczą, a jak jedni skoczą, to drudzy za nimi pójdą, jak w las. Jo ci to mówie.

— Może być tak, a może być i nie. Nie trza na to zanadto rachować. Na pewniaka trza iść.

Nachylili się ku sobie, szepcąc.

— W Siedliskach Bogusz robi zjazd przeciwko nam. Oni mogą tam mieć broń.

— Nie mają.

— Skąd ociec wi?

— Wszystką broń, co po dworach była, Niemcy zabrali. Breindel mi powiedzioł: *Fürchten sie nicht.* Nie bójcie sie niczego. Można ich wybić jak szczury.

— Breindel nie wszystko wi. Dużo broni zabrali, ale pochowana jeszcze jest. Niechby mieli, mniejsza z tem, ja się nie boję. Ale chłopi, co idą, to nie wojsko. Idą, a mają stracha, mówie ojcu. Gorzałka ich ino trzymo. Niech kto do nich ze strzelby wygarnie, już ich nimo. A tam trza iść na pewniaka.

— Więc co myślisz?

— Trza ich zajść niespodzianie, jak przy stole będą zasiadować, jak kolacje będą jedli, wino pili. Odrazu bić. Jak sie ino krew poleje, to już bedzie dobrze. Ociec odrazu starego Bogusza w łeb.

— Jo nie. Nie bede sobie łap paprać. Jo wódz! Wal go ty.

— Jo tyż nie.

— Czemu? Ty możesz.

— Za stary. Od starego grzech zaczynać. Od innego wolę. Ale ociec tyż nie może — wim. Ociec wódz.

— Jo wódz! W Siedliskach stolice se założe, Staszek!

Wsparł się w krześle i nogi w wyłojonych butach wyciągnął pod stołem.

— W Siedliskach ociec stolice se założy. Wim.

— Widz dobrze, boś mój następca. Wódki! — krzyknął.

— Niech ociec nie pije tylo.

— Mnie to nie szkodzi nic.

— Niech ociec nie pije tylo. Nie trza. I we flaszce jeszcze jest.

— Tyś mój następca. Po mnie ty będziesz panował.

— Może i będę.

— Bedziesz! ,Staszek, miej serce! Takie jak jo mam. Dotknij sie. Czujesz? Z żelaza mam serce. Żelazo, jak gorące, wszystko przepali, a jak zimne, nic go nie skruszy. Spali sie ten, kto sie mojego serca dotknie, gdy jest w gorącości, a jak

Białymstoku

II.

Ochocki i panna Ludka, nachyleni ku sobie, zapomnieli o Bożym świecie. Półgłośna ich rozmowa kryła się w gwarze wielkiego stołu, grupującego zgórą pięćdziesiąt osób, w brzęku kieliszków i talerzy.

— Czy nie mam racji, proszę pani?

Ludka drgnęła i obróciła oczy na siedzącego naprzeciw Kamockiego.

— Przepraszam, nie słyszałam, co pan mówił.

— Mówiłem, że niedobra taka polityka, która na tańce nie pozwala.

— Zanadto poważne czasy, sąsiedzie — protestowano.

— Ja zabawom się nie sprzeciwiam, głosu już w tem nie mam, lecz młodzi sami nie chcą — odezwał się stary Bogusz.

— A ja, choć stary jestem i nogi nie mam, czuję się do głosu uprawniony, jako najstarszy między wami konspirator.

— Gdzieżeś to pan tak konspirował?

Kamocki spojrzał zukosa na mówiącego.

— Gdzie? Tu w Galicji. A wiesz pan z kim? Z Kacprem Dziewickim. Toć ja go przecież do

rodziców hrabiny do Krosiennicy przywiozłem, gdy do mnie z Paryża przyjechał. Pamięta pani?

Zuzanna Osiecka schyliła głowę.

— Akurat tańczono tam wtedy. Aż dom się trząsł. A my na boku, w ustronnym pokoju, wyprawęśmy gotowali. O ile sobie przypominam, hrabia też w tych naradach brałeś udział.

— Owszem, rozmawiałem wówczas z Dziewickim długo — rzekł Osiecki — choć samej wyprawie byłem przeciwny, szans powodzenia nie widziałem. I nie omyliłem się.

— Ja nie widziałem także, udział jednak w niej wziąłem. Rozumu miałem tyle co hrabia, ale animuszu więcej.

— Sąsiad byłeś w wyprawie Dziewickiego?! Pierwszy raz słyszę!

— W samej wyprawie nie byłem, bo nogę już straciłem wówczas, ale do organizacji należałem, przeprawiałem broń, rekrutowałem. Stałem na czele tarnowskiego obwodu. Z Krosiennicy wyprowadziłem pierwszy oddział. Pamięta hrabina? Prowadził go Kownacki, oficer wojsk polskich, który u rodziców hrabiny po powstaniu przebywał. Dzielny był oficer. On teraz w Poznańskiem się osiedlił, majątek tam ma, ożenił się, dobrze mu się powodzi. O czemże to mówiłem? Aha! Że nie należy pozoru dawać, jakobyśmy sobie coś z czegoś robili. Myślicie państwo, że to kto z nich rozumie jako manifestację patrjotyczną? Za wiele juchom, przepraszam za wyrażenie, wysokich uczuć przypisujecie. Dla jednego i drugiego

austrjackiego komisarza, gdy kto w karnawał się nie bawi, to widać, że się boi. Cóż taka wywłoka, przepraszam za wyrażenie, z wyższych poglądów rozumie? Tak jakby kto psu różę do wąchania dawał.

— Nie są oni tacy głupi, jak sąsiad myśli!

— Breindt wie dobrze, co się święci.

— Szpiegów ma!

— Chłopi mu donoszą wszystko. Kto z nas gdzie się ruszy, co robi, wszystko wie.

— Ja radzę, abyśmy wnieśli przeciw niemu zbiorową skargę do Wiednia.

— Dużo pan w Wiedniu wskóra!

— Jaki cesarz jest, taki jest, ale na buntowanie chłopów pozwalać nie może.

— Akurat cesarz co wie!

— Więc właśnie niech do niego dojdzie.

— Nic nie dojdzie. Delegacja, jeśli ją przyjmie, powie swoje, a potem raporty przeczyta, które mówią co innego.

— I niepodobna, abyśmy się zwracali do cesarza! Co też pan mówi?!

— Dlaczego niepodobna?

— Narodowa przyzwoitość nie pozwala.

— Ja nie byłbym temu przeciwny — rzekł Bogusz — gdybym wierzył, że na cośby to się zdało. Ale nie wierzę. Umyślili oni przeciw temu ruchowi, co się wszczął, chłopów obrócić, więc jakże im wyperswadować, aby tego nie robili?

— Nie cała szlachta należy do ruchu.

— Z obywateli mało kto!

— Co też sąsiad opowiada!

Kamocki przeczekał gwar.

— Najgorsza rzecz, że jedności u nas niema. Nie mamy jednej politycznej idei. Te pomysły o uwłaszczaniu chłopów, o znoszeniu pańszczyzny, są bardzo nie na czasie. Pomyślą, że boimy się i ustępujemy. Najgorsza polityka. Wszyscy dobrze wiedzą, jaki ja dla chłopów jestem. Niechby mi się jednak dziś chłop buntował, to pięćdziesiąt batów kazałbym mu odwalić, przepraszam za wyrażenie, i nie dla czego innego, tylko dla przykładu, z patrjotycznego poprostu obowiązku, proszę mi wierzyć. A ziemię i pańszczyznę temubym darował, komubym ja chciał dać, a nie temu, któryby mi ją chciał wziąć. Niechby tak każdy myślał jak ja, a za tydzień porządekby zapanował. Breindtby się wtedy świniom dworskim kłaniał, gdyby je na drodze spotkał.

— Ma sąsiad rację!

— Co prawda, to prawda!

Osiecki skrzywił się z niesmakiem.

— Nie jest to droga do poprawy stosunków.

— Hrabia ma słuszność — poparł go Bogusz. — Chłopa należy wychować, a nikogo nie wychowuje się batem.

— Gdy w kimś człowieczeństwo się zabija, nie dziw, że ten staje się bydlęciem — dodał Ochocki.

Kamocki sponsowiał.

— To niby ja, według pana, z chłopa robię bydlę? Tak? Więc powiem panu tylko tyle: u mnie panują stosunki najlepsze. Ludzi mam dobrych. Chłopi za mną w ogień pójdą. A dlaczego? Dlatego, że się mnie boją. Chłop musi się bać. Darmo! Tak jak dziecko. Dziecka bez bojaźni się nie wychowa. Gdy chłopa ukarzę, w rękę mnie pocałuje i za nogi obejmie. Dowód, że nie czuje krzywdy, tylko dziękuje za sprawiedliwość. Bo lud nasz jest dobry i potrafi być wdzięcznym. Pan Bogusz inaczej się na te rzeczy zapatruje. Przed pana ideami głowę chylę — zwrócił mowę do Bogusza — ręczę jednak panu, że gdyby pan mój system naśladował, to w pana dobrach Szeliby nie było.

— Widziałem go i tłum chłopów, jadąc tutaj — rzekł Ochocki.

— Gdzie?

— W karczmie.

— W karczmie! Widzisz pan! Biadają, że nie mają co jeść, a piją! Daj im pan ziemię na własność, a zastawią ją u żyda i będą żądali nowej. W ten sposób wszystka ziemia przejdzie w żydowskie ręce. Trzeba na rzeczy patrzeć jasno i baczyć, aby te wzniosłe idee do zguby ludzkości poprostu nie doprowadziły.

I Kamocki powiódł oczami po zebranych, szukając aprobaty.

Z czuba już mu trochę się kurzyło, więc w elokwencję wpadał coraz większą i gestykulował energicznie. Zapanował nad całym stołem i w największym był ferworze opowiadania, gdy drzwi otwarły się naoścież i do sali wpadła czeladź dworska, a wśród niej człowiek w liberji,

ośnieżony, z rysami skrzywionemi od strachu i z zimna. Porwano się z miejsc.

— Co się stało?!

Bogusz poznał stangreta swojego syna.

— Co się stało?! Gdzie pan?! — wołał.

— Pan... Pan zabity!

Mgnieniooczna, straszliwa cisza pękła pod krzykami.

— Gdzie?! Co?! Jak?!

Stary Bogusz zwalił się w krzesło. Krwią nabiegłe, zrozpaczone oczy wlepił w stangreta.

— Chłopi napadli! Szela! — wybełkotał stangret, i głos zamarł mu w gardle.

— Gadaj! — wrzasnął Kamocki.

— Jechaliśmy tu do Siedlisk. Zaczepiły nas chłopy na drodze. Szła kupa chłopów. Zatrzymali konie. Chcieli pana zrzucić ze sani. Pan się nie dał. Jeden strzelił. Mnie zrzucili ze sani. Kilku na sanie wsiadło i pojechali z panem.

— Więc pan żyje?!

— Nie żyje! Jeden strzelił!

— Wiesz, że zabił?

— Gdy pan zwalił się w saniach, skoczyli na pana z cepami, kosami, co kto miał. Szela krzyczał: „Wieźcie go do Tarnowa, do pana Breindla. Dostaniecie piętnaście reńskich. Tyle tam płacą za każdego zabitego pana".

— Panie Bogusz! Sąsiedzie! Wody!

Rzucono się ku staremu, rozpinając mu surdut, trzeźwiąc. Krzyki lamentu i zgrozy, słowa służby, czeladzi i biesiadników kłębiły się w jednem wężowisku głosów. Ludka chwyciła za rękę Ochockiego. Drżała na całem ciele.

— Jechaliśmy, o niczem nie myśląc — zaczął nagle stangret, sam od siebie, niepytany.

Uciszyło się wokół.

— Gdybym wiedział, pojechałbym inną drogą, ale kto mógł wiedzieć? Gdy pan zobaczył tyle narodu na drodze, kazał zwolnić, aby kogo nie najechać. To było nieszczęście, ale kto mógł wiedzieć. Zwolniłem, rozstąpili się, aż tu ci, co na przodzie, chwycili konie! Chciałem przejechać, biłem konie batem, ale na tyle chłopa nie poradzi. Szela skoczył na sanie i zaczął się z panem siepać. A jeden z tych, co konie trzymali, flintę miał i strzelił do pana. A jak pan przewalił się w saniach, to oni wszyscy na pana. Widłami pchali. Z naszej wsi chłopów nie było, sami obcy.

— Widziałem ich w karczmie — rzekł Ochocki.

— Zepchali mnie w śnieg i pojechali. Szela krzyczał: „Zabiliśmy syna pana Bogusza!" Poszli drogą prosto, wtenczas wstałem i polami przyleciałem tutaj.

— Panowie! — zawołał Ochocki. — Niema na co czekać, oni tu mogą przyjść!

— Gdzie?! Tu? Do zamku?

Wszystkim wydało się to niepojęte.

— Czemu nie?!

— No, o tem mowy niema — rzekł Osiecki.

— Jest mowa, czy niema, drzwi należy zaryglować. Broń tu jakaś w domu jest?!

— Fortyfikować się mamy? Lepiej się rozjechać.

— Ludka! Jedziemy! Zbieraj się! — wziął gwałtownie radę do serca Sulmierski.

— Ojciec chce teraz jechać, a pan Bogusz? — protestowała.

— Pana Bogusza najlepiej zostawić samego. Gdy takie nieszczęście, goście niepotrzebni.

— Dlaczego pan sądzi, że bezpieczniej jest jechać niż zostać? — spytał Ochocki.

Sulmierski wytrzeszczył na niego oczy.

— Sameś pan powiedział, że mogą tu przyjść.

— A w drodze mogą napaść.

— Więc co robić? Ja głowę tracę! Radźże pan!

— Zaryglować drzwi. Poszukać, jaka w domu jest broń. Pana Bogusza pytać nie można, od przytomności odchodzi, ale służba będzie wiedzieć. Tak czekać do rana. A nas kilku na konia skoczy! Łotrów tych trzeba złapać!

— Nie puszczę pana! — uczepiła mu się rękawa Ludka.

— Panno Ludwiko!

— Nie puszczę!

— Nie można puścić płazem tego, co się stało!

— A ja tu sama?

Opuścił ręce bezradnie. Nikt go nie słuchał. Stary Bogusz skinieniem ręki odsuwał tych, którzy przeprowadzić go chcieli do sypialni. Czeladź cofała się do kuchni. Potworzyły się grupy, rozprawiające o tem, co się stało, ten i ów zbliżał się do stołu i krzepił się winem.

— Ale co robić? Co robić?! — wołano.

— Nic.

— Jakto nic?

— Teraz nic począć nie można. Jeżeli zawieźli trupa do Tarnowa, to ich tam przedewszystkiem w kajdany wezmą. Breindt chłopów podmawia, ale tego co się stało, tolerować nie będzie!

— Moja rada taka — zawołał Kamocki — narazie do czynienia niema nic. Tylko panem Boguszem, tym ojcem nieszczęśliwym, trzeba się zająć!

Nie skończył, gdy rozległ się trzask wywalanych drzwi, i z obu stron z wrzaskiem opętanym wdarła się pijana tłuszcza.

— Rznąć! — krzyknął Szela. — Ani żywej nogi! Kobit nie tykać!

Chudy, wysoki chłop z siekierą zamierzył się i ciął Bogusza w głowę, jak w pień. Rozwalił ją. Mózg prysnął. Krew rzygała na obrus, między talerze i kieliszki. Teraz się zaczęło. Z ramion kobiet wyrywano mężów, ojców i braci. Kilku rzucało jednego na podłogę, przygniatali piersi kolanami, przytrzymywali ręce i nogi i rżnęli nożami pod gardło. Stół runął. Półmiski z mięsem, torty i ciasta walały się w krwi. Przeraźliwe wycie zarzynanych, ryki morderców. Tęgi, stary szlachcic skomlał i wył. Obalono go i wykłuto oczy. Teraz szarpano widłami. W oczach Ludki podcięto kosą krtań jej ojcu. Trup jego leżał w krwi, jak na czerwonym dywanie. Ochocki, porwawszy nóż ze stołu, rzucił się na mordujących. Padł pod razami. Broniące mężczyzn, skacz[illegible]ce

do oczów kobiety wyrzucano do sieni. Ludka, kopnięta w brzuch, zatoczyła się i upadła pod ścianą. W oczach uczyniło się jej ciemno. Zemdlała.

Szela przyglądał się temu, wsparty o laskę. Ani jeden muskuł nie drgnął w jego twarzy. Obok stał Chomiński. Był blady jak trup i strach nim trząsł. Światła pogasły, zaledwie kilka ocalonych świec oświetlało wielką salę. Szela, osądziwszy, że już nikt z zebranych szlachciców nie żyje, rozkazał:

— Na pokoje! Przetrząść cały zamek, czy jeszcze kogo niema!

Tłuszcza rozsypała się po pokojach, ochrypłe, bestjalskie krzyki wstrząsały zamkiem.

W pewnej chwili Ludka otworzyła oczy. Na posadzce, wśród potłuczonych szkieł, zmiętych serwet, w kałużach krwi leżeli pomordowani. Nad nimi, zawodząc, klęczały kobiety. Wyrzucone do sieni wróciły teraz do trupów. W sali był półmrok. Podniosła się i podeszła do ojca. Głowę miał niemal odciętą, rysy potwornie wykrzywione, krew się zsiadła. Nakryła machinalnie tę głowę serwetą. Nie czuła w sobie łez, ani jęku; rozpacz ją sparaliżowała. Mózg jej przemienił się jakby w bryłę lodu, a krew w niej zlodowaciała. Czuła jedynie przejmujące, niewypowiedziane zimno. Od ojca, ślizgając się we krwi, szła do Ochockiego. Z piersi sączyła się mu krew od uderzenia wideł, twarz miał w sińcach, na czole czerwoną ranę. Opasała leżącego ramionami i przyległa do jego skrwawionej piersi. I nagle poczuła oddech i usłyszała, że serce biło. Stokrotne siły w nią wstąpiły, myśli otrzeźwiały, stanęły w ordynku przytomne i chyże. Wytężyła słuch. Burza poniosła się w drugą stronę domu, w pokojach, wiodących ku kuchni i kredensom, było cicho. Było pewnie i ciemno. Tam trzeba było nieść rannego. Nie na dziedziniec, gdzie mogli być chłopi i gdzie może łączyła się z nimi służba. Ludka zrozumiała to w jednej chwili.

Chwyciła wpół Ochockiego i uniosła go z ziemi. Zwisł jej w ramionach, ale żył, czuła, że żył. Jęknął. Choć krzepka była i zdrowa, nogi uginały się pod ciężarem i ręce mdlały. Niosła go jednak przez jeden pokój i drugi na sam koniec domu, od tej sali najdalej. Patrzyła we wszystkie miejsca, gdzie go najbezpieczniej złożyć. Naraz weszła w światło, do małego schludnego pokoju, w którym stało łóżko, upiętrzone poduszkami i nakryte pierzyną, nad niem obraz Matki Boskiej, stół serwetką nakryty i ceratą obity fotel. Odrzuciła pierzynę i złożyła rannego na łóżku. Gdy to czyniła, na progu stanęła stara, pomarszczona kobiecina, mieszkanka tego pokoju, panna Tekla Kopycińska, ongi służebna nieboszczki Boguszowej, dziś na łaskawym chlebie kończąca swój żywot. Ludka ją znała. Wciągnęła ją gwałtownie do pokoju i szeptem przekładać poczęła, że musi u niej ulokować chorego. Panna Tekla odpowiadała jej również szeptem, że służba wszystka uciekła; właśnie zajrzała do kuchni i przekonała się, że nikogo niema. Zbóje huczą po całym zam-

ku, ale na tem skrzydle cicho. Może zamek spalą, na co rady niema, ale narazie ona może przynieść z kuchni wody dla obmycia ran. Niechby tylko chory nie jęczał, aby, broń Boże, kto nie usłyszał. Wróciła niebawem, dźwigając kubeł wody, i zaryglowała drzwi.

W sali mordu jeden człowiek uszedł śmierci — Marcin Kamocki. W chwili gdy Szela wtargnął tam na czele tłuszczy, Kamocki zsunął się pod stół. Zdał sobie sprawę, że wszelki opór nadaremny i że jedynie ukrycie się przedstawia możność ratunku. Zlany zimnym potem, leżał pod stołem. Stół runął, Kamocki leżał nieporuszony, bez oddechu, w kawałach szkła i porcelany. Gdyby go kto ujrzał, wziąłby go za trupa. Krew dopływała do niego strumieniem, czuł ją na plecach, spaprany miał nią kark i ręce. Usłyszał rozkaz Szeli i odetchnął. Odchodzą. Nie wstał jednak odrazu. Strzygąc uszami, sprawdzał, czy kto ze zbójów nie został jeszcze na sali. Wreszcie zdecydował, że dłużej czekać nie może, gdyż wrócą. Więc albo teraz, albo nigdy. Ciągnąc kulę pod pachą, wygramolił się z pod stołu, podniósł się i, skacząc między trupami, wśród płaczących kobiet, biegł do sieni. Po drodze spostrzegł chłopską czapkę, porzuconą na posadzce. Nacisnął ją na uszy.

W długiej, przestronnej sieni owiało go zimno. Drzwi wywalone chwiały się w zawiasach, dając widok na śnieg na dziedzińcu i na nagie konary drzew. Noc była ciemna, bezksiężycowa, mróz ze-

lżał. Kamocki stanął pod drzewem, słuchał. Z zamku przez powybijane okna niosły się dzikie głosy i łączyły z krzykami, idącemi od podwórza i parku. Napastnicy byli więc wszędzie, nie wszyscy wdarli się wewnątrz. Obawiał się, że idąc do domu, spotka ich na drodze. Zrobiło się mu także żal koni. Jakże konie stracić? Najlepszemi końmi dziś przyjechał. Postanowił udać się na podwórze. Liczył, że w ciemnościach nikt go nie rozezna i nikt nie przypuści, aby to był ktoś z zamku, ktoś z panów. Mogła go była zdradzić kula, jeśli tu byli chłopi znajomi, i surdut. Ten jednak był tak powalany krwią, że swą pańską fizjonomję stracił. Zresztą było ciemno. I Kamocki poszedł w podwórze.

Przemykał się zręcznie obok postaci, od których buchała gorzałka, niezaczepiany. Widać znali się nie wszyscy, nie byli z jednej wsi. W podwórzu było pełno chłopów. Przechodząc koło nich, słyszał, że czaty są rozstawione na drodze, aby nikogo z zamku nie przepuszczać. Przejechać może tylko ten, kto zna hasło. Hasło było „Jakób". Chłopi mówili o niem głośno, jakby wszystkim mogło być znane i nie miało być tajemnicą. Dowiedział się jeszcze, że Szela ma zostać tu w Siedliskach, a syn jego Staszek ma poprowadzić bandę dalej; że Siedliska są Szeli podarowane przez cesarza; że ze wszystką szlachtą w całej Galicji tak będzie; że oni, chłopi, są wojskiem cesarza i prowadzą wojnę z Polakami. Mimo że innych uczuć prócz zmieszanego uczucia

strachu i nadziei nie miał, słowa te wpadły mu w mózg: oni byli chłopami, poprostu chłopami, a szlachta Polakami. Dobrnął do stajen, latarka paliła się, konie stały przywiązane rzędem przy drabinach. Ze służby nikogo, jakiś kożuch leżał na ziemi. Kamocki przywdział go.

Mimo krzyków chłopskich na dziedzińcu i strasznych chwil, jakich nigdy w życiu nie przeżył, ogarnął go spokój. W stajni, wśród koni, poczuł się pewniejszy, u siebie. Lubił ten koński odór, ten brzęk łańcucha, to rzucanie łbem.

— Jakie ten Osiecki ma konie! Niech go djabli wezmą!

Wspomniał, że Osiecki nie żyje, i przeżegnał się.

— Następ!

Wszedł między konie i klepał je po karkach. Na te dwa cuganty Osieckiego miał dawno chrapkę. Gdyby pojechał swojemi końmi, toby odrazu wiedziano, że to on uciekł. Lepiej więc pojechać końmi Osieckiego. Ocali je, inaczej zabiorą je chłopi. Takie konie! Ale i swoich było mu żal. Począł jednak wyprowadzać konie Osieckiego, gdy do stajni wszedł zuchowaty parobek i nasiadł na niego.

— A co wy tu macie do koni? Dokąd to je prowadzicie?! Udały wam się! Co? Nie słyszeliście to, że Szela przykazował niczego nie ruchać!

Po Kamockim przeszły ciarki, przytomność go jednak nie opuściła.

— Stul pysk! Do kogo mówisz? Nie wiesz? Patrzajcie go! Bierz konie i zaprzęgnij do saniów! Pojedziesz ze mną!

— Kaj?

— Do Tarnowa, do pana Breindla!

— Jakże to?

— Mnie bedzies pytoł! Idź do Szeli, może ci powi!

— To wy od Szeli?

— A od kogóżby? Bierz konie, kiej mówię!

Parobczak stumaniał. Wyprowadził konie, zaprzągł je do jednych z najlepszych sań i zajechał przed stajnię. Kamocki już miał siadać, gdy zastanowił się.

— Trza wziąć jeszcze dwa konie, na przeprząg, bo musimy jechać ostro, choćby paść miały.

Wrócił do stajni. Bał się, ale namiętność przezwyciężała strach. Dla swoich koni gotów był życia nadstawić.

— Weźmies te dwa! Na jednego siędzies, a drugiego koło siebie luzem. Pojedzies ze mną. Skądeś ty?

— Ze Smarzew.

Wgramolił się na sanie i dał koniom po bacie. Pomknęły.

— A kaj to?

— Do Tarnowa do Breindla!

— Z papirami od Szeli?

— A ino!

Chłopi się rozstąpili, sanie przeleciały dziedziniec, wypadły na drogę, chłopak ze Smarzew cwałował ztyłu.

— Kto? Dokąd?

— Z drogi! Jakób!

Czata chłopska ich puściła, zatrzymała druga.

— Jakób!

— Kaj jedziecie?

— Do Tarnowa, do Breindla, z papierami od Szeli.

— Cegój w tyle koni?

— Takie rozkazanie! Nie moja głowa! — odkrzykiwał chłopak.

— Jedźcie! A co w zamku?

Kamocki gnał już dalej. Droga do Tarnowa szła przez Lipki, trzeba było jednak, dojeżdżając, skręcić z głównego gościńca. Byle przed świtem. Parobczak ze Smarzew może go nie znał, ale wiedział o nim na pewno. Kamocki słynął na całą okolicę i był zwany popularnie „kulawym panem z Lipek". Niechby chłopak spostrzegł kulę, a jużby wiedział, dlaczego tam skręca. A może go gdzie i widział, tylko w ciemnościach, w chłopskiej czapie i kożuchu nie rozeznał. Niebezpieczeństwem to nie groziło, lecz konieby stracił. Chłopak umknąłby na pewno. Koni więc nie żałował. Droga była cicha, między chojakami, grubo przysypanemi śniegiem, od których las się wszczynał. Roztaczał się po obu stronach, stężał w mrozie i dyszał ciszą. Nie było tu nic prócz śniegu i drzew. Kamocki jednak cierpł ze strachu.

Tak nerwy poszarpane w nim były, że znieść nie mogły zamknięcia horyzontu. Byle prędzej przejechać ten las. Znalazł się znowu w czystem polu. Ujrzał łunę. Rozłożyła się na chmurach, jak mosiężny ptak. Zwolnił biegu.

— Kaj się to pali? Nie miarkujes?

— Nie. Kajsiś daleko.

Zaciął konie znowu. Gdzieś w okolicy się pali. Gdzieś drugie takie, jak w Siedliskach wesele, taka sama rzeź, z pożarem na dodatek. Oto, do czego doprowadziło folgowanie chłopom. Przywódców liberalizmu, zwolenników zniesienia pańszczyzny: Bogusza, Osieckiego, Ochockiego porżnęli jak kogutów. Cała okolica tam wymordowana, wszystkie sąsiedztwa. Pali się gdzieś w okolicy. Widać bandy poszły w różne strony, nietylko do Siedlisk. Czy on aby takich gości w Lipkach nie zastanie? Ściągnął lejce.

— Wis ty, gdzie Lipki?

— Wim.

— Pojedzies przodem. Wymiarkujes, cy tam cicho, cy tyz co sie dzieje. W podwórze nie wjezdzoj, ino ode bramy wymiarkuj. Odrazu bedzies wiedzioł.

— Cobym nie wiedzioł!

— Wymiarkujes i zawrócis. Muse wiedzieć.

— To jednego konia przy was ostawie.

— Ostaw.

Chłopak zlazł z konia, przytroczył go do sani, wskoczył na drugiego, nacisnął czapkę, pochylił się i niebawem znikł z oczu. Kamocki jechał wol-

niej, myśląc, gdzie skręcić na wypadek, jeśli banda jest w Lipkach. Miał otuchę, że nie zginie, skoro dotąd nie zginął. Wdali majaczyły chaty chłopskie, niby zgęstniały cień. Psy wyły. Szarzało. Wjechał w wieś, w dwa rzędy chałup. Gdzie niegdzie stały okutane baby, wpatrzone w łunę. Chłopa ani jednego. Przemknął przez wieś i jechał znowu truchtem. Konie muszą trochę wytchnąć, gdyby przyszło Lipki minąć i uciekać z tych stron. Winszował sobie, że zabrał konie Osieckiemu. Śnieg bielał coraz bardziej, wyjaśniało się. Nagle usłyszał, że chłopak wraca. Zatrzymał konie i czekał.

— I co?

— Nic.

— Cicho?

— Cicho. Wszystko śpi we dworze i w podwórzu.

Opowiedział, jak zajechał przed podwórze, objechał parkan koło sadu. Spokój był zupełny, jakby nic. Nawet stróża nocnego nie zauważył. Pewnie śpi.

— Śpi jucha. No, to zajedziemy do Lipek.

— Kaj?

— Do Lipek.

— Tam się pobudzą, nim dojedziemy.

— Nie twoja głowa.

— Słuchajcieno, gdyby pojechać dobrze, to stodoły możnaby podpalić, nim się pobudzą. Mam przy sobie co trza. I dalej do Tarnowa. — Oczy mu błysnęły.

— Zobacymy jak tam. Cóz ci takiego dziedzic Lipek zrobił, zebyś go palił?

— Co mi miał zrobić? Nic mi nie zrobił.

— Więc cegój?

— Wicie przecież.

Już teraz Kamocki był pewny. W Lipkach się nie da. Gdyby nawet przyszli, nie da się. On jeden miał we dworze broni pełno. Umiał ją ukryć. Jedną tylko starą flintę mu zabrali. Miał broń jeszcze z tych czasów, gdy dla Dziewickiego ją zbierał i dostarczyć wszystkiej nie zdołał. Przechowała się. Gdy rewizje po dworach zaczęto czynić, zakopał ją przezornie. I ładunki miał. Przyda się teraz. A tego młodego zbója rozumu nauczy. Poprawił się na siedzeniu. Zbije ścierwo, że kości będzie widać. Na podwórzu przy wszystkich ludziach sąd zrobi. Szmaty każe zwlec, łbem w śnieg, i w żywe ciało. Naprzemian każe bić. A potem nagiego psami wyszczuje. Niech tak do Siedlisk wraca. Nauczy go stodoły palić! Rysy mu stwardniały, w zziębniętych rękach zadygotały lejce. Zaciął z pasją konie.

— Złaź z konia i bramę otwórz — rzekł, gdy stanęli przed bramą.

— Co wy chcecie robić?

— Zobaczysz.

Wjechał w podwórze.

— Złaź — rzekł znowu. — Patrz! tu jest dzwon na połednie. Dzwoń, co masz sił!

Chłopak pociągnął sznur. Z stajni, z obór, ze dworu wysypała się służba.

— Za łeb tego, co dzwoni! — rzekł, nim zdążyli czapki zdjąć. — Prędko! Trzymać go!

Parobczak się rzucił, ale już go wzięto w środek, pod ręce.

— Związać go! Zaprowadzić przed ganek i pilnować! Niech tam na mnie zaczeka!... Antoni nie wrócił? — zapytał.

— Nie, panie dziedzicu.

— Nie znalazłem go i musiałem przyjechać sam. Wyprząc konie i dać jeść. I niech wszyscy zbiorą się przed gankiem.

Nie krzyczał, nie pomstował jak zwykle, głosu nawet nie podnosił. Wziął kulę pod pachę i wszedł do dworu, nie spojrzawszy na parobczaka, który z wykręconemi rękoma, skrępowany silnie, trzymany za kark, oczekiwał swego losu.

Wybiegła do Kamockiego gospodyni jego oddawna, Leokadja, zarzuciwszy coś na siebie, owinięta w chustkę.

— Ciesz się, że mnie żywego widzisz — rzekł.

— Co takiego? Co panu?!

— Bogusz, Osiecki, okolica cała, wszyscy goście w Siedliskach wymordowani!

— Jezus Marja!

— Zaraz się dowiesz. Każ wynieść krzesło na ganek. Potem ci powiem.

Wyszedł na ganek i zasiadł na przygotowanem krześle. Odkryto głowy.

— Stała się zbrodnia, jakiej świat dotąd nie widział — rzekł. — Do zamku, do Siedlisk, gdy pan

Bogusz siedział z gośćmi przy kolacji, wdarli się zbóje. Przedtem na drodze zamordowali syna pana Bogusza. Przyprowadził ich Szela ze Smarzew. Wdarli się z siekierami, z nożami, z drągami. Wymordowali wszystkich!

Krzyk zgrozy wstrząsnął ludźmi, strażującymi chłopaka.

— Wymordowali i rzucili się kraść. Byłeś pomiędzy tymi, co mordowali?

— Nie.

— A gdzieś był?

— W podwórzu.

— Coś tam robił? Przyszedłeś z bandą na rabunek, na morderstwo, co?

Chłopak milczał.

— Wymordowali wszystkich, uszedłem tylko ja. Zastąpił mi drogę Szela, ale mu dałem w pysk, aż się przewalił. Nie przyzna się on do tego, nie głupi! Dałem mu w pysk i kazałem zaprzęgać konie. Ale Antoniego nie było, musiał uciec. Więc kazałem zaprząc temu zbójowi. Myślał, że chłopa wiezie, i proponował mi w drodze, że mi stodoły w Lipkach podpali.

— Ty hyclu! Ty pieskie nasienie! — Wyciągnęły się do niego brudne, ugnojone pięście, podbijając brodę.

— Gdybym mu za te złodziejstwa, za te morderstwa, kazał sypać baty, ażby zdechł — byłoby mało!

— Mało! Mało!

— Gdybym go kazał do końskiego ogona przywiązać i po dziedzińcu pędzać, ażby sobie łeb rozbił — byłoby mało!

— Mało! Mało!

Kamocki poprawił kulę pod pachą. Spojrzał po fornalach, parobkach, włodarzu. Mróz szedł po kościach.

— Rozwiązać mu ręce — rzekł.

Nie zrozumiano.

— Rozwiązać mu ręce — powtórzył. — Zbliż się.

Chłopak postąpił dwa kroki.

— Czapkę zdejm ze łba! Słyszysz! — krzyczano za nim.

Posłuchał.

— Puszczam cię wolno, boś głupi. Wracaj do Siedlisk, do Szeli. Zapowiedz mu, że go tu czekam. Niech przyjdzie! Dostanie tu takie kije, że kości mu będzie widać! Do koszuli rozebrać każę i w żywe ciało siec na śmierć! A potem nagiego psami wyszczuję!! Niech się tak swojemu panu Breindlowi w Tarnowie zaprezentuje! Tylko on nie głupi, bo wie, że go Breindel powiesić każe! Masz to powiedzieć ode mnie Szeli — i ruszaj precz!

— Do nóg panu dziedzicowi! Do nóg!

— Takiego, panie dziedzicu, puszczać grzech!

— Jeszcze kogo podpali po drodze.

— Do nóg!

Kamocki odsunął się ze wstrętem.

— Wracaj do Szeli. Powiedz mu, że obiecuje mu to ten, od którego w pysk dostał. Będzie wiedział. Pan Kamocki z Lipek. No, i niech cię moje oczy nie widzą.

Powiódł ze wszystkimi oczami za chłopakiem, gdy ten ze spuszczoną głową szedł ku bramie. Kontent był, że tak postąpił, choć sam siebie nie rozumiał. Nie wiedział, skąd mu się to wzięło, bo w drodze przysięgał sobie, że każe go ukarać tak, aby do dziesiątego pokolenia pamięć o tem pozostała. I gdy na tym ganku na krześle siadał, jeszcze zamiaru tego się nie wyrzekł. Dopiero w ostatniej chwili.

Skąd mu to się wzięło — nie rozumiał.

Jakby chorobę czuł w sobie. Mózg obracał mu się w głowie, niczem koło. W ustach, w oczach, w rękach miał ogień. Jednak się zmógł. Broń wykopać kazał, służbę uzbroił, bramy zatarasował.

Wydawanie rozkazów i wyznaczanie miejsc, z których najskuteczniej możnaby się było bronić, pokrywały wrażenia nocy. Gorączkowo zamieniał swój dworek w improwizowaną fortecę — i do głosu nie pozwalał im przychodzić. Ale gdy wieczór się zbliżył, usiadł przed piecem jak zmartwiały, i wszystko napowrót stanęło mu przed oczyma.

Od pieca biło gorąco, a drżał jak w febrze. Słyszał krzyki i skomlenia zarzynanych, czuł, jak osiadała na nim lepka krew. Przed trzynastu laty do tego samego pokoju wszedł przybyły niespodzianie z Paryża partyzant Dziewicki. Nie żyje. Zaliwski, wódz partyzantki, w więzieniu, w Kufsteinie, do tego czasu siedzi. Już wtedy chłopi ruchowi niechęć okazywali. Niektórzy, na

palcach można porachować, byli mu przychylni, ale ogół chłopów zajmował postawę wrogą. Donosili władzom austrjackim, gdzie jaki partyzant się ukrywa. Przypomniał sobie różne zdradzieckie sprawy. Oto jednego partyzanta, uciekającego z dworu, gdzie przyszła rewizja, zaczepili dwaj chłopi. Jeden wdał się z nim w przyjazną, długą rozmowę, obiecywał bezpiecznie go ukryć, a drugi tymczasem naprowadził policję. Oto drugiego, z cofającego się do Galicji oddziału Zaliwskiego, schwytali chłopi na drodze, związali i odwieźli do cyrkułu. Innych takich przykładów mnóstwo. A byli to przecież ludzie, którzy przychodzili tu z hasłami liberalnemi, ze zniesieniem pańszczyzny i uwłaszczeniem ludu. Lud ten nie wierzył im jednak nic, miał ich za oszukujących panów. Wierzył tylko w cesarza. Już wówczas, przed trzynastu laty, rząd austrjacki wypróbował polskiego chłopa, przekonał się, że mieć go za sobą będzie, gdyby powstanie się zaczęło. I nie przerachował się.

Kamocki wiedział, że w sąsiedztwie, przez obywateli światlejszych uważany jest za człowieka ciemnego, zacofańca, z którym dogadać się nie można. Pokiwał głową. Oto jak skończyli ci liberali, ci opiekunowie ludu. Dał im lud za opiekę! Pokazał, co umie! Nie znali chłopa i nie rozumieli. On znał go lepiej, był bliżej niego. Właśnie dlatego, że nie był liberalny i książek nie czytał. W dawnych czasach gazetę lub kalendarz brał do ręki, a teraz i tego nie. Był bliżej chłopa

i rozumiał go, a jednak taka zajadłość nim miotała, jakiej nie czułby nawet Bogusz, gdyby wstał z grobu. Cisnął się na fotelu. Niechby tu przyszli, a niechby którego dostał w ręce, pasy drzeć każe! Popamiętają go do dziesiątego pokolenia!

— Bogusz, Ochocki, Sulmierski, Stradomski, Osiecki... — powtarzał nazwiska pomordowanych.

— Nie napiłby się pan czego?

Do pokoju wsunęła się cicho Leokadja i stanęła koło fotelu.

Podniósł na nią mętne, napół przytomne oczy.

— A czego?

— Kawy możeby zrobić?

— Nie. Podaj nalewkę z kredensu.

Westchnęła, ale nie sprzeciwiła się i postawiła przed nim butelkę. Wychylił kieliszek i otarł usta ręką. Postała chwilę i usiadła opodal, kładąc ciężkie, popryszczone ręce na kolanach. Urodziwa niegdyś i hoża, weszła w lata stateczne, podbródek się jej ukształtował i biust rozwinął, rozsądek i spokój malowały się w każdym rysie.

— Nie opowiadał mi pan, jak to było.

Wstrząsnął się.

— Cóż ci będę mówił? Nie mogę.

Zapatrzył się w ogień.

— Porżnęli wszystkich co do jednego. W piekle nic podobnegobym nie widział. Bogusza siekierą zabili — opowiadać począł powoli.

— Niech pan jeszcze napije się — rzekła, gdy skończył. I napiła się także, poczem schowała butelkę. — Ciężko słuchać.

— Gdybyś ty to widziała, zwarjowałabyś, mówię ci.

— A panie? Co z paniami się stało? Tylko panów pomordowali?

— Tylko.

— Na kobiety bali się ręki podnosić — rzekła.

— Dlaczego? Jak ty myślisz?

— Pamięta pan tę pannę?

— Jaką?

— Tę, co leży na tarnowskim cmentarzu. No, jakże! Musi pan pamiętać. Przyjeżdżała do nas, jak to już było po tej wyprawie do Królestwa, jak to chłopi już powstańców po dworach szukali.

— Ach! Ty myślisz, że to?

— Nie co innego — odpowiedziała z przekonaniem. — Człowiek inaczej boi się ludzkiej kary, a inaczej boskiej. Od ludzkiej wymiga się, a boska go nie ominie.

— Od mojej się nie wymiga!

— Tak się to mówi.

— Niech mi który z tych zbójów wpadnie w ręce, nie daj mu, Boże!

— Cóż mu pan zrobi?

— Skórę zedrzeć każę!

— To i co? Porośnie mu nowa.

— Nieszczęście całe stąd poszło, że się tym chamom zanadto folgowało! Niechby tak każdy postępował jak ja!

— A cóż to pan takiego robił?

— Ja?!

— A no pan.

Zafrasował się.

— O mnie chyba nie powiesz, że nie jestem ostry!

— W języku. Gdyby wierzyć temu, co pan gada, to myślałoby się, że tu tylko kij panuje i że cały dzień nic innego się nie robi, tylko ludzi się bije. A pan najwyżej dziewuchę kulą zdzieli, gdy do stajni lata, albo za to samo parobkowi da po gębie. Poco więc takie gadanie? Przez to pana gadanie opowiadają ludzie o panu Bóg wie co, i mają pana za najgorszego z najgorszych. Pan sam na siebie nagaduje, więc co się dziwić, że ludzie na pana pomstują.

— Nikt nie pomstuje.

— Pomstują, tylko pan nie słyszy. Jak nie mają pomstować, kiedy pan opowiada, jak to pan tego każe zatłuc na śmierć, temu sto batów, a temu dwieście, temu na sucho, a temu na mokro. Sam pan z siebie niepotrzebnie najgorszego człowieka robi.

— I tak moi ludzie w ogień za mną pójdą.

— Tak się panu zdaje, akuratnie tak samo jak to, że pan każdego za byle co rozciągnąć każe i baty mu sypać. Ani pan batów nikomu nie sypie, ani nikt za panem w ogień nie pójdzie, — wzruszyła ramionami.

III.

Ludka cudem ocaliła Ochockiego od śmierci natychmiastowej, ale lada przypadek mógł odkryć jego schronienie i oddać go w ręce chłopów. Tej samej nocy weszli oni do pokoju panny Tekli. Ludka była już przebrana w wiejskie suknie. Wydobyła je panna Tekla ze skrzyni jednej z dziewczyn dworskich, która jak i cała służba gdzieś się zapodziała. Ochockiego zaś nakryła tak pierzynami i poduszkami, że łóżko wyglądało jak nieruszone. Kobiety przeszły jednak chwilę śmiertelnego strachu, gdy kilku drabów do drzwi dobijać się poczęło, i trzeba im było otworzyć. Nie dostrzegli jednak nic podejrzanego, zwłaszcza że zajęci byli czem innem.

— Wyście dworskie?

— Tak.

— Pani może gospodyni?

— Zajmuję się tu trochę gospodarstwem — odparła panna Tekla.

— To pani wiedzą, gdzie śrybra pochowane.

— Srebra dziś wszystkie podane były na stół.

— Więcej nima?

— Może jeszcze co zostało.

— To chodźcie, pokażecie.

Ludka została sama. Wzniosła ręce do nieba i padła na kolana. Morze łez huczało w niej, tłumiła jęki w oszalałej piersi. Matko Boża! Matko miłosierna! — wyciągała ręce do obrazu, wiszącego nad łóżkiem. Dziękowała za cud i błagała o jego przedłużenie i modliła się jednocześnie za duszę ojca. Matki już nie miała. Została sama, bezbronna, wśród zbirów, z tym okaleczałym człowiekiem, który teraz był jej najbliższym. Dotychczas nie doszło między nimi do wyznań, miłość ich dopiero się zaczynała. Ludka przez tę straszną noc minęła wszystkie jej stopnie i stanęła odrazu na tym najwyższym, z którego już nie widać pierwszych oczarowań, zachwytów i uniesień miłosnych, tylko ich treść, przerobioną na uczynienie życia wspólnem i jednem aż do śmierci.

Przeleciała przez nią myśl, że może bandy napadły również dwór jej ojca, i znikła wobec innych spraw stokroć ważniejszych. Kubeł z wodą stał nieruszony, stara koszula, przygotowana na bandaże, leżała nietknięta. Jak tu zrobić opatrunek? Jak i kiedy? W każdej chwili może ktoś wejść, jak teraz. Z dziedzińca, podwórza, pokoi niosły się nawoływania i krzyki. Czy oni kiedykolwiek stąd odejdą? Może, gdy zrabują wszystko do ostatka. A czy on tego doczeka?

Nie śmiała tknąć poduszek, odchylić pierzyn, przekonać się, czy Ochocki żyje. Panna Tekla nie wracała. Ludka podchodziła ciągle do drzwi, nadsłuchując, ale nie słyszała nic, prócz ochry-

płych, pijackich głosów. Czy wróci? czy jej nie zrobili czego? Nie było w tej chwili nic ważniejszego nad powrót panny Tekli.

Ochocki jęknął. Jęk powtórzył się, bolesny i przeciągły, pościel poruszyła się gwałtownie, rzucał się w łóżku. Ludkę zlał zimny pot przerażenia. Radość, że żyje, mieszała się z oszalałym strachem. Przytrzymywała pościel oburącz.

— Cicho! Cicho! Na miłość boską cicho — mówiła półgłosem.

Jęki ucichły. Widać zemdlał. Wreszcie panna Tekla wróciła. Była szara jak ziemia, napół przytomna. Ale Ludka o nic nie pytała. Zamknęła drzwi i oznajmiła szeptem, że Ochocki żyje, bo jęczał i ruszał się, i że coś koniecznie zrobić należy, gdyż nie można tak czekać bezradnie. Panna Tekla przytaknęła jej skinieniem głowy. Był teraz czas po temu. Szela kazał kopać dół i grzebać pomordowanych. Wszyscy pociągnęli na to widowisko. Nim się skończy, one chorego opatrzą jakoś i ułożą. W miarę jak mówiła, oczy Ludki stawały się coraz bardziej obłąkane. Rzuciła się ku drzwiom. Panna Tekla zastąpiła jej drogę.

— Ja muszę tam iść! — wołała Ludka, odpychając ją. — Muszę tam iść! Ojca mojego grzebią! Grzebią mojego ojca!

Panna Tekla zasłoniła sobą drzwi.

— Jego trzeba ratować, jego! Umarłym się nie pomoże, a ten zginie, gdy kto usłyszy.

— Mój ojciec! Mój ojciec!

— Cicho, dziecko, cicho! Nie krzycz tak, bo usłyszą. Inne ci życie teraz Pan Bóg oddał w opiekę. Miej siły. Trzeba to znieść.

Ludka oprzytomniała. Zdjęły poduszki i pierzynę i nachyliły się ze świecą nad Ochockim. Pojęły, że rana w głowie jest najniebezpieczniejsza, a rana od wideł nie leży w okolicy serca. Rozpięły mu surdut, kamizelkę, koszulę. Ciało miał w sińcach. Obmyły mu rany wodą, obwiązały, zbliżyły dzbanek do ust. Wtedy otworzył oczy i spojrzał wyraźnie, ocucił się.

Ludka położyła mu palec na ustach.

— Cicho! Niech pan o nic nie pyta.

Było jej dziwnie, że nazywa go panem, tak zżyła się z nim przez ten krótki czas.

— Później o wszystkiem pan się dowie. Teraz tylko cicho, na miłość boską cicho!

Dał jej oczami znak, że rozumie, i zaciął usta z bólu.

— Jednak on tu zostać nie może — nachyliła się do ucha Ludki panna Tekla. — Wcześniej czy później znajdą. Po tej stronie zamku są tajne drzwi, pokój, którego nawet służba nie zna. Tam trzeba go przeprowadzić, jeżeli będzie mógł iść.

— Przeniesiemy go.

— Trzeba przedtem zobaczyć, jak jest — odparła panna Tekla.

Powróciła niebawem.

— Wszyscy na dziedzińcu. Kopią ten dół. Prędko!

Uniosły Ochockiego. Ciężko, ale mógł iść. Wsparły go z obu stron i prowadziły przez ciemny korytarz. Panna Tekla pomacała ścianę, przesuwała po niej długo ręką, aż bez szelestu otworzyły się drzwi i ukazała się ciemna czeluść. Gdy oczy zaczęły się do niej przyzwyczajać, Ludka ujrzała jakieś skrzynie, oraz stojące przy ścianie fuzje i karabiny. Była więc broń! Nie miała jednak czasu myśleć o tem. Frasowało ją jedynie, że w pokoju tym jest bardzo zimno i że niema na czem się położyć. Panna Tekla znalazła jednak radę na jedno i na drugie. Zdążyła jeszcze przynieść pierzynę i poduszki. Teraz kazała odchodzić co prędzej. Nadarzy się dogodna chwila, a przyniesie wody i coś do jedzenia. Postara się o chłopską sukmanę. Bezpieczeństwo już zapewnione, a teraz niema czasu do stracenia.

Wróciła do swego pokoiku, posadziła przy sobie Ludkę i objęła ją wpół. Miała już cały plan obmyślony. Jeżeli oni tu się zagospodarują, jeżeli stąd zaraz nie pójdą, trzeba przystać do nich na służbę. Trzeba im drzewo nosić, w piecach palić, robić, co każą. W ten sposób będzie się miało dostęp do Ochockiego. Nie jest on poraniony tak, aby życiu jego co groziło. Wyleczy się sam, nawet bez doktora. Młody jest i silny. Gdy będzie mógł chodzić, ucieknie w chłopskiem przebraniu. O to najmniejszy kłopot. Tylko teraz zostawiać go samego nie można, bo zamarłby z głodu i zimna.

Ludka zgadzała się na wszystko. Do myśli panny Tekli dodawała swoje. Powróciło wrażenie ujrzanej broni. Gdyby trzeba było, gdyby taka konieczność nastała, to będą się bronić ona i Ochocki. Panna Tekla wstrząsnęła głową.

— Nie trzeba myśleć o tem — rzekła. I dodała: — Biedny pan.

IV.

Staszek patrzał posępnie na rabunek. Chłopi brali wszystko, co było pod ręką, i pakowali na dworskie bryki i wozy. Ci, którym ich nie stało, szli na wieś i ze swojemi wozami wracali. Inni wiązali rzeczy poprostu w płachty i dźwigali je na plecach. Zamek Bogusza był wielki, dostatnio zaopatrzony, bogaty w meble, sprzęty, garderobę, naczynia. Zabrano wszystkie futra, pozostawione w sieni. Kobiety opuściły dom w sukniach wieczorowych, tak jak stały, idąc po mrozie pieszo do siebie i nie wiedząc, co w domu zastaną. Chomiński kręcił się przezornie wśród rabujących, snuł się po pokojach, wypatrując rzeczy najkosztowniejsze, na które tamci często uwagi nie zwracali. Brali to, co najbardziej wpadało w oko, co było największe, choćby do użytku nie służyło. Jakiś chłop wziął poprostu wannę, i niosąc ją na głowie, maszerował do siebie. Dwóch innych na dziedzińcu kłóciło się o wyniesiony klawikord. Ludzie przysłuchujący się kłótni radzili im podział. Na podziale stanęło, i klawikord, porąbany na dwie części, umieszczony został na dwóch wozach.

— Widzi ociec, co tu sie dzieje? — spytał Staszek.

— Dobrze widzę.

— Syćko zabiorą, a nam co ostanie?

— Nie można im zakazować, poto tu przyszli.

— Niech biorą, ale nie syćko. Na czem ociec będzie siedział? Na czem ociec będzie jadł? Piękne tu będzie ojca panowanie! Piechtą stąd wyjdziemy, o kiju. Syćkie konie pozabierają, syćkie zaprzęgi. I bydło gonią z obór. Ten Chomiński to złodziej największy. Ubrał sie we futro i łyżki śrybrne chowa do kieszeni. A ma ze sobą wór, gdzie składa przeróżności, najdroższe, bo on sie na pańskich rzeczach zna. Niech ociec sie zastanowi. Porządek jakiś trza zrobić.

— Wołaj mi tu Jardysa — rzekł Szela.

— Bo jo wim, kaj Jardys.

— Poszukaj go. Kordygę i Tatarka też przyprowadź i sam wracaj.

Staszek skoczył, a on stał oparty o siekierkę i czekał, aż zoczył snującego się po pokoju Chomińskiego.

— I cóż, panie komisarzu, obłowiliście sie?

— Cóżem się miał obłowić?

— Futro macie piekne, po samym Boguszu pewnie. A co tam we futrze? — uderzył go jowjalnie po kieszeniach. — Drobiazgi tam jakieś same, dziecisko n na pamiątkę. Bo dzieci pewnie macie.

— Mam.

— I żonę tyż? Wyście, panie komisarzu, nie wdowiec?

— I żonę mam.

— Przynieście jej ładny prezent. Pierścień jaki. Na palcach panów pierścienie były. Chło-

pi ich nie pozdejmowali, z pierścieniami pochowali. Każę wam odkopać mogiłę, to je pozdejmujecie. Obrączki bedą tyż ślubne. Zachowacie je dla swoich synków i córeczek na wesele. Przyniosą im szczęście. Chcecie?

Chomiński odwrócił się niechętnie i kontemplować począł obraz, wiszący na ścianie, obraz ściemniały, nieduży, włoskiej szkoły z piętnastego wieku, w ramach złoconych. Wszedł na krzesło, aby go zdjąć, gdy Szela przyjrzał się mu podejrzliwie i rzekł:

— Nie ruchajcie tego.

— Dlaczego?

— Dlatego że nie ruchajcie.

— Potrzebne wam naco?

— A wam naco?

— Co tu ma wisieć?

— Niech wisi, kiedy wisiało. Nie ruchajcie, mówię!

Głos zabrzmiał mu tak groźnie, że Chomiński zlazł z krzesła i machnął pogardliwie ręką.

— Nie dbam o to. I tak nic to niewarte.

— Jak nic niewarte, to niech wisi.

I Szela zwrócił się do wchodzących ze Staszkiem Kordygi, Jardysa i Tatarka.

— Nie trza dać tu wszystkiego rozkraść.

— I my tyż tak mówimy — odpowiedzieli.

Kazał zaprowadzić porządek. Chłopów z zamku usunąć i nie pozwolić już nic wynosić. Zostanie tu Staszek, Kordyga i Tatarek. Pilnować będą. On z Jardysem pójdzie w podwórze, żeby

wszystkich koni nie uprowadzili. Wydawał jeszcze polecenia mającym pozostać, gdy kilku chłopów ruszyło z posadzki ciężką dębową ławę rzeźbioną, stojącą przy ścianie, na której wisiał obraz.

— *Halt!* — krzyknął.

Zatrzymali się.

— Już dosyć! Wynoście sie stąd! Ściany byście chcieli rozdrapać!

— Nie mamy tego brać, czy co?

— Nie macie!

— Nie nasze to, czy co?

— Czegój twoje, a nie jego? Nie słyszeliście, czy co?!

— Fura przyrychtowana.

— To ją odrychtuj! I nie mądruj mi tu jeden i drugi, kiej ja mówię! A czapke ze łba zdejmij, bo nie przed pastuchem stoisz! I poszeł precz!

Czapki zdjęli, ale mruczeli, idąc ku drzwiom.

— A nie mruczeć mi! — krzyknął za nimi wślad. — Język trzymać!

— Ma ociec *recht* — rzekł Staszek.

— Zwołaj mi wszystkich, co jeszcze są na zamku.

Przyglądał się krwawym plamom na posadzce. Trzebaby to zmyć. Paskudnie jest. We wszystkich pokojach plamy od krwi. Na dywanach, na butach krew poroznosili.

Ciżba chłopów wtłoczyła się do sali.

— Zabirajcie sie stąd! Ni macie już tu co robić! Nie bedziecie tu mieszkać. Coście zabrali —

wasze, a reszty nie ruchać! Pódziecie na dziedziniec i bedziecie czekali na moje rozkazy!

Wysunął się na to posępny, kudłaty chłop. Plamy krwi miał na kożuchu.

— Jeszcze tu dużo dobytku ostało — rzekł. — Inni wzieni, po sprawiedliwości i nam sie należy.

Nie skończył, gdy Szela trzasnął go w twarz.

— Naucz sie pyska nie rozpuszczać, kiej w wojsku jesteś! Trzymajcie go!

Kordyga i Jardys chwycili chłopa za bary. Szela podniósł siekierkę i prał. Przez głowę, przez twarz.

— Jakób! Jakób! Co wy robicie! — krzyczał chłop.

— Nie Jakób dla ciebie jestem, ino wódz! Gdybyś we wojsku był, tobyś już nie żył. Jużby cię pod murem postawili na rozstrzelanie. Ciesz sie, żeś ino po pysku wzion! Idźcie wszyscy na dziedziniec — rzekł chłodno. — Widzcie, że nie skończone, że jeszcze duża przed nami robota. Nie jedne Siedliska przed nami. Syćka ziemia musi być nasza, syćkie majątki nasze. Inaczej nie utrzymacie i tego, coście wzieni. Posłuch musi być. I pamiętajcie, że ja dla was od dziś nie Jakób, ino naczelnik. Dla posłuchu tak ma być. No, idźcie.

Pytał, czy w zamku nikogo ze służby nie zostało, prócz starej, która tej nocy pokazywała, gdzie srebra są schowane. Przyprowadzono mu Ludkę.

— Na służbie tu byłaś?

— Tak.

— Jak ci na imię?

— Ludka.

— Ostaniesz u mnie. Trza te krew z podłogi zmyć, żeby już jej nie było, jak wroce. I w piecach napalić. Weźmiesz sobie chłopa, bo nie poradzisz. Tyś od pokojów, czy od kuchni?

— Od pokojów.

— Bedziesz mi służyć, jak panu Boguszowi. Nie bedziesz miała krzywdy. Nie próżniacz sie ino, bo tego nie lubie.

Na zamek nikomu wchodzić nie pozwolił bez opowiedzenia się Staszkowi, Kordydze albo Tatarkowi.

— A na Chomińskiego miejcie baczenie, bo on złodziej największy. Jo idę z Jardysem w podwórze.

Czas był najwyższy, jeżeli cokolwiek miało być ocalone. Połowa koni została zabrana ze stajni, krowy i woły powypędzane z obory, świnie z chlewów, o chmary ptactwa, gęsi i indyki spędzone do stodół, kłócili się chłopi nazabój.

— Zbóje jesteście! złodzieje, a nie cysorskie wojsko! — krzyczał Szela. — Mówiłem, żeby w podwórzu niczego nie ruchać! Nie kraść! Mówiłem, że każdy dostanie sprawiedliwie, według podziału, a sam ni ma brać!

— Inne wzieny i pojechały!

— Powinieneś był pilnować jeden i drugi! Wasza wina! Zagnać mi syćko na miejsce! Cze-

gój ty do karyty konie przyprzęgasz? Po śniegu do kościoła karytą chcesz jechać, czy co? Odprząż mi zaraz!

— Babę wam w tej karycie do Siedlisk przywieziemy, Jakób! — zaśmiał się chłop.

Szela przymrużył oczy i przystąpił do niego.

— Najpierw, jo ci nie Jakób, ale naczelnik — to widz! Mnie tu nad tobą cysorz ustanowił i mosz do mnie mówić jak do cysorskiego urzędnika. Mosz pamintać, że jo we wojsku służyłem, kiedyś ty świnie pasł. Mosz sie odzywać z uszanowaniem. To najpirw. A potym nie wolno ci gęby rozdziawiać bez mego pozwoleństwa. Nie wolno ci gadać, kiej jo nie pytam. Posłuszeństwo musi być. Kto dobrze ludowi sie zasłuży, bede mu jak ociec. Ten gronta dostanie i na zasiew, i bydło i konie. Ale rozpusty nijakiej cierpieć nie bede. To widz.

Kędy przeszedł, porządek wracał. Chłopi bez rozkazu odkrywali głowy. Gdy tą samą drogą wracał do zamku, słyszał już koło siebie tylko „naczelnik".

Ludka zmywała krew. Z jękiem uwięzionym nachyliła się nad posadzką, jak nad relikwją. W tem miejscu leżał jej ojciec — to była jego krew. Zaklęczała się bez ruchu. Widziała go teraz jak żywego. Roztoczyły się przed nią, jak wachlarz, wszystkie spędzone z nim chwile, roztoczyły się z taką szybkością, a tak wyraźnie, że w życie swoje spojrzała aż do dzieciństwa. Ujrzała rzeczy dawno zapomniane, na pamięć nie przywodzone nigdy. Krew do niej mówiła. Ostatni jej głos! Niepisany testament. Miała zetrzeć ostatni ślad życia. Tą ścierką zetrzeć krew ojca. Wyobraziła go sobie we wspólnym dole. „Trzeba — rzekła sobie w duchu — trzeba". Nachyliła się nad posadzką i uderzyła o nią czołem, bez czucia.

Przywiodło ją do przytomności wstrząśnienie za ramię i chluśnięcie wodą w twarz. Przed nią stał Szela. Wróciło jej na pamięć wszystko, wraz z postanowieniem, że niczego po sobie pokazać nie może, że do końca musi wytrwać.

— Omdlałaś? — spytał.

— Nie, nie omdlałam.

— Jakże nie? Zemgliło cię. Nie dla dziewuchy taka robota. Chłopa trza. Idź, legnij. Jak bedzie potrza, to cie zawołam. Zaczekajno! A nie widziałaś, gdzie podział sie ten obraz, co tu wisioł?

— Nie widziałam.

— Zemgliło cie, to nie widziałaś. Tyś od pokojów była?

— Tak.

— Nie słyszałaś, Bogusz ani nikt tu nie mówił, co ten obraz wartał?

Zrozumiała, że powinna obraz ocalić, że jest wyrzucony albo do pieca przeznaczony na podpałkę, i że Szela odszukać go każe i zmarnować nie pozwoli, jeśli o wartości jego będzie wiedzieć. Więc rzekła:

— Ten obraz dużo wartał, to był stary obraz.

— Kiej był malowany? nie wisz?

— Ze trzysta lat albo więcej.

Nie wierzył uszom.

— Ze trzysta lat? Przesłyszało ci sie. Kaby tyle lat sie przechował?

— To było dzieło sztuki.

— Jak powiadasz?

— Dzieło sztuki.

— Tak ten obraz tu nazywali?

— Tak.

Zmarszczył brwi i zastanowił się głęboko.

— No, idź, legnij. Przypomnij sobie, co tu jeszcze takiego jest, i powidz. Bedzie ci dobrze. Legnij. Możesz spać do wieczora. Jak długo chcesz. Podłogi myć nie potrzebujesz, chłopom każę.

— Panie Chomiński! — krzyknął, gdy odeszła, — panie komisarzu! Panie Chomiński! Szukać mi Chomińskiego! Niech sie zara przede mną stawi!

Chomiński już biegł, za nim Staszek i Kordyga.

— Co wam się dzieje? — pytali, patrząc na pieniącego się Szelę.

A on oczy jak żelazne świdry wkręcił w Chomińskiego. Głos mu z wściekłości ochrypł.

— Kaj jest dzieło štuki? — spytał.

— Jakie dzieło sztuki?

— Te, co tu wisiało.

— Ten obraz?

— Juści.

— A bo ja wiem.

— Słuchajcie, panie Chomiński. Tu żartów nijakich nima. Dzieło štuki ma być odnalezione i oddane. Rozumicie? Dzieło štuki — wyjaśnił Staszkowi i Kordydze, wpatrzonym w niego jak w obraz — trzysta roków ma, może warte więcej jak cały ten zamek. Trzysta roków byle czegoby nie chowano. A ten je skradł!

— Szela! co wam w głowie?

— Naczelnik jestem, kondlu jeden! Ty ze mną nie żartuj! Widziałeś, co było wczoraj z tymi, w których futrze chodzisz! I z tobą potrafię! Kiedy łyżki śrybrne chowasz do kieszeni, nie mówie nic — ale do dzieła štuki ci wara! Ma tu być zaraz przyniesione zpowrotem. A nie — to ty na tem miejscu bedziesz wisiał! Rozumiesz? Ja nie żartuję.

Chomiński widział, że Szela nie żartował. Czuł, że obietnicy dotrzyma. Okiem nie mrugnie i dotrzyma.

— Nie wiedziałem, że wam na tem tak zależy — rzekł, odnosząc obraz.

— Zależy, nie zależy, syćko jedno. Dzieło štuki ma wisieć tam, gdzie wisiało. Dwóch przy niem stanie i będą strażować, aby nikt go nie ruchał. A tu, panie Chomiński, podłogę wyszorowaćby trza było, bo brzydko.

— Zdałoby się — przytaknął Chomiński.

— To ją wyszorujcie, ino prędko.

— Ja?

— Wy. Czegój się dziwicie? Tu panów nijakich niema. Wszystkie ludzie są równe.

W oczach bandy Chomiński był drugim obok Szeli. Był komisarzem, urzędowym niejako przedstawicielem rządu, obecnością swoją sankcjonującym mordy i rabunki, dającym zarazem gwarancję, że obietnice rządu, tyczące się uwłaszczenia i zniesienia pańszczyzny, zostaną spełnione. Władza między Szelą a nim mogła być dzielona, w oczach niektórych pełnił nawet nadzór nad Szelą. I oto od jednego słowa położony został temu koniec. Szela został sam, Chomiński zmieszał się z tłumem najniższym. „Tu panów niema, wszystkie ludzie są równe" — do Szeli się nie stosowało. On był naczelnikiem i mimo równości podłógby nie szorował. Nie czyniłby tego Staszek, Jardys, Kordyga, ani Tatarek. Ci stanowili jakby przyboczny sztab naczelnika. To samo, że ocierali się o jego kurtę, dawało im poszanowanie i posłuch. Chomiński zleciał wdół.

Szela swój krok polityczny potrafił zademonstrować; wpuszczał umyślnie chłopów na zamek, aby widzieli Chomińskiego, szorującego posadzkę. Błyskawicą poszło po całej bandzie, że komisarz na rozkaz Szeli to czyni. Szela w jej oczach stał się w tej chwili istotnie wielki. Już nie chłop, jak inni, tylko że oparty o Breindla i z Wiednia czerpiący swoją siłę, ale potentat sam przez się — władca! Ci, co dzień przedtem mówili do niego „Jakóbie", albo „kumotrze", nie śmieli myśleć o jakiejkolwiek poufałości. Przestali pojmować,

że kiedykolwiek istnieć mogła. Do tego autorytetu, do tego dyktatorstwa doszedłby wcześniej lub później, ale nie na drugi dzień po pierwszym swoim czynie wyprawy na Siedliska, gdyby mu los nie nastręczył możności zapędzenia do szorowania podłóg pana Chomińskiego.

A nie był ten pan Chomiński byle pomiotłem, zwykłym złodziejaszkiem, ludzką psiną, kulącą się pod kopnięciem. Wcale nie. Miał poczucie karjery, wzrok na ścieżki ku niej wiodące wyostrzony, węch do ludzi, mogących pod tym względem być mu pomocą, iście psi. Charakter kuty, mocny i ostry. Nietylko zbir, ale i ryzykant, nietylko wyrachowaniec, ale i intuicjonista.

Dziad jego był hyclem, to jest łapaczem psów, on już komisarzem austrjackim, to jest łapaczem ludzi. Po dziadzie odziedziczył niewątpliwie ów wzrok bystry, ucho niewrażliwe na wycia i udręki i umiejętność utrzymywania swej egzystencji sposobem okrutnym. Choć szlachtę polską mordował, za polskiego szlachcica lubił się podawać. W pochodzeniu jego polskiem było tyle prawdy, że dziad istotnie z Polski do Austrji zawędrował, z jakichś polskich mętów miejskich w wiedeńskie wsiąknął. Tam wkrótce zhyclował się i zniemczył. Potomstwo jego z Niemcami i Niemkami się kuplowało, z nizin społecznych powoli wychodziło, o zawodzie papy starało się zapomnieć, a zapominając, tradycję rodzinną nawet tworzyć. Ni mniej ni więcej od polskiego szlachcica, politycznego emigranta się wiedli. Nie szko-

dziło im to wcale, a nawet pomagało do afirmowania swej dzisiejszej niemieckości i wierności dla cesarza. Jeden syn urzędu jakiegoś się dochrapał, drugi w handlu robił, trzeci, ojciec komisarza, szynk trzymał. Chomiński we wczesnem młodości swej zaraniu dziejami rewolucji francuskiej interesować się począł i jakoweś rewolucyjne zdradzać sympatje. Od szynku ojca odchodził powoli, uczył się, czytał i polerował. Gnała go w życie żądza zrobienia karjery, majątku za jednym zamachem, zajęcia okazałego stanowiska, bez znojnego mozołu. Instynktem życiowym czuł, że rewolucje takim jak on dają okazje niebywałe. Na szubienicę, do Kufsteinów i Spielberga idą rewolucyjni szlachcice, elita inteligencji, myśliciele, którzy wierzą w rewolucję, jako w ideę znoszącą krzywdy i przyśpieszającą panowanie sprawiedliwości — wierzą w nią i giną w jej płomieniach. Zostają natomiast ci, którzy ją traktują jak swój osobisty interes. Oni w razie jej zwycięstwa zajmują miejsca, które należałyby się tylko tym, co padli, a w razie klęski godzą się, przy gorszej konjunkturze, ze zwalczanym przez siebie rządem, przy lepszej zaś drogo mu się sprzedają.

Do ruchu rewolucyjnego Chomiński nie przystąpił, bo pod rządami Metternicha żaden nie rozwinął się do punktu, w którym przystąpić do niego byłoby mu warto, swoje więc przekonania radykalne ulokował inaczej. Dzięki nim dostał posadę komisarza w Galicji. Już był wówczas żonaty i pasją zrobienia majątku owładnięty zupełnie. Przed graczem ryzykownym a asekurującym się otworzyły się ogromne horyzonty. Powstanie, przez emigrantów przygotowane, popierane przez szlachtę, groziło wybuchem. Stłumić je przy pomocy ciemnych band chłopskich było przysłużyć się rządowi i w wytwarzającym się chaosie złapać coś wielkiego, ku czemu tylko rewolucje dają sposobność. Chomiński nie chciał pozostać na boku, w cyrkule. Wolał przystąpić do bandy czynnie, ufny, że przez nią wyrośnie najłatwiej. Wiedział również, że może zbogacić się odrazu. Być demagogiem i jednocześnie lojalnym urzędnikiem, złodziejem i rabusiem bez narażania się kodeksowi karnemu, najbardziej mu dogadzało. Przebiegłość i ostrość dziada, wyrachowanie i ostrożność ojca połączyły się w jego biologicznej syntezie.

Tymczasem szorował posadzkę. Szelę znienawidził i byłby go zarżnął, ale że tego uczynić nie mógł, więc pokornie go słuchał i przemyśliwał, jakby łaski jego zaskarbić i stanowisko swoje odzyskać. Stało się to prędko.

Chłopi, którzy opuścili Siedliska, aby co prędzej z łupami powrócić do swoich zagród, wzbudzili żądzę w innych dojścia do majątku. Z wsi do wsi, do tych co jeszcze się nie podniosły, docierała wieść o wielkich bogactwach i skarbach, jakie z zamku Bogusza przeszły do włościańskich chałup i jakie tam jeszcze zostały. Kończył się beznadziejny chłopski żywot. Ręce trzeba było tylko wyciągnąć, aby mieć wszystko: ziemię, by-

dło i trzodę. Zima była ciężka, dzieci w izbach skwierczały, głód dokuczał. A obok, u tych, co z Szelą poszli, wszystkiego było już wbród. Wieźli fury, wyładowane bogactwem wszelakiem, pędzili krowy i konie. Baby, które mężów wstrzymywały od mordów, pchały ich teraz do Siedlisk, do Szeli. Jedni wzięli, dlaczego oni wziąć nie mają? Ani pan Bogusz ani syn jego nie żyją, więc własność ich do nikogo nie należy. Zbogaciły się kompany Szeli, a oni co? Co było pańskie, jest teraz chłopskie. Całego chłopstwa, nietylko tego, które morduje!

Gdzie był jaki urlopnik, jaki dawny żołnierz, ten podżegał nietylko do upomnienia się o podział, ale do nowych rabunków. Śniło się każdemu z takich, aby Szelą zostać. Te podżegania jednak skutku nie brały. Siedliska i Siedliska! Zamek Boguszów przedstawiał się jako nieprzebrana kopalnia wszelkich dostatków. Całą Galicję, wszystkich chłopów w Polsce powinien był obdzielić. Ciągnęli więc do niego jak do ziemi obiecanej zewszechstron. Starsi włościanie, parobczaki, chłopaki nieletnie, wyruszali z chałup. Zbroił się każdy, jak mógł, na wszelki przypadek. Ten w drąg, ów w siekierę, tamten w kosę, cepy, widły. Ciągnęły rzesze chłopskie wszystkiemi drogami ku Siedliskom. Pokryły się niemi zaśnieżone pola, jak stadami kruków. Przechodzili spokojnie koło dworów, choć wiedzieli, że tu i owdzie pana niema, bo w Siedliskach zamordowany został. Nie dali skusić się urlopnikom, gdy ci radzili napad.

Nie chcieli gwałtów ani zabijań, tylko udziału w tem szczęściu, które z Siedlisk na innych spłynęło. Zdawało się im, że zamek wszystkich nakarmi, napoi i odzieje; że jest nieprzebrany. Obok tych pragnień, gnała ich także ciekawość. Spojrzeć, jak tam jest. Nie zostać na uboczu. Nie być w upośledzeniu.

Przybywali grupami, po stu, po dwustu, i znajdowali bramy zatarasowane i straże, broniące im dostępu. Wtedy wołali o Szelę. Nic, tylko widzieć Szelę. Zatrzymywano ich przed bramami bez pozwolenia Szeli. Gdyby Szela wiedział, że są, wpuścićby ich kazał. Dostępu wzbraniają im jego podwładni, co się już utuczyli.

Zebrały się ich masy wielkie, zgórą trzy tysiące. Podawane z ust do ust nazwisko Szeli przemieniło się w jeden potężny okrzyk:

— Szela!! Szela!!

Rozbrzmiewało w powietrzu, gruchotało w zamek, wznosiło się ku niebu:

— Szela! Szela!!

Wreszcie furtką koło bramy wyszli Kordyga i Jardys.

— Pan naczelnik Szela zaraz wysłuchają chłopskiego narodu. Trzeba trochę poczekać, bo na głowie mają sprawy pilne, które muszą dokończyć.

Zniknęli. Tłum czekał cierpliwie godzinę i drugą. Znów rozległ się okrzyk:

— Szela!! Szela!!

Wtem brama rozwarła się naoścież. Szela ukazał się na koniu, w czapie futrzanej, z nieodstępną

siekierką, w rękawicach. Na wyłojonych butach miał ostrogi. Na kurtę narzucony płaszcz, spływający na oba boki końskie, ale pozwalający widzieć wspaniały czerwony, złotem haftowany czaprak. Obok niego jechali Staszek, Kordyga i Jardys. Podniósł dwa palce do czapki.

— Witom!

Tłoczono się, aby go ujrzeć. Jedni go nie znali, drudzy poznać nie mogli. Nie był to już Szela z przed dwóch dni. Nie kumoter, ani Jakób. I nie Szela, lecz naczelnik. Oczy przyzwyczaiły się do niego w mig. Tamten z przed dwóch dni był przebrany, nieprawdziwy, ten naturalny, taki, jak naprawdę był.

— Witom! — powtórzył.

Czapki spadły z głów, jakby je wiatr zmiótł.

— Nakryjcie głowy, bo nie przed panem stoicie, ino przed swoim równym, chłopem takim jak wy. Przed swoim własnym, chłopskim naczelnikiem.

Jechał wolno, pozwalając do siebie przystępować; gdy rozeznał kogoś, przemawiał:

— Nie widziołem cie dawno. Kajześ był?

Odpowiadano mu pokornie, nieśmiało, nigdy z nazwiska. Omijano mianowanie go, albo nazywano „naczelnikiem". Wtedy spoglądał łaskawie i zagadywał się dłużej. Gdy ktoś zuchwalszy cisnął się do niego, i chcąc pokazać swoją z nim poufałość, zaczynał z nim zapanbrat, uwag mu nie czynił, tylko twarz mu posępniała i w oczach stawał mróz. Wtedy śmiałkowi język się plątał, i znikał w tłumie.

Nie śmiano wtargnąć do zamku. Marzenie spotkało się z rzeczywistością i zgłupiało. Bramy nie były otwarte. Trzeba było przed niemi czekać pokornie. Nie wyganiano przez nie koni i bydła, nie wywożono skarbów. Wódka nie lała się z beczek. Nie było tylu panów, ilu tu weszło. Był tylko jeden pan.

Szela dokończył przeglądu. Dał znak, że chce mówić do wszystkich. Ciśnięto się do jego konia, rozpychano się.

Uderzył w struny głodu i nędzy, w struny poniewierki. To, co stało się w Siedliskach, niczem jest w porównaniu z tem, co należy zrobić, aby sprawiedliwości stało się zadość, aby wszystka ziemia i lasy między chłopów zostały rozdzielone, i zapewnione ich zwycięstwo.

— Przyszliście i patrzycie! Na co? Czekacie! Na co? Aż panowie między sobą sie zmówią i napowrót was za łeb wezmą? Nie wicie, co w Krakowie sie dzieje?! Nie wicie, że aż z Francyi panowie na pomoc swoim kuzynom przyjeżdżają i wojska szykują?!

Kto chce ziemię mieć, musi ją wziąć, kto chce dobro mieć, musi je zagarnąć. Tu, w Siedliskach, niema już nic. Ci, którzy tu przyszli, rozebrali wszystko, bo im sie to należało. Ale naokoło dwory są pełne, a każdy dwór przeciw chłopom forteca, a każdy jego właściciel — wróg chłopów i cysorza. Niechże idą tam, nie czekają. Niech sie leje szlachecka krew! Wtedy dopiero bedzie dobrze, jak ani jeden szlachcic nie ostanie.

Słowa jego działały jak gorzałka. Paliły we wnętrzu, szumiały w głowach. Podnosili je urlopnicy, przytakując okrzykami, dorzucając wymysły i pomstowania.

Wszyscy będą mieli to, co ci w Siedliskach, gdy wszyscy zrobią to samo.

— Na co czekacie?!

Wyliczał pałace, dwory bogate i zwykłe dworki szlacheckie. Rozwiązywał sumienia, jako że wszystko, co tam jest, z pańszczyzny wyrosło. Wymieniał nazwiska właścicieli, każde z nienawiścią i obelgą. Przy każdem jakąś wielką krzywdę chłopską malował. Gdy jej w pamięci nie miał, znajdował ją w wyobraźni. Kamocki tylu chłopów rózgami zasiekł, ile ma włosów na głowie. W Gorzejewach chłopskie dziewuchy i parobki, co je na służbę we wsi biorą, razem ze świniami jedzą. W Kopalinie dzierżawca kilka lat temu dzieciaka zastrzelił, gdy mu się na owoce do sadu zakradł. Nie wszyscy o tem wiedzą, ale on to dobrze pamięta. A dalej, w wadowickiem, bocheńskiem, jasielskiem, sandeckiem, rzeszowskiem — jeszcze gorzej. Wie o takim szlachcicu, co z chłopskiej skóry pas kazał wyprawić i brzuch nim sobie przepasuje.

Tłum kipiał. Dusza Szeli szła w niego. Spalała na popiół wstyd i litość. Dawała moc chuci krwi, żądzy rabunku. Łączyła się ze zwierzęciem, śpiącem w człowieku. Odwiązała je od łańcuchów sumienia i kary bożej. Tłum przemieniał się w stado zgłodniałych wilków. We wrzaskach urlopników huczał mord.

Szela rozróżniał ich pośród chłopstwa. Gromadził koło siebie, wydawał rozkazy. Oni poprowadzą bandy. Z jednego dworu do drugiego. Wszędzie to samo. Szlachtę w pień. Ani jednego szlachcica nie pozostawić. Dzieci - chłopaków — też, choćby w kołysce. Żeby to się na świecie nigdy już nie odrodziło. Wybić, jak szczury. Naczelnicy band jemu będą zdawali raporta. On wszystkiem rządzi. Prawo jest takie, jakie on ustanawia, innego już niema.

Słońce zachodziło. Szela wskazał je ręką.

— Gdy zejdzie, niech go już żaden pan nie widzi, tam gdzie wy bedziecie! Pamientajcie!

Tłum, wstrząsając kosami, cepami i widłami, zakołysał się, rozpołowił, dzielił na części. Wielkie bandy, prowadzone przez urlopników, szły we wszystkie strony. Szela długo patrzył na nie z konia.

— Tej nocy będzie gorąco! — zaśmiał się do swej świty.

Ludka i panna Tekla widziały tłum z okien. Strach je zbierał. Im mniej było ludzi w zamku, tem łatwiej było mieć staranie o Ochockim, wkradać się do niego i niepostrzeżenie wymykać. Chory był i gorączkował. Gdy Ludka tam wchodziła, panna Tekla trzymała straż i przechadzała się po korytarzu. W pewnej chwili pukała w ścianę. Wtedy Ludka wiedziała, że należy wyjść, gdyż nikt jej nie spostrzeże. Wpadała tam na sekundy, aby przynieść jedzenie i uprzątnąć pokój. Pełniła przy chorym wszystkie usługi. Dotąd nie mówiła z nim jeszcze wcale. Oznajmiła mu tylko, że

rychło ucieczka jest możliwa, gdy się podniesie. Za każdym razem uciekała jak najprędzej, obawiając się, że akurat Szela ją zawoła, a gdy się nie zjawi, podejrzenia na siebie ściągnie. Wraz z panną Teklą gotowała Szeli, jego przybocznym i Chomińskiemu. Reszta pozostałych chłopów rozlokowała się w oficynach. Mieli swoją usługę, złożoną z kobiet i dziewczyn wiejskich. Panna Tekla i Ludka, pomimo że nie wychodziły z zamku, wiedziały, że po nocach odbywają się tam pijatyki. Słyszały wyuzdane krzyki i śmiechy. Na Ludkę też padały łakome spojrzenia, gdy ją widziano krzątającą się po pokojach. Dziś właśnie zaczepił ją Kordyga. Schwycił wpół, gdy uciekała, i przyparł do muru. Nigdy nie doznała wstrętniejszego uczucia. Broniła się jak wściekła przed temi brutalnemi łapami, na których czuła krew. Chciał ją obalić na ziemię. Na to wszedł Szela i odepchnął go.

— Nie tykaj jej! Ona u mnie w służbie. Masz dosyć paniów! Do nich się weź!

Ludka opowiadała o tem pannie Tekli z wypiekami na twarzy. Nienawidziła Szeli, a musiała mu być wdzięczna, że ją obronił. Największemu zbójowi, mordercy ojca.

— Inaczej z tobąby było, gdyby wiedział, kto jesteś — rzekła panna Tekla.

— Dlaczego nie pomordowali także nas kobiet? — pytała Ludka. — Dlaczego? Dla niejednej szczęściemby to było. Wolałaby śmierć, niż patrzeć na to, na co patrzała.

— Nie mordowali może dlatego, żeby tem większą mękę zadać — odpowiedziała panna Tekla. — Na kobietę oni też rękę podnieść potrafią. Nie wiesz, jak tu z dziesięć lat temu zamordowano tę panią, która przyjeżdżała z Królestwa?

— Nie wiem.

Wtedy panna Tekla przypomniała sobie historję, którą słyszała od Bogusza i o której często rozmawiała z nieboszczką jego żoną.

Stary Bogusz słynął daleko w całym kraju z patrjotyzmu. Pamiętał Polskę niepodległą i brał udział w powstaniu kościuszkowskiem. To też do zamku jego przyjeżdżali często różni panowie z Warszawy i z Paryża. Radzili go się widać w tych swoich sprawach. Po wyprawie Zaliwskiego przyjeżdżała tutaj młoda pani. Nazwiska jej panna Tekla nie znała, bo pan Bogusz nigdy go nie wyjawił, choć znał je na pewno. Gdy już było po wszystkiem, mówił, że pani ta była wielką osobą w rewolucji i znana była jako panna Basia. Była jednak mężatką. Pan Bogusz mówił do niej — pani Felicjo. Uboga szlachcianka, z małego domu, wyszła przed powstaniem zamąż za kogoś bardzo bogatego i znacznego. Mąż jej czemś strasznie się splamił. Jeszcze gdy w. ks. Konstanty był w Warszawie; a gdy powstanie wybuchło, został po rosyjskiej stronie. Pan Bogusz opowiadał, że miał on powierzoną sobie straż nad Łukasińskim, gdy go wielki książę uprowadzał do Rosji. Wtedy ta panna Basia zmieniła nazwisko, różne nazwiska zresztą przybierała, aby się ukrywać, i cała po-

święciła się rewolucji. Najważniejsze sprawy trzymała w ręku. Słuchali jej najgłówniejsi spiskowcy polscy w Warszawie, w Paryżu i Krakowie. Swego męża nigdy nie wspominała, przeklęła go w pamięci, ale pan Bogusz, który wszystko wiedział, mówił, że ona przez miłość do męża tak w rewolucję się rzuciła.

— Może — rzekła Ludka. — No i co dalej?

Panna Tekla nie odpowiedziała odrazu. Zamyśliła się nad przypuszczeniem Bogusza, przyjętem przez Ludkę.

— Trudno w to uwierzyć. Gdyby do rewolucji poszła dlatego, że go kochała, to aby plamę na jego nazwisku zmazać, a wtedy nazwiskoby to nosiła.

— Odkupywała go nie na ziemi, ale w niebie — odparła Ludka — na ziemi go nienawidziła.

— Nie wiem, jak tam było, dość, że go się wyparła. Zniknęła mu z oczu na zawsze. Do dziś pewnie nie wie, co z nią się stało.

— Więc jakżeż to było?

— Panna Basia przyjechała do Galicji w tych swoich sprawach. Jeździła po całej Polsce, przekradała się, jak cień, do wszystkich zaborów. Tutaj bywała w tych dworach, które pomagały wyprawie Zaliwskiego. Kręciła się także między chłopami. Bywało, że nocowała po chłopskich chałupach, w wiejskiem odzieniu jeździła od wsi do wsi. I oto znaleziono ją zamordowaną na drodze, nie daleko Tarnowa. Ranę od noża miała w piersiach. Pochowano ją w Tarnowie, pod gładkim kamieniem, bez napisu. Jeden z panów sprawił jej pogrzeb, ale jako nieznajomej, przez uczucie ludzkości. Bał się przyznać, że ją znał. Nikt przyznać się do tego nie chciał, ani nie mógł. Szeptano tylko między sobą. Szeptano także, że miała przy sobie dużo pieniędzy, które między panami galicyjskimi zebrała na pomoc dla Polaków, zesłanych na Syberję. Przy zwłokach pieniędzy nie było. Zabił ją więc ktoś, kto wiedział, że pieniądze miała przy sobie. Śledztwo niczego nie wykryło. Nikt też śledztwu nie pomagał, obawiając się kompromitacji. Nikt o niczem wiedzieć nie chciał.

Niedługo po pogrzebie w Smarzewach, wsi pana Bogusza, wybuchła straszliwa zaraza. Mężczyźni, kobiety, dzieci padały jak muchy. Żaden ratunek nie pomagał. I wtedy chłopi zaczęli gadać między sobą, że tę kobietę, którą znaleziono na drodze do Tarnowa, zabił jakiś chłop smarzewski. Że ją dzień przed śmiercią w Smarzewach widziano, że ze Smarzew do Tarnowa na noc poszła, czy też pojechała. Tego nikt dobrze nie wiedział. A w Smarzewach był taki pomór, że cała wieś poszła, oprócz Szeli i jego rodziny, na nasze nieszczęście.

Potem tam chałupy kadzono i nowych osadzono chłopów. Z dawnych nikt nie został. Jeżeli ją naprawdę jaki chłop ze Smarzewa zabił, bo to może być i bajka, to nie są oni tacy, aby na kobiety ręki nie podnosili.

— Gdzie oni teraz poszli? — rzekła Ludka, myśląc o bandach z przed zamku. I nagle straszliwy płacz nią wstrząsnął.

V.

Bandy szły ku najbliższym dworom. Jedna do Lipek. Prowadził ją urlopnik Hmyz. Wykładał w drodze kanony austrjackiego patrjotyzmu, opowiadał o cesarzu, niczem jego poufały. Jak jada i mieszka, jaką karetą jeździ, jak jest najbogatszym z monarchów, jak wszystko przed nim korzy się i drży. Wydawało się, że chłop polski powinien był kochać austrjackiego cesarza za to samo, za co nienawidzić miał polskiego szlachcica. Słowa Hmyza entuzjazmowały tłum. Czuł się połączony z potęgą cesarską, ogniwem jej łańcucha.

Była już późna noc, gdy zbliżyli się do Lipek. Umilkli, sunąc cicho jak duchy. Zamiarem Hmyza było wpaść niespodzianie do dworu i zamordować śpiącego dziedzica. Pusto było na drodze, topolami wysadzonej, prowadzącej wprost do dworu, pusto na białych polach. Brama była zamknięta, sztabami założona. Pilnował się. Mogli ją wysadzić, ale nie chcieli czynić hałasu. Poszli od tyłu, od ogrodu, wdrapywali się przez płot. Ponad wszelkie spodziewanie nawet pies nie zaszczekał, nie gwizdnął stróż nocny. Spało wszystko.

Pewni siebie podchodzili już pod dwór, gdy nagle z boku huknął strzał, we dworze zapaliły się

światła, z okien padły strzały. Rzucili się w popłochu, aby zpowrotem przeskakiwać płot, gdy tam spotkała ich służba folwarczna, uzbrojona w kije, i grzmocić poczęła bez litości. Nastraszeni, nie stawiali oporu; kosy, widły, cepy i drągi, przeszkadzające im w przesadzaniu płotu, już porzucili, zaczęli więc znowu biec ku dworowi, tak aby go minąć i uciec przez podwórze. Tu zastąpiła im drogę Leokadja na czele zastępu dziewuch dworskich. Niosły konwie z gorącą wodą. Chlusnęły warem prosto w pyski. Rzuciły się z pięściami. Chwytały za kudły, szarpały pazurami, aż krew tryskała z warg i nosów.

Nie strzelał już nikt, tylko baby pięściami biły z frontu, mężczyźni kijami z tyłu. Dwóch chłopów było rannych w nogę, jeden w rękę. Huczało pod drzewami. Opętany wrzask wyzwisk targał sadem. Ze wsi, położonej niedaleko dworu, nadbiegli na ratunek chłopi, uzbrojeni w kłonice, i prać poczęli napastników. Teraz we drzwiach ukazał się Kamocki z kulą pod pachą i flintą w ręku.

— Bij dobrze! — krzyczał. — Nie żałuj! Wiązać ich!

Wiązać jednak nie było czem i nie było już potrzeby. Zbóje, spłoszeni, zbici w kupę, krzykami się tylko odganiali od razów. Było ich koło stu. Otaczali ich ludzie dworscy z flintami, ciskające obelgami kobiety, wszyscy chłopi z Lipek. Sad był pełny od dworu aż po wszystkie boki ogrodzenia. Kamocki zbliżył się do bandy.

— Kto was prowadził?

— Hmyz!! Hmyz!! — wydawali odrazu swego wodza, bez namysłu.

— Dawaj go tu!

Schwytany za bary, rżnięty w kark, stanął Hmyz przed Kamockim.

— Toś ty taki generał?! — zaśmiał się Kamocki na całe gardło. — Toś ty nie wiedział, hyclu, że moi ludzie stoją na drogach i pilnują, kto idzie?! Toś ty nie wiedział, że umyślnie puszczono cię, abyś tu wlazł? To w wojsku cię takie napady, zbóju, prowadzić nauczono? Ja cię lepiej nauczę! Sto kijów mu!

— Żołnierz cesarski jestem! — szarpnął się trzymany żelaznemi pięściami Hmyz.

— Cesarz taki złodziej jak i ty!

Kamocki wpadł w furję. Nie wiedział już, co mówi. Oczy zaszły mu krwią.

— Cesarzowi baty dać każę jak i tobie, gdy tu wejdzie! Myślisz, krwawa jucho, że Kamocki twojego cesarza się zlęknie?! Sto kijów mu! Powiedziałem!

Ryczącego Hmyza obalono na ziemię. Fornal zamachnął się od ramienia.

— Nie ty! — wstrzymał go Kamocki. — Bić go będą jego wojowniki. Naprzemian. Bij ty! Z brzega! Tobie każę!

Chłop chwycił kij i prał wściekle. Od pierwszych razów pękły żołnierskie spodnie. Trzeba było mu kij wyrwać, aby podać drugiemu. Bił jeszcze gorzej. Nieludzki wrzask, kwik zarzynanej

świni, dobywał się z piersi Hmyza. Kamocki, wsparty o kulę, liczył.

— Dość! — rzekł.

Hmyz wił się z bólu, skowyczał, leżał na ziemi jak poszarpana płachta.

— Idź do Szeli i powiedz mu, niech ci rany wyliże! Psi synu! Powiedz mu, że czekam na niego, aby mu zrobić to, co i tobie!

Stu chłopów w niewoli trzymać było niesposób. Kamocki kazał im wziąć pod pachy Hmyza i iść precz. Zabrać rannych. Wśród urągliwego śmiechu opuszczali sad. Wypychano ich ku bramie, waląc jeszcze z dobrego humoru, z nieprzebranej do bicia ochoty.

Szli znowu drogą topolami wysadzaną, aż jeden chłop przystanął.

— Co bedziemy ciągnąć to ścierwo? Powiesić go!

Odpiął rzemienny pasek u spodni. W mgnieniu oka pomysł został wykonany. Hmyz charcząc zawisł na gałęzi. Chłopi szli dalej.

VI.

Rzeź zataczała kręgi coraz dalsze, coraz okrutniejsza i bestjalska. Bandy, które rozeszły się z pod Siedlisk, zajmowały dwory, mordując i grabiąc. Zarażały mordem tych, którzy do rzezi jeszcze nie przystąpili. Tworzyły się bandy nowe. Wrzynały się coraz głębiej w kraj. Zginęli wszyscy Boguszowie w tych stronach osiadli i niemal wszyscy właściciele ziemscy. Rozpasanie doszło granic ostatecznych, okrucieństwo nic już ponad to, co wymyśliło, wymyślić nie mogło. Napadniętych rżnięto drewnianemi piłami, wypalano im przed śmiercią oczy świecą, chore na panującą wówczas szkarlatynę dzieci wyrzucano z łóżek na śnieg. Mordowano księży po parafjach, wdzierano się na cmentarze, rąbano krzyże, stojące na grobach pańskich, i palono niemi w piecach.

Zbrodnia się wściekła, szał oszalał.

Pod temi ciosami padało wszczęte powstanie. Kraków zajęli Austrjacy. Suchorzewski na czele oddziału powstańców wtargnął do Galicji, minął Wieliczkę i dotarł do Gdowa. Wraz z wojskami austrjackiemi otoczyli go chłopi. Oddział powstańczy wycięto w pień. Wychodziły procesje, prowadzone przez księży, aby do opamiętania przywrócić oszalałych. Ginęły. Chłopi byli jak żywioł, jak szerzący się pożar, jak wylew wód, trzęsienie ziemi. Czasem ludność miejscowa broniła dziedziców, odpędzała napastników. Kropla w morzu. Mord znaczył granice panowania Szeli, każdy dwór wyrżnięty granice te rozszerzał. Chłop, który zmaczał ręce w krwi, był z nim związany jedną wiarą, był jego duszą i jego człowiekiem. Nazwisko Szeli rosło, legenda coraz większa otaczała jego postać. Ale było drugie nazwisko, które też powtarzano i które też wszędzie było obecne. Nazwisko Kamockiego. Omijano jego Lipki, choć przed tysiącznemi zgrajami musiałyby ustąpić. Lipki stały się tajemnicze, zaklęte. Wiedziano, że cesarza nazwał złodziejem i że Hmyza powiesić kazał. Rozniosło się, że to on uczynił. Kamocki zdjąć go nie dał. Trup wisiał, dziobany przez kruki i wrony. Chłopi omijali to miejsce zdala, wpatrując się z zabobonnym lękiem w czarne chmury żerującego ptactwa.

Szela wiedział, że gdyby napadł na Kamockiego i go pokonał, byłoby to największe jego zwycięstwo. Znał gadki, że Kamocki w pysk go rżnął i obiecał postąpić z nim jak z Hmyzem. Jednak na Lipki się nie wybierał. Sam nie bał się, ale nie był pewny, czy chłopi nie pierzchną z drogi topolami wysadzanej, co prowadziła do dworu w Lipkach. Czyn ten odkładał na później. Czekał, aż potęga jego stanie się tak wielka, że przełamie gusło i przesąd.

Tymczasem postanowił objechać zdobyte dwory, zobaczyć swoich ludzi, ukazać się im. Uderzyć

ich oczy swoją potęgą, okazałością, przepychem. Wiedział, że równość, o której prawił, wtedy stanie się dla niego siłą, gdy całym swoim zewnętrznym wyglądem ponad znędzniałem stanie chłopstwem. Chłopstwo to zrówna się nie z dziadem, nie z takim jak ono, ale z bogaczem i panem. Jego osobiste powodzenie dla każdego zosobna jest powodzenia zapowiedzią. Przepychem pokona Kamockiego. Nie miał Kamocki takich ekwipaży, takiej uprzęży, jaka była w Siedliskach.

W saniach, zaprzężonych w szóstkę koni, mając przy sobie Staszka, wyjechał. Przed nim na wspaniałym wierzchowcu gnał Jardys. Po polach i drogach niósł się brzęk dzwonków, zbliżał się gwałtownie do zagrabionych dworów. Buszujący w nich chłopi wychodzili tłumnie. Witał ich Jardys okrzykiem:

— Naczelnik Szela jedzie!

Machinalnie, z nawyku odkrywali głowy, jak to zawsze na widok taki czynili. Kilkadziesiąt kroków za Jardysem niósł się kłąb śniegu, w którym migały łby końskie, błyskała pozłota uprzęży. Ogromne sanie, chrzęszczące kutemi płozami po zmarzłym śniegu, stawały. Szela podnosił się z wilczur i futer, i nie uchylając wielkiej, siwej czapy, przemawiał. Przemawiał krótko, do rzeczy. Przywoływał najsroższych zbójów. Chwalił, uderzał po ramieniu, kazał czekać na rozkazy — i pędził dalej.

Kiedy tak okolicę zlustrował i nad wieczór wracał do domu, wpadł w humor przedni i gęba

mu się rozwiązała. Z pod siwych brwi chytrze i śmiejąco zerknął na Staszka. Staszek znał to spojrzenie. Szela nie pokazywał go nikomu. Umiał grać oczami, przesłaniać je chmurą, puszczać przez nie ognie, tak jak chciał. Czytano w nich to, co sam w nich wypisał. Czasem zależało mu na tem, aby nie wierzono temu, co mówił. Wtedy oczy przeczyły mowie. Czasem chciał, aby za tem, co mówił, domyślano się rozległych, niewyjawionych rzeczy. Wtedy myśli tajemnicze wyglądały z oczu, jak z za krat więzienia. Teraz spojrzenie jego było szczere, nie udane. Spoglądał tak, gdy kogo oszukał i gdy ukrywać się z tem nie miał potrzeby.

— Umiem jeździć, co?

— Umie ociec.

— Na pana nadałbym sie, co?

— Co ojcu w głowie państwo! Panom niedobrze sie dzieje — skrzywił się Staszek.

— Bo głupi. Nie trza im było manifestów o równości pisać i z cysorzem zadzierać. Z próżnowania w głowie im sie popsuło. Chcieli coś nowego pokazać. Gdyby z ręki nie popuszczali tego, co mieli, gdyby darowizn nie chcieli robić, nicby im sie nie stało. Co kto robi sobie z takiego, co sie wyrzeka? Dałbyś komu co z tych pól, ustąpiłbyś komu? — powiódł oczami po polach. — No, gadaj!

— Co ociec pyta, kiedy nie moje.

— A czyje?

— Bo jo wim, czyje to teraz.

— Jeszcze nie wisz? To jo ci powim: moje.

— Jakiem prawem?

— Takiem samem, jakiem ich było. Umieli oni to wziąć. Skądże oni powstali, jak nie z chłopa? Zawsze to szlachta była na świecie? Musiało być tak, że jedni chłopi wybili drugich chłopów, innych zniewolili, kazali im sobie posługować i zrobili sie szlachtą. Jo w nocy o tem przemyśluję, gdy nie śpię. Mówię ci, że tak było. Wzieni i ostało ich. U mnie też ostanie. Upomnieć sie nawet nie bedzie o to komu. Oprawione psy i szczenięta.

— Ostały suki — rzekł Staszek.

— To i co? Kogóż one sobie wezmą, kiej panów niema? Baba bez chłopa nie wytrzyma, czy pani czy chłopka. W człowieku jednaka natura — mówię ci. Powydają sie one za naszych. Jak zechcesz, to z Boguszówną jaką sie ożenisz — rada cie weźmie. Na pokoje swoje wróci i panować bedzie.

— Nad kim?

— Nad tymi samymi, nad którymi panował Bogusz.

— Ci, nad którymi panował Bogusz, bedą chcieli dostać jego ziemię.

— Nie. Tej nie dam. Co moje, to moje. Niech se tam dzielą w Kuflewie i Gorzejewach, ale nie tu.

— Nie puści ociec tej ziemi?

— Zebyś wiedzioł — nie puszczę! Należy mi sie. Jo wódz! Wynagrodzenie mi sie należy.

— A jak cysorz ojcu nie potwierdzi?

— Co ni ma potwierdzić? Nie syćko mu jedno, moje to czy Boguszów?

— A jak nie potwierdzi?

— Obaczymy.

— Jo ojcu mówie zawsze jedno. Jak bedzie, tak bedzie, a trza sie starać zawczasu, aby nie ostać sie bez niczego.

— Bez niczego to jo sie nie ostane.

— A co ociec ma?

— Mom telo, że mi starczy. Nie myśl, żem taki głupi, abym o syćkiem naprzóć nie pomyśloł. Tego, co mom, nie popuszcze, ale myśle i o tem, coby było, gdybym popuścił. Mnie, Staszek, nic sie nie stanie, widz to.

Teraz Staszek spojrzał po polach.

— Kiej to nasze, to na wiosne trzaby to zorać.

— Trza.

— A kim?

— Chłopi nam zorają, nie turbuj sie.

— Bedą to chcieli?

— Muszą. Bede ich opiekun. Wiedzą oni dobrze, że jakbym jo to oddał, to oni bedą musieli oddać swoje. Za darmo zorają. Do pańszczyzny nawykli. Przeciw mnie buntować sie nie bedą. Widziołeś, jak czapki przede mną zdyjmują? Nie może inaczej być. Musi jeden drugim rządzić. Tak od początku świata było. Są słabsze i mocniejsze. Słabszy mocniejszemu nie może nic odebrać i musi mu posługować. Jo tu najmocniejszy.

— A co ociec tak o równości gada?

— Równość inna sprawa, a siła inna. Równość jest, bo szlachty nima, a siła jest, bo jestem jo.

Wjechali do Siedlisk i Szela siadł z Staszkiem do stołu. Usługiwała im Ludka. Musiała dbać,

aby było wszystko jak należy, to jest tak jak u pana Bogusza. Szela wypytywał ją często, jak u pana Bogusza było, i wpadał w gniew, gdy spostrzegł, że nie jest to względem niego przestrzegane. Lubił sycić oczy widokiem srebra i saskiej porcelany. Z napojów jednak przekładał ponad wszystko siwuchę, a z potraw kiełbasę. Po wieczerzy rozwalił się w krześle, kazał przynieść pozostałe po Boguszu pudełko z cygarami i zawołać Chomińskiego.

— Ognia, panie Chomiński! — rzekł do wchodzącego.

Chomiński zapalił mu cygaro i czekał na rozkazy. Oczy miał zmęczone, starające się przybrać wyraz przychlebny, a kąśliwe i złe. Ludka sprzątała stół.

— Słuchajcie, panie Chomiński — mówił Szela — ma być ustanowiona w Siedliskach kancelaryja. Wy jesteście od kancelaryi i wiecie, jak to robić. Objechałem dzisiaj okolicę. Musi być inakszy porządek jak dotąd.

Nauczał go, co ma zrobić. Jak ma być ustanowiona władza na zajętych przez chłopów terenach. Dla władzy tej przepisane zostaną prawa. Obcym ludziom nie wolno w tych stronach jeździć. Dlatego każdy ma mieć papier od Szeli. Ktoby bez papieru takiego zatrzymany został, do Siedlisk pod strażą odprowadzony będzie. Kazał mu manifest ułożyć do chłopów z obietnicą, że ci, co wytrwają, dostaną ziemię, że nikt im nie odbierze tego, co zabrali. Znajdą się tacy, co potrafią manifest ten

odczytać chłopom. Nietylko panowie i księża czytać umieją.

W miarę jak mówił, błogość rozlewała się na twarzy Chomińskiego. Stawał się osobą wpływową. Stawał ponad tymi ciemnymi chłopami, do których Szela go zepchnął. Będzie szefem kancelarji, panem wszystkich tajemnic. Zbierze materjały do raportów, w których ten chłop może utonąć. Będzie mu na ręce patrzył. Skłonił się nisko.

— Kiedy mam zacząć, panie naczelniku?

— Jutro od rana. Teraz idź pan spać.

Ludka sprzątała powoli, aby wiedzieć wszystko. Nie zwracano na nią uwagi. Gdy usłyszała o legitymacjach, struchlała. Żyła nadzieją ucieczki Ochockiego. Był chory i nogę miał tak potłuczoną, że nie mógł się ruszyć — o ucieczce dziś, ani jutro, ani w dniach najbliższych nie było co myśleć, a był już najwyższy czas. Lada dzień zaczną rozdawać legitymacje, obstawią drogi strażami. Jak się wtedy przedrze? Zamierzała uciec z nim do Lipek. Jedyne miejsce, gdzie mogli się schronić. Poszliby nocą. W przebraniu chłopskiem byliby bezpieczni. Teraz przebranie nie wystarczało. Trzeba było mieć papier od Szeli. Siły, podtrzymywane najwyższym wysiłkiem woli, opuszczały ją. Nakaz, że wytrzyma, że się nie złamie, że przed losem, skaczącym jej jak wilk do gardła, nie ustąpi — słabł. Znieczulone uczucia przebudziły się z martwego snu. Zawyła rozpacz za ojcem, zapłakało upokorzenie nad sobą. Męka duchowa tworzyła mękę fizyczną. Ludka pochyliła się jak pod

uderzeniem obucha, przydeptane serce jęczało, bolała ją w żyłach krążąca krew.

Zostawiła niepomyte naczynie w kuchni, poszła do zajmowanego przez siebie pokoju i uklękła przed obrazem Matki Boskiej. Modlitwa utrzymywała ją przy życiu, przenosiła w świat inny. Czuła się złączona z czemś przeogromnem, dobrem nieskończenie, potężnem, a niezmąconem. Wracała stamtąd do posługiwania Szeli i jego drużynie, obojętniejsza na swoje upokorzenie. Świat jej do tego się nie ograniczał, co było koło niej. Nawet rzecz najohydniejsza, której nienawidziła najbardziej — nacieranie tłuszczem butów Szelowych — nie wprowadzała w nią mętu. Gdyby nie miała nic koło siebie, tylko wyzwiska, zbrodnie, posługiwanie mordercom, czyżby wytrzymała?

Modliła się dziś długo. Kiedy podniosła się z kolan, zamek cały spał. Przywołała Teklę i oznajmiła, że idzie do Ochockiego. Tekla stanęła więc, jak zawsze, w korytarzu, mając uszy nadstawione na każdy szmer, cierpnąc na tę chwilę, gdy otwierały się drzwi ukryte. Ludka weszła i zapaliła w ciemnicy kaganek. Ochocki leżał zasłonięty skrzyniami, tak iż go ujrzeć odrazu nie było można.

Usiadła przy nim na posłaniu.

— No, jakże panu?

Starał się uśmiechnąć, ale ujął ją tylko za rękę. Rysy miał wykrzywione i cierpiące. Blady był niezmiernie, zapuszczała się niegolona broda, rana na głowie goiła się, ale otaczała ją sina pręga, i oko

napuchnięte wyskakiwało z orbity. Cały dzień ustawicznie oczekiwał jej przybycia, a gdy przyszła, wolałby, aby go nie widziała. Upokorzony był swoim wyglądem. I żył w udręce strasznej, że Ludka tylko dla niego tutaj przebywa, że gdyby nie on, uciekłaby łatwo. Wiedział od niej o Lipkach.

Ludka nie mówiła mu, że usługuje Szeli. Utrzymywała go w mniemaniu, że nikt tu na nią uwagi nie zwraca, że biorą ją poprostu za jedną z dawnych dziewczyn dworskich i zostawiają w spokoju, o nic nie pytając, że jest tu z pewnością bezpieczniejsza, niż byłaby gdzie indziej. On jednak czuł, że te zapewnienia przysłaniają jakąś nieznaną mu prawdę, i słuchał ich podejrzliwie.

Z opowiadań jej o tem, co się dzieje, z dokładnej znajomości rzeczy, wynikało, że Ludka nietylko przesiaduje w pokoju służebnym i nic nie robi, ale ciągle spotyka chłopów, którzy zajęli zamek, i słyszy ich rozmowy. Czasem jedne jej słowa przeczyły drugim. Ochocki gubił się w przypuszczeniach i niepokoju, pragnąc tylko, aby opuściła Siedliska. Pragnienie to biło się z drugiem, aby nie odchodziła, pierwsze jednak zwyciężało. Ale Ludka do rozmów tych nie dopuszczała. Zostali razem, odejdą razem. I wezmą z sobą pannę Teklę. Jej też zostawić nie można. Odejdą z tych okolic, opuszczą Galicję i dadzą sobie radę na świecie. Majątki ich zostały stracone. A może nie. Może cała ta burza przeminie, przyjdzie ktoś, kto sprawiedliwość wymierzy. Chłopi dwory opuszczą.

Przemyła mu ranę, zmieniła bandaż, wytarła twarz i szyję wodą. Teraz z przyniesionego saganka nalała herbaty i podała talerz. Pomagała mu ruszyć się, układała oparcia z poduszek.

— Pani jest jak anioł — rzekł.

— Anioł z jajecznicą — roześmiała się.

Patrzyła z rozczuleniem, jak jadł. Obok uczucia dla niego, które w okrucieństwie życia rosło gwałtownie, budził się w niej instynkt opiekuńczy. Nadawał zręczność jej palcom, kazał odgadywać każdą potrzebę chorego, dawał zauważyć każdą zmianę w jego stanie. Wydawało się jej, że dziś stan ten lepszy jest niż wczoraj. Nalewając drugą szklankę herbaty, nadmieniła, że może trzeba będzie niedługo opuścić Siedliska. Wspomniała o legitymacjach. Ochocki nie przeraził się. Chłopi czytać nie umieją, policja Szeli z kogo innego składać się nie będzie. Wystarczy wiedzieć, jak dokument taki zewnętrznie wygląda, aby go sobie sporządzić i przejść z nim bezpiecznie te strony. Przyznała mu rację. Nie zastanowiła się nad tem, myślała, że jest znacznie gorzej. On jednak przywiązał się już do pierwszej jej myśli. Wyjść stąd jak najprędzej, zaraz.

— Trzeba poczekać, aż choć noga wydobrzeje — rzekła.

Wtedy wsparł się o skrzynię i powstał. Wstać mógł, ale kroku postąpić ani rusz. Noga była opuchła, bezwładna i dolegała straszliwie. Czy nie przetrącona w kolanie?

— Uderzył mnie w nogę kołem, gdy leżałem już na ziemi — biadał.

— Niech pan się już położy, nic z tego nie będzie — przerwała przypominanie napadu.

Usiadł na skrzyni i rozglądał się, czy niema laski albo kija. Nie było. Poprosił więc, aby mu podała stojący przy ścianie karabin. Wsparł się, uczynił dwa kroki, usiadł znowu. Potem z najwyższem natężeniem, powłócząc nogą, posunął się o kilka kroków i zawołał z triumfem:

— Widzi pani!

Ludka badała każdy jego krok. Myśl jej pracowała nadzwyczaj chłodno. Prawda, że legitymacje nie stanowią takiej przeszkody, jak w pierwszej chwili myślała, ale przy zaprowadzaniu nowych porządków, zakładaniu kancelarji, pobyt tu przedstawiał się coraz trudniej. Dziś w zamku mieszkało kilku ludzi, a gdy utworzą się urzędy, we wszystkich kątach będzie pełno. Była spokojna o Szelę, Staszka, Kordygę, Tatarka i Jardysa. Wiedziała, że niczego nie wypatrzą, ale obawiała się Chomińskiego. Niechby ją spostrzegł, zbaczającą na ten korytarz, niechby zauważył saganek z gorącą wodą, jużby coś podejrzywał i usiłowałby sprawdzić swoje podejrzenia. Dotychczas niczego nie przypuszczał, a jednak oczy jego szpiegowały ją i śledziły. Z nałogu i z wrodzonego usposobienia. Takich Chomińskich przybędzie tu więcej. Z pewnością.

— Kilka kroków pan postąpi, ale daleko pan nie zajdzie — rzekła z przygnębieniem.

Wiedział, że ma rację, jednak nie rezygnował. Gdyby można było konie wykraść i sanie. Chodzić nie może, ale powozićby mógł. Do podwórzaby doszedł. Wziąłby z sobą broń. Była mowa, że dostałby przebranie chłopskie. Czy to możliwe?

Skinęła potakująco głową.

W przebraniu chłopskiem, tłumaczył dalej, niktby go w podwórzu nie poznał, nawet gdyby go spostrzegł. Koniby naturalnie wtedy wyprowadzić nie mógł, i wróciłby tutaj na dawne miejsce. Gorszego nicby nie wyniknęło.

Poddawała się tym argumentom. Nad szczegółami planu się nie zastanawiała, wierzyła jego męskiej energji i przezorności. Uratowała go, gdy był nieprzytomny i połamany, teraz, gdy do siebie przychodził, los u niej złożony oddawała w jego ręce. W miarę jak mówił, rzecz coraz bardziej wydawała mu się wykonalna i niezwłoczna.

— Na co czekać? — pytał. — Dlaczego nie dziś?!

— Na podwórze pan nie dojdzie, na sanie pan nie wejdzie.

— Dojdę i wejdę.

— Trzeba poczekać jeszcze kilka dni. Jest panu lepiej. Trzeba poczekać.

— Niewiadomo, co będzie jutro. Szela wrócił z objazdu, śpi mocno. Wszystko śpi. Może już drugiej takiej chwili dogodnej nie będzie.

Drgnęła. Słowa te podziałały na nią, jak w jasnowidzeniu wyrzeczone.

— Dobrze! Niech będzie! Jedziemy! — zawołała.

— Pojadę tylko ja.

— Sam?

— Sam.

— Dlaczego to, proszę?

— Niech mnie kto spotka i przyłapie w podwórzu. Mam nadzieję, że nie, ale trzeba to przewidzieć. Gdy będę z panią, wszystko się wyda. Nie mogę narażać pani.

Rozgniewała się na dobre. Przed chwilą mówił, że ucieczka uda się na pewno. Do podwórza i tak nie dojdzie, trzeba go będzie podtrzymywać i prowadzić. A któż konie wyprowadzi? Może on? A kto mu na sanie wsiąść pomoże? Ona, zresztą, nie zostanie tu godziny dłużej. Niech nawet nie myśli o tem, aby sam pojechał.

— Nato ja pana na rękach prawie tu przyniosłam i ukryłam, aby pana chłopi dobili na podwórzu? Aby pan mnie zostawił samą? — dodała.

Nie opierał się już. W obojgu była jedna, wszystkie względy i rozumowania przezwyciężająca chęć — wyjechać razem.

— Jedziemy!

Spadł z nich na chwilę wszelki ucisk, czuli tylko bezgraniczną radość postanowienia. Ochocki wybrał dwa karabiny. Nabił je. Wziął amunicję.

— Proszę teraz położyć się i czekać spokojnie, aż przyjdę z ubraniem — rzekła Ludka.

— Jedziemy — szepnęła na korytarzu do ucha pannie Tekli. — Jedziemy.

— Dokąd?

— Do Lipek. Uciekamy.

Panna Tekla przeżegnała się.

— Moja droga, nic się nie bój. Zbieraj się i czekaj na mnie. Ubierz się dobrze, lecz z sobą nic nie zabieraj. Spiesz się, bądź gotowa, gdy przyjdę.

Poszła nasampierw w podwórze. Przekonała się, że wszystko śpi. Dworzanie Szeli podczas jego nieobecności spili się naumor. Stróża nie było, czat żadnych. Sanie, nie wciągnięte do wozowni, stały koło stajni. Zajrzała tam. Dwóch parobków, śpiących przy koniach, chrapało. Noc była mroźna, księżycowa jasna. Wróciła na zamek. Przez chwilę nadsłuchiwała przy drzwiach Chomińskiego i uspokojona odemknęła drzwi, skąd dochodziło chrapanie. W salonie leżał rozwalony na kanapie Kordyga, napół rozebrany. Nagie stopy wystawały mu z pod kożucha. Napalone było mocno. Odór potu dławił ją. Z długich butów, onuczek, walających się na ziemi, bił jak dżuma. Zdjęła kożuch i nakryła Kordygę sukmaną, aby się nie przebudził z braku okrycia. Wzięła także czapkę, spoczywającą na konsoli.

— Jest, co potrzeba — rzekła, wchodząc do ciemnicy.

— Skąd pani to ma?

— Nie czas pytać. Opowiem panu w Lipkach.

Ochocki nie mógł włożyć buta na chorą nogę. Ludka zostawiła go wówczas samego i wróciła z Teklą, już zebraną do drogi. Przyniosły kawał barchanu, owinęły nim stopę, obwiązały, nałożyły na Ochockiego kożuch Kordygi. Jedną ręką oparty o karabin, drugą oparł o ramiona Ludki. Wówczas okazało się, że Ludka, dźwigając Ochockiego, nie może udźwignąć drugiego karabina. Kazała go nieść Tekli. Tekla wzięła go bez szemrania. Ucieczkę tę uznała za warjactwo, ale zgodziwszy się na nią, przyjmowała wszystkie jej konsekwencje. Niosąc oburącz karabin, postępowała na palcach za Ochockim i Ludką. Ostrożność ta niczemuby nie przeszkodziła, bo w ciszy nocnej rozlegało się uderzenie o podłogę karabina Ochockiego. Ludka już na to nie zważała. Zdała wszystko na szczęście. Byle wyjść prędzej.

Gdy wyszli na powietrze, Ochocki przystanął. Wciągał je głęboko w piersi, chcąc zimnem zgłuszyć ból i obronić się od zemdlenia. Zdołał zapanować nad sobą, i ciągnąc chorą nogą, szedł dalej. Podtrzymywany z obu stron zdołał wgramolić się na sanie. Ludka oznajmiła, że na przedzie usiądzie ona, bo ona będzie powozić. On niech pilnuje panny Tekli i karabinów, aby w razie czego... Pobiegła teraz pędem do bramy i otworzyła ją. Wyniosła z stajni chomąta, wyprowadziła konie, zaprzęgła.

Serce łomotało jej w piersiach, ale gdy skoczyła na sanie, obejrzała się na Ochockiego. W uśmiechu rozchyliły się jej karminowe od mrozu usta i błysnęły zęby. Jaśniała cała. Chwyciła mocno lejce i zdzieliła konie batem. Szczęściem nie wzięła uprzęży z dzwonkami, sama była jak tysiąc dzwonków skrzydlatych, lecących powietrzem. Obu-

dziłyby się zamek i podwórze. Przy dyszlu brzęczał tylko dzwonek jeden. I ten ją niepokoił. Gdy więc minęła bramę i skręciła ku Lipkom, zatrzymała konie. Odjęła dzwonek. Sanie pomknęły cicho.

Z mrozu, białego śniegu, gwiazd i księżyca spływały w nich otucha i siła. Udało się! Poczuli swą dzielność, odwagę i zwycięstwo. Po ciężkich nocach na zamku ta noc była rajem. Po raz pierwszy od krwawego napadu nie pod jednym z Szelą dachem. Nawet panna Tekla odzyskała mowę.

— Dobrze konie idą — rzekła.

— Prawda? — odkrzyknęła Ludka.

— Bo też pani doskonale powozi.

— Nie wiedział pan? Powożę i jeżdżę konno. I strzelaćbym potrafiła, gdyby do czego przyszło.

— Do ludzi?

— Teraz i do ludzi.

Głos zabrzmiał jej twardo, i wszyscy umilkli na długo. Nagle Ochocki odwrócił głowę, nadsłuchał i krzyknął:

— Panno Ludko! co koń wyskoczy! Gonią nas!

W odpowiedzi wsparła się tylko w saniach i cięła konie batem. Leciały jak strzała. Ale i tamte ztyłu leciały także. Bliżej i bliżej. Pogoń była wyraźna, nieomylna. Ochocki ułożył się w saniach z karabinem gotowym do strzału. Widział już dwóch chłopów, pędzących na koniach, ale nie strzelał.

— Stój! Szeli nie ujdziesz!

Imię to padło jak rozkaz do strzału. Strzał huknął. Za jednym drugi. Trzeci. Rozniosły się

po polach, aż pod Siedliska. Ludka waliła konie batem.

Pogoń ustała. Ochocki nie pojmował, że tylko dwóch chłopów w nią się puściło. Nie mówił jednak nic. Smierć nad nimi przeleciała i nakazała milczenie. Przekonany był, że obydwóch położył trupem. Widział, jak zwalili się z koni. Panna Tekla dygotała na całem ciele i raz wraz czyniła na piersiach znak krzyża. Konie zwolniły biegu, Ludka bała się, że padną.

— Kto nas gonił? — zapytała wreszcie.

— Ludzie Szeli.

— Ilu?

— Dwóch.

— Strzelał pan trzy razy.

— A no tak.

— Zabił pan kogo?

— Zdaje mi się, że obydwóch.

Wstrząsnął nią dreszcz. Mimo wszystko, co widziała, mimo nienawiści, jaka w niej się zrodziła, te dwa trupy padły jej kamieniem na serce. Ochockiemu także. Było mu straszno zabijać polskich chłopów. Zdawało się mu, że gdyby nie Ludka, gdyby nie kobiety, które miał pod opieką, nie strzelałby. Niechby było, coby było! I tak nie byłby strzelał, gdyby nie to Szeli nazwisko. Ono kazało mu pociągnąć cyngiel u karabina. Cóżby zrobili ci chłopi? Nie zawróciliby sami zpowrotem do Siedlisk. Czy mógł jednak wiedzieć, że jest ich tylko dwóch, że dalej nie gna ich więcej? Tę myśl miała w tejże chwili i Ludka, bo spytała:

— Nie jechało ich dalej więcej?

— Może i jechali, ale już się nie zbliżyli.

— Zobaczyli z pewnością zabitych na drodze i zawrócili. Jeżeli Szela nakazał pogoń, to nietylko dwóch za nami posłał.

— Jakże on się dowiedział?

— Kordyga, któremu zabrałam kożuch, widać się obudził. Zobaczył, że jest okradziony, pobudził wszystkich, pobiegł w podwórze. Tam spostrzeżono, że niema sani i brakuje koni, i nakazano za złodziejami pogoń. Oni pokradną wszystko, ale niech im kto coś weźmie!

— Jeśli to było tylko za saniami, to może nie było ich więcej niż dwóch.

— Może. W kożuchach byli?

— W kożuchach.

— Nie rozpoznał pan którzy?

— Ja ich przecież nie znam.

Przejechali już las. Ludka ucieszyła się, że nie zmyliła drogi. Jechała nią niegdyś z ojcem i zapamiętała dobrze. Łzy marzły jej w oczach. Rozejrzała się. Wszystko tak samo. Te same chałupy śpią pod śniegiem. W nich może mordercy. Ile łez musi popłynąć, aby w nich zbielała ta krew.

Już Lipki. Skręciła w aleję topolową, i nagle konie rzuciły się wbok. Stanęły dęba. Panna Tekla krzyknęła z przerażenia:

— Jezusie! Tu człowiek wisi!

Z gałęzi zwisała ludzka postać. Zachowała ludzkie kształty. Kości do połowy były odkryte,

czaszka odarta z ciała pod brodę, brzucha ani śladu, reszta jakaś czarna i ciemna. Włosy im stanęły na głowie. Ludka przymknęła oczy i świsnęła biczem. Konie nie chciały iść.

— Ja tu nie pojadę! Nie! Nie chcę! Za nic na świecie nie przejadę tędy! Za nic na świecie! — krzyczała panna Tekla. Chciała schodzić ze sani.

— Siedź! Gdzie pójdziesz?!

— Tędy za nic na świecie!

— Nie bądź głupia! Niech pan jej nie pozwoli schodzić, panie Janie!

Ochocki przytrzymał pannę Teklę.

— Niech się pani uspokoi! Nie będzie pani przecież wracać!

— Wrócę!

— Dokąd?

— Do Siedlisk!

Ale Ludka zsiadła już z sani, ujęła konie przy pysku i przeprowadziła pod fatalnem drzewem. Teraz trzeba było łomotać w bramę, wołać, aż zaszczekały psy i odezwał się głos:

— Kto tam?

— Swoi!

— Jacy swoi?

— No, swoi!

— Ale jacy?

— Pan Ochocki z Łazów.

— Pan Ochocki nie żyją.

— Otwórzcie bramę, człowieku!

— Zawracajcie, skądeście przyjechali! Widzieliście tego, co tam wisi?! Chcecie, żeby wam tak samo?

— Powiedzcie panu, kiedy nie możecie sami puścić!

— Pan śpią.

— Obudźcie!

— Coście za jedni?

— Powiedzieliśmy! Pan Ochocki i panna Sulmierska.

Stróż odszedł. Gwiazdy już zbladły, świt szedł, dworek Kamockiego bielał śniegiem i ścianami. Usłyszeli wreszcie otwieranie drzwi wchodowych, stukanie kulą o ganek. Kamocki ze strzelbą, w otoczeniu kilku tak samo uzbrojonych ludzi, szedł ku bramie.

— Kto to?!

— Ochocki!

— Kto?!

— Niechże sąsiad otworzy! Nie poznaje mnie sąsiad?! Ani panny Ludki?

— Wszelki duch Pana Boga chwali! Otwieraj! Żywo! No, śpiesz się, niezdaro, żebym ci kości nie połamał! Wszelki duch! Żyjecie?! Nie pomordowali was?!

— A jakże sąsiad uszedł cało?

— Opowiem. Wszystko opowiem. A pani ojciec?

— Ojciec nie żyje.

— Wiem. Wola Boga. No, chodźcie! Wejdźcie. Niechże was zobaczę. Nikogo prócz chamskich łbów teraz nie widzę.

— Kiedy ja z sani zejść nie mogę.

— Dlaczego?

— W nogę coś mi się stało.

Ludka wyjaśniła rzecz w dwóch słowach. Kamocki kazał znieść Ochockiego, ułożyć go na łóżku. Obudził dom, i podczas gdy panna Tekla i Ludka czekały na przygotowanie dla siebie pokoi, zajął się Ochockim. Obejrzał mu nogę, obmacał, naprostował.

— Nie złamana — rzekł. — Kości całe. Odrazu sąsiad czułeś taki ból?

— Nie pamiętam, bo zemdlałem.

— Uderzona była silnie i opuchła. Zsiniała cała. Okłady trzeba było robić.

— Nie miał kto.

— Napij się sąsiad wódki, a zaraz będzie lepiej.

— Na czczo?

— No, kieliszek. Nim Leokadja kawę przygotuje. Leokadja!

Zmusił Ochockiego do kieliszka wódki, usiadł przy nim i kazał sobie wszystko opowiedzieć. Nawet kulą nie uderzał w podłogę i nie gestykulował, tak słuchał.

— Co za dziewczyna! — powtarzał — co za dziewczyna! W ojca się nie wdała, bo ojciec, między nami mówiąc, był ciapa. Świeć, Panie, nad jego duszą. Ocaliła sąsiada.

— Ocaliła — rzekł Ochocki.

— Ożeń się z nią, sąsiad.

— Nie pora o tem myśleć, panna Ludwika w żałobie.

— Aleście się już umówili?

— Nie było o tem mowy wcale. Jakżeż sąsiad wydostał się z tych opałów?

— Ja? Bardzo prosto. Pamiętasz sąsiad, jak oni weszli. Wyście struchleli. Myślałem, że będziecie się bronić, a wy nie. Jeden porwałem się z krzesła i na chłopów. Szela zastąpił mi drogę, a ja go w pysk. Nie widziałeś, sąsiad?

— Przyznam się, że nie widziałem.

— Nic dziwnego. W tem, co się działo, trudno było zauważyć. Rżnąłem Szelę w pysk, kazałem zaprzęgać — i wracam. O jednej nodze trudno mi było walczyć. Gdybym był wiedział, tobym został, ale dopiero tu się dowiedziałem.

— Dobrze, że sąsiad nie został. Nie żyłby sąsiad.

— Bóg strzegł. Tylko, żeście wy tak się dali!

— Nie był tam sąsiad, więc sąsiad nie widział.

— Dajmy już temu spokój. Nie mówmy o tem. Szczęście, żeś sąsiad ocalony został. Co za dziewczyna! Gdy żałoba minie, to sąsiad się ożenisz. Jej Kraśnica, majątek piękny, bo to dziś tylko jej.

— Zniszczona pewnie doszczętnie.

— Co, Kraśnica?

— Chyba.

— To sąsiad nic nie wiesz? Kraśnica stoi, jak stała. Chłopi, jak i u mnie w Lipkach, nie dali nic złego robić. Rządca tam siedzi, gospodaruje i czeka na nowego pana.

— A Łazy? — spytał Ochocki z zapartym oddechem.

— Łazy, co innego. Tam banda przyszła. Rządca sąsiada nie żyje. Zamordowany. Dwór złupiony, inwentarz rozebrany. Cóż sąsiad chcesz? Ale ziemia została. Ziemi nie ugryzą. Wszystko do sąsiada wróci. Tymczasem u mnie siedź. Tu nic się nie stanie. Widziałeś sąsiad tego, co tam wisi?

— Widziałem. To sąsiad go tak na gałęzi powiesić kazał?

Kamocki zawahał się z odpowiedzią, poprawił kulę.

— Nie, nie ja. Chłopi — rzekł.

VII.

Dwa konie wpadły na dziedziniec, obleciały wkoło, rozbiegały się po parku, popędziły w podwórze. Dery, popręgami spięte, zsunęły się im aż pod brzuchy, tręzle, jak z rąk wypuszczone, zwieszały się z karków. Gdy je schwytano, jeden powalany był krwią. Czerwona, zaskrzepła jej wstęga plamiła mu kark i nogę aż do kopyta. Człowiek, nim z niego spadł, trzymał go się oburącz i broczył krwią. Pierwsza rzecz, którą stwierdzono w Siedliskach, rozpoznawszy tutejsze konie. Dwóch stajennych, pilnujących koni, nie było, oni więc na nich w nocy wyjechali i zostali w drodze zabici. Szela zarządził śledztwo natychmiast. Kazał zaprząc sanie, i wtedy spostrzeżono, że tych, któremi jeździł, niema, i że dwóch jeszcze koni w stajni brakuje. Zaprzężono sanie inne, wsiadł w nie z samym tylko Chomińskim i, wyjechawszy za bramę, zobaczył odrazu, że ślad szedł w stronę Lipek. Przez całą drogę nie odezwał się ani słowa, aż ujrzał leżącego na śniegu trupa.

— Stój!

Zsiedli z sani z Chomińskim. Zabity był istotnie jego koniuchem. Dostał w piersi. Szela rozpiął mu kożuch i przyglądał się długo ranie.

— Uważajcie dobrze, panie Chomiński. Kula od karabina.

Kazał jechać dalej, drugi koniuch leżał martwy. Kula uderzyła między okiem a nosem. Śmierć musiała nastąpić natychmiast. Od karabina także. Pojechał dalej śnieżnym śladem. Ślad szedł wyraźnie do Lipek.

— Zawracaj — rzekł.

Dopiero gdy ujechali kilka stajań, zapytał:

— Co myślicie o tem, panie Chomiński?

Chomińskiemu rzecz przedstawiała się prosto. Zabici chłopi zmówili się z złodziejami, którzy przyszli po konie i sanie. W drodze złodzieje chłopów zabili, aby konie i sanie mieć tylko dla siebie.

Szela wstrząsnął głową.

— To nie jest tak. Moi ludzie nie mieli żadnego jenteresu koni i sani złodziejom wydawać. Złodzieje z karabinami nie jeżdżą i nie pojechaliby do Lipek.

— Cóż więc według pana naczelnika się stało?

— Nic nie wiem, to tyż nie gadam. Obaczymy.

Wrócił na zamek i zastał Kordygę lamentującego po stracie kożucha. Zabrano mu go w nocy. Ktoś obcy chodził w nocy po pokojach. Szela kazał wołać Ludkę, czy czego nie słyszała. Nie było jej. Nie było także panny Tekli. Przetrząśnięto cały zamek, nadaremnie. Historja coraz bardziej stawała się zagadkowa.

Chomiński postawił nową hipotezę.

Ludka, stara Tekla, zabranie kożucha, sani i koni, to jedno. Zmówiły się z kimś z zewnątrz, aby uciec. On, Chomiński, podejrzywał Ludkę oddawna.

— Czego pan nic nie mówił?

— Bo pan naczelnik tak ją sobie upodobał.

— No, gadaj pan dalej.

— Ludka i Tekla uciekły z ludźmi, którzy po nie przybyli uzbrojeni. Ludka zabrała kożuch na drogę, bo noc była zimna. Uciekli do Lipek.

— Czego pojechali z nimi moje ludzie ze stajni?

— Właśnie! — potwierdził Staszek.

Kordyga, Tatarek i Jardys patrzyli w Szelę jak w tęczę. Myślał. Wreszcie zagadnął:

— Pan jesteś komisarzem, panie Chomiński?

— Komisarzem.

— Jak wszystkie komisarze są takie głupie, to w Austrji niedobrze się dzieje.

— Pan naczelnik ma dobry humor, a śmiać się niema z czego — żachnął się Chomiński.

— Jo się nie śmieję. Ino uważaj pan. Jakby jacyś ludzie przybyli tu z karabinami po dziewkę i tę starą, to nie przybyliby na piechtę. Karabiny mieli, to konie mieliby tyż. Pojechali do Lipek, bez Lipek więc tego nie robili. A jak robili z Lipkami, to Kamocki konieby im dał. To jedno. A drugie, nie kazaliby moim ludziom za sobą jechać.

— Pana ludzie byli z nimi w porozumieniu.

— Pocoby ich tedy zabijali po drodze?

— Tu są dwie sprawy — rzekł Kordyga. — Konie i sanie zabrano swoją drogą, a stara i dziewucha poszły swoją drogą.

— A twój kożuch?

— Wzięła go na drogę, jak pan komisarz mówią.

— Nie potrzebowała twojego kożucha, miała swoje kiecki. Niedalekoby zaszła w takim ciężarze.

— Jo wim! — zawołał Jardys.

— Co wisz?

— Ten, co sanie ukradł, na zamku był i kożuch zabrał.

— E, nie! — zaprzeczył Tatarek. — Ten, co sanie wziął, miał swój kożuch. Twojego nie potrzebował. Kożucha nie wziena ani dziewczyna, ani te złodzieje. Wziął ktoś inny, z tutejszych.

Szela popatrzył na nich z pogardą.

— Głupiście wszyscy — rzekł.

— Nie tak, jak panu naczelnikowi się zdaje — odparł Chomiński, czując już, że nad Szelą weźmie górę.

— Więc co pan myśli? Jak pan wi, niech pan powi.

— Kto panu naczelnikowi powiedział, że ten obraz, co tu wisi, jest dziełem sztuki?

— Ten obraz?

— Aha!

— Co obraz ma do tego?

— Więcej, niż pan naczelnik przypuszcza.

— Pan myślisz, żeś pan ino taki mądry, że kto inny na tem sie nie rozumi.

— A kto inny na tem się tu rozumiał? Niechno pan naczelnik powie.

— Jo na tym rozumiałem sie sam.

— Pana naczelnika o obrazach w wojsku nie uczyli. Nauka o obrazach to duża nauka.

— Więc pan tero sie przyznajesz, że ten obraz dużo wart?

— Co wart, to my obydwaj nie wiemy.

— Czegój go pan brał?

— Nie o to chodzi. Chodzi o to, że pan naczelnik nie mógł wiedzieć, aby ten obraz był dziełem sztuki. Mnie odrazu zastanowiło, skąd pan naczelnik wie.

— Jo syćko wim. Przede mną nic sie nie ukryje.

— Odrazu mnie to zastanowiło — nie dał zbić się z tropu Chomiński. — Nie jestem z takich, co wszystko wiedzą, ale zato co wiem, wiem dobrze. Otóż wiem teraz dobrze, że o tym obrazie powiedziała naczelnikowi Ludka.

Szyderstwo błysło mu w oczach. Jardys, Kordyga, Tatarek i Staszek poczuli, że Szela dał się Ludce podejść. Nie rozumieli jeszcze związku, jaki w umyśle Chomińskiego istniał między obrazem a tajemniczą sprawą, ale to poczuli. Chomiński przebieglejszy był od Szeli. Staszek zaniepokoił się o ojca. Przenosił wzrok z Szeli na Chomińskiego i z Chomińskiego na Szelę. Ale Szela, uderzony

także prawdziwością domysłu Chomińskiego, oczami i wydęciem warg grał lekceważenie.

— A gdyby Ludka mi powiedziała, coby z tego było?

— Byle sługa o takiej rzeczy wiedzieć nie może — odparł Chomiński. — Edukowali ją widać we dworze. Skąd ona była, z jakiej wsi, nie wie naczelnik?

— Nie pytałem.

— Usługiwała naczelnikowi, wszędzie chodziła, wszystko widziała, dopuszczał ją naczelnik do sekretów i nawet nie wie naczelnik, z jakiej wsi była!

— Do nijakich sekretów jej nie dopuszczałem.

— Dopuszczał ją naczelnik, myśląc, że nic nie rozumie, a ona doskonale wszystko rozumiała. Jak na obrazach się znała, to i na polityce naczelnika potrafiła się poznać.

— Nie możesz jej pan tego obrazu darować.

— Cała służba uciekła, a ona została. Najmądrzejsza. Nie została ona poto, aby naczelnikowi buty czyścić. Szpiegiem tu była, a naczelnik o tem nie wiedział.

— Austrjackie gadanie!

— Jak austrjackie, to niech naczelnik słucha. Przez austrjackie gadanie naczelnik tu panuje, nie przez inne!

Szela zerwał się i pod samym nosem pogroził pięścią Chomińskiemu.

— Austrjackiego gadania słuchom, ale jak z innej gęby wychodzi, nie z komisarskiej. O mnie

cysorz wi! Rozumisz pan?! Pan mnie rozumu nie bedziesz uczył! Przykazowań mi tu nijakich pan nie bedziesz dawał! Jo tu cysorza wyobrażam!

Chomiński nie uląkł się i nie cofnął.

— Cesarza ja tu wyobrażam — rzekł.

— Pan?

— Ja. Ja jestem urzędnikiem jego cesarskiej mości i jako taki przy pańskim boku się znajduję. Przez rząd jego cesarskiej mości jestem tu odkomenderowany, abym na postępowanie naczelnika baczenie dawał.

Szela odstąpił, usiadł, wsparł się w krześle i drwiąco patrzył na Chomińskiego.

— Czegój pan podłogi szorował, kiejś pan taki dygnitorz?

Chłopi buchnęli śmiechem, a Szela mówił dalej:

— Nie jesteś pan tu nijakim przedstawicielem cysorza i nikt tu pana nie odkomenderował. Przyszedłeś pan z dobrej woli, aby sie zbogacić. Nakradłeś pan futrów, śrybra, łyżek. Niby jo nie wim, co masz pan pochowane! Jo panu nie bronie. Nie jestem taki, cobym każdemu na ręce patrzył. Ino mi sie pan nie stawiaj! Odpowiadaj pan, o co pytom, i *szlus! Verstanden?*

— Niech więc naczelnik pyta.

— Była szpiegiem, dobrze. Komuż ona donosiła?

— Kamockiemu w Lipkach.

— Przez kogo?

— Przez chłopów stajennych. Przez tych, których zabito.

— Dobrze. A czegój ich zabito?

— Szpiegów się zabija. Donosili z Siedlisk do Lipek, mogli z Lipek donosić do Siedlisk. Bo ja wiem, zresztą, czemu?

— To sie kupy nie trzymo. Nic pan nie wisz, a jo syćko wim.

— Co wie pan naczelnik?

— Moja rzecz. Niech te trupy zabiorą i zakopią, żeby na drodze nie leżały. Pan tego dopilnujesz i wrócisz pan. Bede pana potrzebował.

Umyślił, aby nic nie mówić. Udać, że wszystko przeniknął, że jest jedynym panem tajemnicy, lecz zdradzać jej z wiadomych sobie powodów nie może. Sam tajemniczością w ten sposób się osłaniał. Niech o nim gadki krążą, niech jego zamiarów się domyślają, niech o nim dziwy plotą. Najlepiej. Przypuszczeniami jednak Chomińskiego bardzo był zaniepokojony. I gdy ten, dopełniwszy polecenia, powrócił, posadził go przy sobie, poczęstował cygarem i wraz z nim dokładnie sprawę całą, szczegół po szczególe, analizował.

Zgodzili się na jedno. Ludka i Tekla umknęły niekoniecznie do Lipek, kożuch Kordydze mógł skraść kto bądź; ale jedno było pewne, że w Siedliskach byli w nocy jacyś ludzie uzbrojeni, którzy zabrali sanie i konie i pojechali do Lipek. Ludzie ci mieli tu porozumienia, zawiązali spisek. Do spisku należeli chłopi stajenni. Wiedzieli pewnie za wiele i życiem to przypłacili. Postanowiono ich się pozbyć. Ludzie, którzy tu przybyli, kazali im do sani zaprząc i jechać za sobą. W drodze ich

pomordowali. Spisek istnieje niezawodnie. Należy wykryć, kto do niego jeszcze należy i w jakim celu został zawiązany.

— Cel może być tylko jeden — rzekł Chomiński.

— Jaki?

— Zamordowanie pana naczelnika.

— Mnie?!

— A cóż naczelnik myśli? Że naczelnik jest taki bezpieczny?

I Chomiński zdumiał, widząc, jak Szela przybladł. Twarde rysy sflaczały. Stały się jak u człowieka po przepitej, rozpustnej nocy. Wypełzła starość, trzymana na uwięzi potężną wolą. Cygaro w ręku dygotało.

— Mnie chcieliby zamordować?

— Na pewnoby chcieli.

— Za co?

— Mało to sobie naczelnik nieprzyjaciół narobił!

Szela napluł w garść, zgasił o ślinę cygaro, schował je do kamizelki i rękę wytarł o spodnie. Dym począł go krztusić i oszałamiać. Poczuł zawrót głowy. Oczy straciły blask i bystrość. Przysunął się do Chomińskiego tak blisko, że ten odwracał głowę przed jego oddechem.

— Ale przez co ich sobie narobiłem? Powidz pan. Przez to, że sprawiedliwość mom tu — uderzył się w piersi — i że cysorzowi służe wiernie. Sprawiedliwość i cysorz, panie Chomiński — pan mnie rozumisz? Sprawiedliwość i cysorz! Co

większego jest na świecie? Tym dwom największym rzeczom oddałem ciało i duszę. Od maleńkości świeciły nade mną, jak te gwiazdy na niebie. Wisz pan, co jo powim? Kiej na pańszczyznę chodziłem, przemyśliwałem, jakby to syćko odmienić. Jakbym to jo Bogusza i Boguszynę na pola wygnał i chłopszczyznę im odrabiać kazał. Taki sobie wtedy wyraz wymyśliłem. Chłopom mówiłem, ale słuchać nie chcieli, powiadali, żem głupi. Nie byłem jo głupi, nie byłem! Rozum we mnie rósł, nikiej to drzewo! Do wojska poszedłem, przypatrywałem sie potędze cysorskiej. W wojsku zrozumiałem, że ślachta polska jest wrogiem cysorza, że swojego króla chciałaby mieć. Bogusz u ostatniego polskiego króla był w służbie. U tego, co to wisz pan, popuścił, co było jego, i oddał Moskalom i Niemcom. Oddał tak, jak oni ziemie swoją oddawać nam chcieli. One są takie. Po sprawiedliwości nic ci nie ustąpi, ino abo przez głupote, abo żeby sie inni mu dziwowali: „Patrzajcie, ludzie, jaki to jo jestem!" Polski król popuścił, co mioł, dobrowolnie oddał, a jego i tak cysorze za łeb wzieni i do kryminału zamknęli. Mieli *recht!* Inaczej, jakby mu sie żal zrobiło, prawowałby sie i odbiroćby chciał. One są takie! Nic juchom wierzyć nie można. Powiadam panu. Oddaliby ten ochłap ziemi polskiemu chłopu, uwolniliby go od pańszczyzny, a potem go całe życie w buty całuj za te łaske. Jensza rzecz wziąć, a jensza dostać. Nie trza darowizny, gdzie po sprawiedliwości sie należy. Dawno przemyśliwałem, że trza szlach-

cie tak syćko odebrać, jak królowi polskiemu odebrał cysorz. Nie trza mi twojej łaski, bo mam siłe, aby sam ci wziąć. Jak zaczeni oni te manifesty swoje pisać, przeciw cysorzowi sie buntować, umyśliłem, że pójde przeciw nim i bede miał cysorza za sobą. Z panem Breindelem w Tarnowie długo gadałem. Nadziwować sie nie mógł, skąd jo mom taką nauke, taką przemyślność! Do Widnia, do Metternicha o mnie pisoł — wisz pan?

— Nikt nie przeczy, że naczelnik jest wielki człowiek — rzekł Chomiński.

— Jestem! Któremuby innemu chłopu przyszło do głowy, żeby z cysorzem się pokumać? Żeby cysorzowi dać podparcie? Żeby z szlachtą wojować? Nikomu innemu do głowy przyjść nie mogło, ino mnie! We mnie jest taki rozum, panie Chomiński, że sam tego swojego rozumu zrozumieć nie moge, i takie we mnie jest postanowienie, że swego dopne, choćby nie wim, co było. Jakem postanowił, że szlachty nimo być, to jej nie bedzie! Tu do Galicyi nikt z nich z pod Moskala ani Prusaka nie zajrzy, bo bedzie se przypominoł te drewnianą piłę, co nią jego kuzynom kiszki rżnięto. Jo jestem większy człowiek, niż to ludzie mogą dojrzeć. Gdyby dojrzeli, co jo mom we wnętrzu, toby zdaleka na kolana padali, jakbym szedł, abo jechoł. Jeszcze tak bedzie, panie Chomiński, jeszcze tak bedzie.

— Jeżeli naczelnikowi się uda.

— Jeżeli mordercy gdzie mnie nie zażgają, chcesz pan powiedzieć.

— Radzę naczelnikowi się pilnować.

— Syćko być może. Łotrów nie brakuje. Gdybym jo takiego znał, co na życie moje nastaje!...

Po Chomińskim, choć do fantazji Szelowej był przyzwyczajony, ciarki przeszły. Rzekł jednak:

— Trzeba szukać.

— Chłop, czy szlachcic, syćko jedno. Chłopu jeszczeby gorzej było. Pan tu od tego jestes, abyś wiedział i abyś mnie pilnował. Mnie włos z głowy spaść nie może, bo syćkiemu bedzie koniec. Z cysorzem miałbyś pan sprawę.

Obejrzał się dokoła.

— Nikt tu ni mo chodzić bez pozwoleństwa. Policję trza ustanowić, coby zamku pilnowała. Kancelaryja ma być. Rozkazałem przecie panu, aby była. Na noc ma być warta koło mojej sypialni. Pan będziesz jadał razem ze mną, to co i jo.

— Panie naczelniku — rzekł Chomiński — spokoju pan mieć nie będzie, dopóki Kamocki w Lipkach spokojnie siedzi.

— Jo to wim — odparł Szela. — Wim, że temu kulasowi trzaby drugą nogę i obie ręce odrąbać, a żywy kadłub na gałęzi powiesić lo przykładu.

— Niech naczelnik da ten przykład.

— Poczekaj pan, panie Chomiński, poczekaj. Jeszcze taką śtukę wyrychtuję, że Austrja sie zadziwi.

O czem myślał, Chomiński się nie dowiedział. Szela mówić nie chciał, zamknął się w swym pokoju i przesiedział do wieczora, nikogo nie widząc.

Zszedł na wieczerzę, przywołał do niej Chomińskiego i Staszka, ale Jardysowi, Kordydze i Tatarkowi siąść za stołem nie pozwolił. Gdy jak zazwyczaj miejsca zająć chcieli, rzekł:

— Bez pozwoleństwa nie siadajcie. Świń z wami nie pasałem.

Nie rozumiejąc, co to znaczy, sterczeli przy ścianie przysłuchując się rozmowie, którą z wielką poufałością Chomiński z Szelą prowadził. Opowiadał mu o Wiedniu, puszczał się na anegdoty o cesarzu. Zapijali bigos piwem i wybuchali głośnym śmiechem raz po raz. Szela miał śmiech ponury, osiadły i szyderczy. Dziwnie się śmiał. Jakby kogoś nogami deptał i pluł mu w twarz. Staszek wtórował mu rozgłośnie, prostodusznie, ale ten sam rodzinny, Szelowy, pogardliwy i drapieżny błysk miał w oczach. Chomiński śmiał się zwysoka, protekcjonalnie, swobodnie i umiejętnie. Nad stołem się nie nachylał, a gdy bigos zjadł, odsunął krzesło, wyciągnął nogi i zdala po szklankę z piwem ręką sięgał.

Jardys, Kordyga i Tatarek widzieli, że w łaski wchodzi. Jardys myślał, że widać tak trza. Chłop był srogi i krwawy, zarośnięty, o krzywej szczęce, co mu bardziej jeszcze dzikości w wyglądzie dodawało, ale gdyby Szela warować mu kazał jak psu, toby warował. Przywiązany był do niego ślepo i niewolniczo. Szela, według niego, omylić się w niczem nie mógł, był ponad wszystkimi, ponad samym cesarzem. W cesarza Jardys wierzył, bo wierzył w niego Szela, gdyby mu jednak Szela powiedział, że cesarz jest żyd i tyle wart co słoma w butach, to dla Jardysa wątpliwościby to nie ulegało.

Kordygę natomiast i Tatarka postępowanie Szeli ubodło. Tatarek, chudy, wąski w piersiach, o cienkim długim nosie, inne miał okrucieństwo w jasnych, przejrzystych oczach, niż Jardys. Jardys miał okrucieństwo wilka, Tatarek — żmii. Nie widziało się tego na pierwsze wejrzenie, bo był blondyn, twarz miał pociągłą, szczupłą i policzki lekko zapadnięte. Utajone w nim wszystko było i obrachowane. Kradł nie mniej od Chomińskiego, ale lepiej. Nietylko za rękę nikt go nie złapał, lecz z uczciwości zasłynął. Nawet Szela, który w niczyją uczciwość nie wierzył, był przekonany, że Tatarek chłop jest uczciwy. Przy obrachowaniu swojem bardzo próżny, przenieść nie mógł, że tak w oczach wszystkich od stołu odsunięty został. Po sobie jednak nic nie pokazał, przeciwnie, gdy Szela, Staszek i Chomiński wstali, stół piwem zachlapany wytarł i resztki jedzenia do kuchni zaniósł.

Jeden Kordyga sapał jak miech i z nogi na nogę przestępował z irytacji. Zuchwały, pijak i hulaka, z czupryną na czoło nawianą, popisywał się względami u Szeli, słowa jego przytaczał, chwalił się, co to on może i ile wie. Chłopi, dla zapewnienia sobie zagrabionych dobytków, zgóry, na wszelki przypadek o protekcję jego zabiegali, datki wciskali w rękę. Nie brał. Najwyżej wódkę fundować sobie kazał, ale i przy niej obietnic nie czynił. Szeli do oczu skoczyć potrafił, drzwiami trzaskał,

gdy się z nim przemówił, i klął aż po całym zamku było słychać, a jednocześnie drżał przed nim i krzyż na piersiach czynił, gdy do niego wchodził. Kazałby mu Szela w gołe kolana się całować, toby go całował, a potemby splunął, nie ukradkiem, na boku, jakby to uczynił Tatarek, ale odrazu, jawnie, tak aby Szela i wszyscy widzieli. Szela, gdy się rozzłościł, po pysku go prał, ale wolał od Jardysa i Tatarka. Uważał go trochę za swojego syna.

Kordyga przyjacielem był Staszka. Podobieństwa między nimi nie było, bo chciwości nie miał, był raczej zbójem niż złodziejem, Staszek zaś na wszystkie czyny swojego ojca patrzył tylko jak na drogę, prowadzącą go do ostatecznego i bezspornego posiadania Siedlisk. Szlachtę mordował, ale głównie dlatego, aby jaki dziedzic nie został, coby się o swoje upomniał. Baczył, żeby żaden Bogusz śmierci nie uszedł, i kobiety choć z tego jednego rodu dla pewnościby pozabijał. Szeli jednak wola była nieprzełamana, a i wszyscy chłopi do zabijania kobiet wstręt mieli. Najbardziej z pośród nich pod tym względem zwyrodniały, dusił się żądzą normalnego posiadania spuścizny po Boguszach. Wdychał powietrze, czy już wiosna nie idzie, i na śniegi spoglądał, czy już nie topnieją. Oby nie za późno! Gdyby tę ziemię pługiem skrajał, byłaby jego — na zawsze, jak kobieta po ślubie.

Szela otarł usta, skinął na Jardysa i kazał mu iść ze sobą. W sypialni było ciepło, łóżko rozebrane, kołdra odwinięta, okiennice zamknięte, firanki zapuszczone, świeca i siarniki na stole. Uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Dobry jest ten Chomiński. I na lokaja zdatny, i na pisarza, i na policjanta, i na dziełach sztuki sie zna. Do wszystkiego.

Usiadł na łóżku i nogi wyciągnął.

— No, zdejmij mi buty — rozkazał.

Jardys ściągnął mu buty, a potem spodnie i skarpetki. Od zamieszkania w Siedliskach Szela onuczek ani słomy w butach nie nosił. Chodził w bieliźnie Bogusza i bardzo sobie w niej podobał. Wszystko Staszkowi przeliczyć kazał i sprawdzał ciągle, czy czego nie brakuje. Chomiński i Tatarek ani jednej koszuli przywłaszczyć sobie nie mogli. Rozebrał się, ułożył pod kołdrą, wyciągnął na materacach, ale choć pokój należycie był ogrzany, kazał się Jardysowi poprzykrywać jeszcze zdjętem ubraniem. Wtedy z upału skóra swędzić go zaczęła, i Jardys musiał go po plecach i nogach drapać.

— Obocz, czy warta stoi przy drzwiach.

Warta stała i przed zamkiem straż przechadzała się także. Chomiński niczego nie zaniedbał.

Szela wsparł się o poduszki i rzekł półgłosem, choć go nikt prócz Jardysa słyszeć nie mógł.

— O tym, co ci tero powim, ani pary z gęby.

— Cobym miał gadać. Wicie, że jo nic nie gadam.

Gdy byli sami, Jardys mówił do niego jak dawniej, i nie tytułował naczelnikiem.

— Wim. Ale nawet Staszkowi — pamientaj!

— Jak nikomu, to nikomu.

— Żebyś wiedział. Siadajno tu i słuchoj. W cyrkule tarnowskim dwie ino wsie ostały, których chłopi bronią — Lipki i Kraśnica. Sulmierski tu w dole leży z innymi, ale i tak chłopi w Kraśnicy nic tknąć nie pozwolą. Bić sie z chłopami nie chcę. To samo i w Lipkach. Mioł szczęście kulos, że do Siedlisk na zabawę nie przyjechał.

— Jakoż nie przyjechał, kiej tu był.

— Kamocki?!

— Juści.

— Widziałeś go?

— Widziałem. Stał niedaleko Bogusza.

— I co?! Uciekł?!

— Nie uciekł, bo przewalił się, jak dostał przez łeb.

— Więc on nie żyje?

— Żyje. Nie widzieli go to chłopi, nie mówił im to, jak wam dał w pysk?

— Żyje i nie uciekł! Upiłeś ty sie czy co?!

— Ze sali on nie uciekł, ino uciekł z grobu. Jego rzucili z innymi do dołu...

— Widziołeś, jak go rzucali z innymi do dołu?!

— Widziołem.

Szela usiadł na łóżku i bose nogi oparł o posadzkę.

— Czegój mi o tem nic nie mówiłeś?! Baranie! Takiś ty głupi, żem takiego nie widział! Powiadaj, jak to było.

— Było tak, że z dołu odkopał sie i poszed.

— Nie mógł sie odkopać, bo dół był za głęboki. I choćby był żyw, toby sie był udusił, zadławiłoby go pod tylom grudy.

— On żywy nie uciekł. On uciekł umarły.

— Czyżeś ty zwarjował?!

— Nie chcecie, nie wierzcie.

— Powiadaj mi syćko! Czegój ślepiami łypiesz, jak ta ryba?!

Kamocki był w Siedliskach. Stał koło Bogusza. Zabito go jak innych. Jardys widział, jak go martwego rzucono do dołu. Dół był już zasypany, gdy wionął wiatr. To Kamocki wyszedł. Przeszedł koło Szeli i dał mu w pysk.

— Mnie dał w pysk?!

— Dał, inoście nie czuli. Martwą ręką wam dał.

Umarły wrócił do Lipek. Chłopi, co tam byli, ci których sprał, mówili, że od niego wiało zimno. Coby było innego? Umarły jest, ale udaje żywego. Ciało na siebie wdział napowrót. Dlatego nikt mu nie poradzi. Jardys o tem dawno wie, ale nikomu nie mówił, żeby nie straszyć. Gdyby ludzie dowiedzieli się, że Kamocki był pochowany i ożył, cisnęliby wszystko i poszliby z tych stron na koniec świata i tyleby z tego było.

— Czegój mnie nie powiedziałeś, baranie jeden!

— Myślałem, że wicie.

— Widziałeś, jak go rzucano w dół?!

— Widziołem.

— Na własne oczy?

— A na czyjeby inne?

— Nie omyliłeś sie?

— Nie znam go, czy co? Ino on jeden był bez nogi.

— Kiej on jest pochowany, to w Lipkach kto inny jest, nie on.

— On jest w Lipkach, nie inny.

— Nie baj byle czego!

— Przecie ludzie go znają. Nie poznałby kto Kamockiego? Opowiadał przecie tym chłopom, jak tu był, przechwalał sie, że wam dał w pysk, ino nie powiedział, że z grobu uciekł. Staszek przed nami poszedł do Siedlisk. Miał spenetrować, jacy są goście. Nie widział to Kamockiego?

— Budź mi Staszka!

Nie był w stanie położyć się do łóżka i czekał tak, z gołemi nogami na podłodze, aż Jardys wrócił ze Staszkiem.

— Słuchoj, Staszek. Jakeś ty do Siedlisk przybył przed nami, zwiedziałeś sie dobrze, kto tu był?

— Był Ochocki, Sulmierski...

— Kamocki był? — przerwał mu Szela.

— Był.

— Widzicie! — rzekł Jardys.

— Pewny jesteś?

— Jakże nie mam być pewny! ze stangretem jego gadałem.

— I co sie z nim stało?

— Uciekł.

— Ze sali nikt nie uciekł! Drzwi były poobstawiane! Byłbym wiedział!

Spojrzał na Jardysa i zamilkł. Gdyby tajemnica ta się wydała, byłaby gorsza niż zaraza. Ludzieby z przestrachu umierali. Jardys był głupi, ale rozum miał.

— A widzioł kto jeszcze Kamockiego?

— Wszyscy go widzieli. Widział go Tatarek i Kordyga.

— Wołać mi ich!

Potwierdzili to samo. Nie było najmniejszej wątpliwości, że Kamocki był w Siedliskach. Jeżeli był, został zabity, jeżeli został zabity, jest pochowany. W takim razie w Lipkach przebywa ktoś inny, kto za niego się podaje. Szela zatrzymał się na tem przypuszczeniu. Chciał jednak sprawdzić. W sobie zabobonów nie miał, ale każdy zabobon, w kim innym utworzony, przyjmował i poddawał mu się. Jeśli w grobie niema Kamockiego, to jest tak, jak mówi Jardys.

— Budzić Chomińskiego! Budzić ludzi! Niech łopaty biorą! Latarnie zapalić! Pochodnie! Lećcie! Czego stoicie z porozdziawianemi gębami? Duchem! Jardys, ty ostań! — wołał, nadziewając na siebie pośpiesznie buty i spodnie.

Gdy wybiegł przed zamek, tłum chłopów stał ze szpadlami. Kilku trzymało w rękach pochodnie i latarnie.

— Co naczelnik każe robić? — pytał Chomiński.

Szela już się opanował. Odzyskał zimną krew. Szczękami tylko ruszał, jak zawsze, gdy był w wielkiem wzburzeniu.

— Odkopiecie tę mogiłę! — rozkazał.

Chłopi zawahali się.

— Czego stoicie?! Rusz sie jeden i drugi!

Już nikt sprzeciwiać się nie śmiał, sam głos Szeli bił ich jak kamieniem w ciemię.

Była odwilż, śnieg pod nogami się rozpływał. Odgarnęli go łopatami i świeżo narzuconą ziemię odsypywać poczęli. Nikt głosu nie wydał, tylko stuk szpadli, tylko chrobot odrzucanego piasku, tylko skwierczenie pochodni. Jeden z kopiących zaprzestał, wyprostował się, za nim inni. Wzrok przerażony mieli, ogłupiały.

— Już? — spytał Szela.

— Już.

— Dokopaliście sie?

— Juści.

— Wyjmujcie trupy nawierzch! Żywo!

Odrzucili szpadle i z determinacją chwycili pierwszego za ramiona i nogi i wynieśli na ziemię. Potem drugiego.

Szela nachylał się nad każdym, latarnią kazał przyświecać, rozpoznawał. Nie szkodził mu zaduch bijący od trupów, nie sprawiały odrazy twarze, potwornie zmasakrowane. Długo wpatrywał się w Bogusza, aż go poznał po tuszy i siwych włosach, spadających z rozłupanej czaszki. Na rękach Bogusza błyszczały pierścienie.

— Kto chce, niechse te pierścionki zdejmie. I z innych także.

Nikt się nie ruszył, Chomiński tylko przysunął się, odstąpił, podszedł znowu, wreszcie przykląkł i począł pierścionki zdejmować.

— Zawszeć to złoto — rzekł.

Wydobywano trupy jednego po drugim. Wszystkie. Kamockiego nie było.

— Widzicie? nie powiedziołem wam? — rzekł do Szeli Jardys.

Ziąb przenikał kości, pochodnie i latarnie dygotały w zmarzniętych i przestraszonych rękach.

— Pogasić światła, niech sie po próżnicy nie palą. Już dnieje — rzekł Szela.

Nie czekał na zakopywanie wydobytych trupów. Wrócił z Jardysem na zamek. Wyjął z kredensu flaszkę z wódką. Pili, aż sine podkowy wystąpiły im pod oczami i twarze stały się blade jak chusty.

— Powiadasz, że Kamocki poszedł — rzekł Szela. Język mu się plątał.

— Poszed.

— Jako trup?

— Akuratnie.

— Oddechem se dziure otworzył i poszed.

— Juści.

— I tero w Lipkach przebywa?

— W dzień przebywa, a na noc tu wraca.

— Kiej go tero nie było.

— Bo ciało jego tam śpi, a tu ino duch przychodzi.

— Wisz, Jardys, kto sanie nam zabrał i dwóch ludzi zabił?

— Kto?

— On.

— Może być.

— On tu w nocy przybył. Do sani siadł, parobkom za sobą zaklęciem jechać kazał i po drodze ich pomordował. Jak bedzie chciał, syćkich nas pomorduje. Nic mu sie nie ostoi.

— One syćkie tak wstaną jak on.

— Kto?

— Syćkie. Bogusz i inne.

— Jardys! Milcz, kondlu jeden! Nie szczekoj! Nie wyj mi tu! Żebym ci z drugiej strony gęby nie wykoszlawił! Rozumisz, kondlu jeden!

— Nie krzyczcie, Jakób!

— Kiej mi sie podoba, to bede krzyczał! Nie masz mi się sprzeciwować. Jo tu naczelnik, chamie jeden!

— Takiście cham, jak i jo.

— Coś ty rzekł?

— Coście słyszeli.

— Jardys!

— Co?

— Śpij dziś ze mną.

— Boicie sie?

— Boje sie.

— A jo sie niczego nie boje.

— Boś sie spił.

— I wy też.

Chomiński przeszedł przez pokój, spojrzał na nich i machnął pogardliwie ręką. Nie widzieli go nawet. Bełkotali nieprzytomnie, aż obydwaj zwalili się pod stół.

Stał wielki dzień, gdy Szela obudził się. Ujrzał chrapiącego pod stołem Jardysa i przypomniał sobie wszystko. Słońce śmiało się przez okna. Wstyd go zdjął, że przejął się bredniami i niemal w nie uwierzył. W nocy, zdenerwowany przypuszczeniem o istnieniu spisku na swoje życie, dał ucho chłopskim baśniom. Teraz wyspany, we dnie, drwił z trupów, z duchów, z żywych i umarłych. Trącił Jardysa nogą.

— Wstawaj!

Jardys rozkleił zaropiałe oczy, przysiadł na ziemi i nieprzytomnie patrzył na Szelę.

— Śnił ci sie Kamocki?

— Kamocki?

— Juści.

Jardys otrzeźwiał. Podniósł się, przeciągnął, wyprostował ramiona.

— Dajcie pokój Kamockiemu.

— A żebyś nie gadał nikomu tego, co mi wczoraj powiadałeś.

— Gadałem to komu?

— Wim, że nie gadałeś, ale na wszelki przypadek ci zakazuje. Czy jeszcze pamientasz, co ci mówiłem, nimeś ze swojemi bajaniami wyjechał?

— Nie. Coście mówili?

— Zlej sobie łeb wodą i przyjdź do mnie.

Uczynił to samo, włożył szlafrok i pantofle Bogusza — lubił te atłasy — kazał przynieść sobie kawę, rozwalił się w fotelu i przedstawił Jardysowi swój plan.

— Miasta tero brać bede.

Jardys skinął obojętnie głową, tak wydawało się mu to naturalne.

Wsi niezdobytych zostało mało, wywodził Szela. Tych chłopi bronią, a on z chłopami wojny zaczynać nie chce. Sami się poddadzą i przed nim ukorzą. Gdyby długo w buncie trwali, to porządek z nimi zrobi, ale nie teraz. Teraz ważniejszą ma rzecz na głowie. Pójdzie zdobywać miasta. Nie ma nikt jednak wiedzieć, gdzie i poco. Dopiero w ostatniej chwili. Jardys, Kordyga i Tatarek mają zebrać tysiąc chłopów. Na koniach. Każdy na pańskiego konia siądzie, a jak braknie, na swoją szkapę. Podzielone będzie to wojsko na trzy oddziały. Na czele każdego oddziału jechać będą Jardys, Kordyga i Tatarek, a on, Szela, na czele wszystkich. Przy nim pojedzie Chomiński, nietylko dla parady, ale będzie jego czyny opisywał. Żeby ludzie na wieczne czasy wiedzieli, kim był Szela. Żeby wnuki, prawnuki dzisiejszych pogromców panów — pieśni o nim śpiewali.

Rozumisz, Jardys?

— Cobym ni mioł rozumieć?

— Przypatrz mi sie, jaki jo jestem.

— Ano jesteście...

— Jako co?

— Jako inni.

— Barania głowo! Kondlu jeden! Widziałeś drugiego z chłopów takiego jak jo?! Sam nadziwować sie sobie nie moge. Mało co, a u żyda w karczmie z chamami piłem. A tero?! Tero na zamku siedze, na śrybrze jadam, komisarza cysorskiego po zębach bede bił, jak mi sie tak bedzie podobało. Tak sie sobie dziwuje, że sam przed sobąbym klęknął, gdybym mógł — rozumisz, Jardys?

— Cobym nie miał rozumić.

— Nie powinni ludzie klękać przede mną?

— Tego nie mówie.

Uderzą najpierw na Brzostek. Miasteczko małe, fatygi wielkiej nie będzie. Pohulają, sklepy złupią, łyków, którzyby im się sprzeciwiali, pomordują, żydów nabiją, z żydówkami się zabawią. A nadewszystko Austrjakom pokaże, że ma swoją własną politykę, że nietylko jest cesarskim sługą. Samodzielnie postępuje. Umówił się z Austrjakami, że panów wyrżnie. I wyrżnął. Ale na tem nie koniec. Miasta też musi mieć. Panowanie jego nie będzie się do samych wsi ograniczać. Wieś bez miasta być nie może, a on nie ścierpi, aby w mieście inna była władza, niż jego.

W miarę jak mówił, sroga twarz Jardysa tężała. Rozszerzył nozdrza. Czuł krew.

— Macie rację. Wyście powinni być nad wszystkimi — rzekł.

— Bede nad wszystkie. Wisz, Jardys, co ci powim? Wisz, kim jo bede?

— No?

— Królem Galicyi bede! Żebyś wiedział!

VIII.

Nikt prócz Jardysa nie wiedział, dokąd pociągnąć miała ta konnica. Szela milczał uparcie. Odganiał drepczącego za sobą Chomińskiego, klął Kordygę i Tatarka, Staszkowi się nie zwierzył. Buczał na każdego, kto go zagabywał. Chłopi na rozkaz jego ściągnęli zdaleka. Rozwinęli się już na gościńcu. Bronią ich były widły, cepy i kosy. Obwiązali je postronkami i rzemieniami. Zawiesili je sobie na ramieniu. Niektórzy trzymali je poprostu w ręku, przy uzdach. Byli między nimi i urlopnicy z karabinami. Konie były dobre, przeważnie dworskie. Siodła tu i owdzie. Tak jeźdźcy siedzieli na workach, wypchanych sieczką, trzymając nogi w strzemionach z powróseł. Rejwach był wielki.

— Na Lipki, czy co?

— Nie na Lipki!

— Na tych, co panów bronią!

— Nauczy się ich rozumu!

— Do Tarnowa?!

— Cichojcie! Bedziecie wiedzieć!

Uganiali się między nimi Jardys, Tatarek i Kordyga. Ustawiali, aby trzy konie gościńcem szły koło siebie. Porządek psuł się co chwila. Kordyga

przebiegał wtedy szeregi, wygrażał pięścią, pomstował, lżył od ostatnich. Wyobraził sobie, że naprawdę jest oficerem, szturchał w plecy, rozkazując trzymać się prosto, wykręcał nogi, gdy mu się widziało, że źle w słomianych strzemionach są oparte. Naśladował Szelę, marszcząc groźnie brwi, ujmując się pod boki, bryzgając słowem krótkiem, ostrem, lecącem jak kamień z procy.

— Jakeś sobie zawiesił widły, jeden i drugi?! Nie najeżdżaj! Trzymaj się w środku! Nie mówiłem ci, kondlu jeden!

— Kordyga! A kaj my?

— Bedziesz wiedział, jak ci sie powi!

— To powidz!

— Nie twoja głowa, abyś wiedzioł naprzóć!

— Patrzajcie, jaki mądry!

— Trzymaj pysk! Tu żartów nijakich nimo. Ja tu tobą komenderuję! Naczelnik mnie nad tobą postawił — masz wiedzieć!

W oddziale jego nieporządek był największy. Wymyślano sobie wzajemnie, najeżdżano jeden na drugiego. Urlopnicy, jako świadomi rzeczy, doradzali mu, ofiarowywali pomoc w komendzie. Gadał z nimi, miarkował, ale władzą nie chciał się dzielić.

Inaczej Jardys. On baczył tylko na dobór ludzi, konie i broń. Co chłop był większy, to go wywoływał, choćby z końca, na przodek do pierwszego oddziału, który prowadził. Tak go formując, psuł ustawicznie porządek w drugim i trzecim. Na wymysły Kordygi i przedstawienia Tatarka uwagi nie zwracał.

— Nie zabiroj mi ludzi! — błagał Tatarek! — Dopiro co ustawiłem, a ty mi wszystko wywracasz! Porządku nijakiego nie bedzie!

— Nie szwendaj mi sie tu! Swojego pilnuj! — krzyczał Kordyga.

A on nic, ani słowa! Wbijał tylko haki oczów w kupę i wołał na tego, który mu się udał.

— E, ty na bułanym! Sam do mnie! Ty na gniadym, co koło karego! Trzeci z brzega! Podjedźno!

Spieszono do niego chętnie. Sławę miał nie byle jaką, że pierwszego szlachcica, Wiktora Bogusza, zabił. Opowiadano sobie o jego czynach strasznych i potężnych. O jego z Szelą poufałości. Choć jednak taki krwią zbryzgany, nie sobaczył jak Kordyga. Nie czepiał się, czy kto siedzi prosto lub krzywo. Klepał po karkach konie tych, których wywoływał, w rozmowę się wdawał.

— Dobra szkapa.

— Niczego.

— Z czyjej stajni?

— Z Boguszowej, z folwarku.

— Konie to oni mieli dobre, nimo co gadać. Nosi dobrze?

— O, chybka to ona jest!

— Przywołałem was tu, bo się tu lepiej nadajecie, wpobliżu naczelnika. Naczelnik lubią, żeby za nim jechały takie, co ich widać. Bedziecie na oczach, bedziecie z tych, co pierwsi skoczą w bitkę.

— A gdzie to, Jardys?

— Zaczekojcie, zaczekojcie, wszystko bedziecie wiedzieć. Nie bedziecie żałować. — Krzywił twarz do uśmiechu i przymrużał filuternie prawe oko.

Cepy i kosy nie podobały mu się. Na koniu nijako. Jakże tem będziesz machał z konia? Do piechoty to dobre, ale nie do jazdy. Wybierał widły. Gdy miał ochotę na chłopa i konia, a przeszkodę mu kosa lub cepy stanowiły, kazał je z innym na widły wymieniać.

— I wam będzie lepiej i wam. Wy się do kosy nie nadajecie, a wy do widłów. Raźniej wam będzie tak, jak wam mówię.

Szela nie wychodził. Gotował się do drogi. Był sam w komnacie z Staszkiem. Staszek opasywał go wypchanym pasem, który zawierał piętnaście tysięcy reńskich.

— Jak tam bedzie, tak bedzie — mówił Szela — a dobrze to przy sobie mieć na wszelki przypadek.

— Macie *recht*, ociec.

Oczy pożądliwie mu się zaszkliły, zaciągał pas wolno, ostrożnie, palcem spróbował, czy nie za luźno, żeby nie zleciał.

— Gdyby wam się co przytrafiło, chłopiby to wzieni.

— Co mi sie ma przytrafić?

— Sami mówicie, że na wszelki przypadek.

— Gdybym pokonany został, musiałbym mieć coś. Na czarną godzinę chowam.

— A gdyby was ustrzelili?

— To mi z tego po śmierci nic.

— Ograbiliby was chłopi, odarliby was.

— Gdyby wiedzieli, to pewnie, żeby nie popuścili.

— Wicie ociec co? Nie bierzcie tego. W Siedliskach ostawcie. Miejsce takie znajde, że nikt nie ruszy.

— Lepiej mieć przy sobie.

— To oddojcie mnie. Wy zawsze na przodzie, w zamieszaniu, a jo trzymam sie zdala.

— Nie gadaj byle czego. Zapiąłeś? No, to dobrze. Podaj mi te sukmane bez rękawów. Na ramiona mi nałóż.

Była to długa aksamitna opończa, srebrną klamrą u szyi zapinana. Szela narzucił ją na kożuszek. Nałożył siwą czapkę baranią i przejrzał się w lustrze.

— Malarza trza znajść, coby mnie wymalował.

— Naco to ojcu?

— Żeby po mojej śmierci naród wiedział, jaki byłem. Widziałeś na sali ten wielki obraz? Na nim jest dziadek tutejszego nieboszczyka. Chomiński napis wyczytał. Ino szlachta sie malowała, a jak dawny chłop wyglądał, nikt nie wi. Nie lepszym to od Bogusza, czy co?

— Po śmierci wszystkie równe.

— A właśnie że nie. Po śmierci on się jeszcze na obrazie ostanie, jeszcze na ciebie z tych złotych ramów patrzy, a z chłopa co ostanie? Nic.

— Gdyby wszystkich chłopów malować, za dużoby tych obrazów było.

— Jo o wszystkich chłopach nie mówie, ino o sobie.

Ujął w rękę laskę z siekierką, Staszek kożuch na sobie zapiął, czapkę nabakier nasunął. Wyszli razem.

Przed zamkiem czekały trzy wierzchowce, dla niego, Chomińskiego i Staszka.

— Dokąd to tak wspaniale wybieramy się, panie naczelniku? — zaśmiał się Chomiński, sądząc, że wesołością dobędzie odpowiedź.

Ale Szela nie odrzekł nic. Potrzymano mu strzemię, skoczył na siodło dość lekko i wyjechał na gościniec. Na okrzyki, na wyrzucanie czapek wgórę nie odpowiadał. Zasępiony, z pod brwi ściągniętych patrzył przed siebie wdal, pogrążony w wielkich jak morze myślach. Zdawało się, że ani tego tysiącznego, uwidlonego i ucepionego tłumu nie widzi, ani tych pól szerokich, co ukazywały się z pod śniegu. Nic, tylko swoje myśli przeogromne. Nie trzymał się nawet prosto, jak zwykle, ale pochylił się na siodle. Jardys, Kordyga i Tatarek dotarli do niego. Spojrzał — i czapki zdjęli.

— Chłopów z dookoła, z różnych wsi, jest tysiąc — raportował Kordyga.

— Wim.

— W tem urlopników czterdziestu i dwóch.

— Wim.

— Z karabinami.

— Wim.

— Podzieliłem to na trzy części. W każdej urlopników trzynastu.

— Wim.

— Ostatni oddział prowadzi Tatarek, środkowy jo, pierwszy Jardys.

Dał znak ręką, że nie ciekawy reszty. Wszystko wiedział. Tatarek chciał koniecznie coś przemówić, ale nie wiedział co. Zaczął więc, że dla koni żarcia jest tylko tyle co w workach, które za siodła służą. Szela przerwał mu wpół słowa.

— Ruszaj na swoje miejsce.

Poczem do Kordygi:

— I ty też.

Ruszył koniem i już na samym przodzie przed wszystkimi laskę z siekierką podniósł do góry.

— Naprzód wiara! — huknął koło niego Jardys.

— Naprzód! — powtórzyli Kordyga i Tatarek.

— Naprzód! Naprzód! — krzyczeli urlopnicy.

Rwali z kopyta ku przeznaczeniu. Nikt nie wiedział, gdzie ono jest. Ciągnęło ich nieznane. Nikt nie cofnąłby się przed niczem, nie zawrócił, dopókiby go nie ujrzał. Gdy dojeżdżali do wsi, zwalniali biegu. Urlopnicy, według zgóry danego rozkazu rozbiegali się do chałup, zapowiadając, że naczelnik Szela będzie tą samą drogą wracał; że na jego powrót mają być wszędzie przy wjazdach do wsi wzniesione bramy, ustrojone choiną; że ma być choina zatkana na bramie każdego ogrodzenia, a wszystkie chłopy, baby, dzieci — kto żyw — mają się ustawić wzdłuż drogi i powracającego witać.

— Szela jedzie! Szela z tylachnem wojskiem!

Wylatywano na drogę; gdzie kobieta szła z wodą, stawała. Dzieci właziły na płoty.

— Szela jedzie!

Jaka taka baba kłaniała mu się ręką do ziemi, inna dziecko unosiła wgórę, chłopi, zdejmując czapki, gięli się wpół.

Nie rozglądał się, nie patrzył, nie przemawiał. Czasem tylko jakby odniechcenia dwa palce po wojskowemu podnosił do siwej czapy. Brwi miał jednako ściągnięte, jednako był wpatrzony przed siebie.

— Straśnie zły!

Dokąd on gna? Chomiński zachodził w głowę. Od ostatnich rozmów z Szelą, od rozkopywania mogiły siedliskiej, nie był pewny jasności myśli naczelnika. Wszelkie domysły pryskały jeden po drugim. Lipki pozostały na boku, Kraśnica majaczyła w dali, ominięta. Tysiączna chmara niosła się drogą, nie wiedząc dokąd, konie potniały, a on nic. Chmurny był taki, że Chomiński zagadywać go już się nie ośmielał. Przejechał na stronę Jardysa, podejrzewając, że on jeden do tajemnicy jest dopuszczony. Lecz Jardys ramionami tylko wzruszył:

— Nie wim nic.

— Jakżeż tak ludzi prowadzić za sobą możecie, nic nie wiedząc?

— Naczelnik wi.

— Wyście też powinni wiedzieć.

— Jo nie pytom. Robie, co naczelnik każą.

— A co myślicie?

— Jo nie myśle. Naczelnik myśli, a nie jo.

Nic od niego nie wyciągnął. Staszek samby chciał wiedzieć. Zastanawiało go, dlaczego ojciec tyle pieniędzy wziął z sobą. O tem nie pisnął nic, ale sumował, że to może dla wypłacenia strawy ludziom, albo na poczęstunek. Obliczał w duchu, ile ojciec w karczmach, przed rzezią, komisarskich pieniędzy przepił, które lepiej było schować. Zostało mu pewnie tylko te piętnaście tysięcy, i te gdzieś przepuści. Bo pocoby je z sobą brał!

Chłopi pędzili, nie pytając, za jednym rozumem i wolą. Ślepa wiara w nich rosła. Przenikała ich nawskroś. Szela na przodzie stawał się coraz im bliższy i coraz dalszy. Łączyli się z nim w jedność, ale jednocześnie tonęli w nim i zamierali. Byli tysiącznem jego ramieniem. Od jego postanowienia zależał los każdego zosobna, a nikt postanowienia tego nie znał. Mogli tylko niewolniczo spełniać jego rozkazy, w przekonaniu, że tak jest najlepiej. Bez niego byłby każdy jak bez głowy. Świadomość, że on jeden wie, jeden ma prawo myślenia, stawiała go ponad wszystkimi. Niewiedza łączyła ich w jedność. Jeden był taki jak drugi, jak wszyscy razem, bo nikt i wszyscy razem nic nie wiedzieli. On jeden wiedział i był nad wszystkimi. Gdyby Szela plany swoje odkrył, każdy miałby swoje zdanie, wypowiadałby je drugiemu, tak nikt nic nie miał do gadania. Cwałowali w milczeniu.

Na horyzoncie ukazało się miasteczko, i Szela krzyknął:

— Stój!

— Stój! — powtórzył Jardys.

— Stój! Stój! Stój!! — wołali jeden za drugim komendanci, urlopnicy i zwyczajni jeźdźcy.

Konie tłoczyły się na siebie, jeden już stał, a drugi na niego wjeżdżał; wyzwiska, przekleństwa wstrząsały kupą; kłębiło się. Wreszcie zatrzymali się jakoś wszyscy, ucichli, i Szela rzekł do Jardysa:

— Oznajmić, że jedziemy na Brzostek.

— Gdzie?! — przyskoczył do Szeli z koniem Chomiński.

— Na Brzostek.

— Poco?

— Dobędę to miasto.

— Co naczelnikowi w głowie?! To nie może być!

— Może być, kiej tak mówie.

— Naczelnik do miast nie masz nic!

— Mom czy ni mom, moja sprawa.

— Zdobywanie miast nie leży w zamiarach rządu!

— Ale leży w moich. Rozumisz pan!

— Ja z naczelnikiem tam nie pojadę!

— Pojedziesz pan, bo ci każe. *Verstanden?*

Oczy mu błysły jak rozpalona stal, wilcze zęby ukazały się z pod uczernionych wąsów. Laskę z siekierką ścisnął w ręku.

— Staszek! — mruknął.

Staszek stał już przy nim.

— Gdybyś widzioł, że ktoś się buntuje, to wisz?

— Wim, ociec.

I spojrzał na Chomińskiego, jakby badając, czy po gardle jego nóż dobrze pójdzie. Spojrzał jak kat. Chomiński przybladł i zaciął zęby.

Prócz niego nie buntował się nikt. Mieścina stała bezbronna, otwarta na łup. Nie było w niej koni, krów, ani magnackich dostatków, ale była wódka. Szynk. Paliło ich w gardłach, zalała ich chuć. Spragnieni byli nowego krwi rozlewu. Polubili krew, jak wódkę. Słyszeli już opętany wrzask kobiet, przeraźliwy pisk dzieci. Rwało ich naprzód. Urlopnicy odgrażali się i chełpili. Jardys przypadł z koniem do Szeli.

— Dobrze idzie — rzekł.

Szela uniósł się na strzemionach.

— Jazda! I bij! — krzyknął strasznym, ochrypłym głosem. — Bij, co ci pod rękę popadnie! Jazda!

Popędził jak wiatr. Za nim chłopstwo. Wpadając w pierwszą uliczkę, tratowali tych, co byli na drodze. Uciekano z przestrachem do domów, zamykano okiennice. Nie tknęli tu jednak nic, nieśli się w rynek.

Pierwsze łby końskie się ukazały, gdy z okien i bram sypnęły się strzały. Odrazu kilku chłopów zleciało z koni. Już połowa, biegu wstrzymać nie mogąc, była na rynku, jeden szereg zajeżdżał na drugi, a kule padały w sam środek kupy, zprzodu i z boków.

— Nie bać sie! — krzyczał Szela. — Naprzód!

I jakby w odpowiedzi padł koło niego chłopski trup.

— Miasto spale! — ryczał.

A strzały waliły z góry i z dołu. Po jednym, po kilka.

Dalsze szeregi nawracały, czyniło się coraz przestrzenniej, już ci, którzy koło Szeli byli, cofali się wstecz. Spostrzegł, że zostanie sam ze Staszkiem i Jardysem, więc dał koniowi ostrogę i za innymi zmykał z miasta.

Wściekłość biła z niego tak straszna, że Staszek i Jardys zwalniali biegu, aby nie jechać rzędem. Mógł zabić rodzonego syna. Gościńcem, jak oko sięgło, rwali rozpierzchnięci chłopi. Ten galopem, ten kłusem. Trzęsły się im widły na plecach, cepy i kosy obijały o końskie boki. Wpadli w wieś, między dwie tyki przystrojone choiną. Szela nacisnął czapkę na oczy i tak ciął konia, że ten się cisnął i omal go nie zrzucił. W oczach całego chłopskiego narodu uciekał. Panowanie jego mogło się skończyć przez to chamskie nasienie! Wolałby w tej chwili z pomordowaną szlachtą przeciw chłopom iść, niż z chłopami przeciw szlachcie. Urlopnicy ani jednego strzału nie dali! Austrjaki przeklęte! Dzieciaki im mordować, a i toby się przelękli, gdyby dziecko ze sztucznego do nich zmierzyło pistoletu.

Dużo czasu minęło, nim Staszek ośmielił się podjechać do Szeli.

— Ociec, a nie zgubiliście pieniędzy?

— Pódziesz ty precz! Na oczy sie mi nie pokazuj, pókim dobry!

Przed Siedliskami stały zgraje uciekinierów. Wpadł na dziedziniec pełny chłopstwa. Pośrodku Kordyga i Tatarek rozprawiali głośno. Rżnął przez głowę jednego i drugiego.

— Takieście pułkowniki!

Zeskoczył z konia, cisnął trzęzlę pierwszemu, co się nawinął, i zaciśniętą pięścią bił po twarzy, po zębach, po głowie obydwóch.

— Takieście pułkowniki! Świnie wam paść, a nie z Szelą miasta dobywać!

— A cośmy mieli robić?! — bronił się Kordyga.

— Nie wisz, co miałeś robić?! To sie dowidz! Dowidz sie! dowidz! — Trzaskał po twarzy raz po razu. — Dowidz sie, kondlu jeden!

Wszedł na pokoje, obalił nogą pierwsze krzesło po drodze, drugiem cisnął o ziemię, aż noga odleciała, lampę potłukł w kawałki.

— Dobrze, ale dlaczego naczelnik meble niszczy? — stanął przed nim Chomiński.

— Kajś pan był, kiedy strzylać zaczeni?

— Koło naczelnika.

— Czegój pan uciekł?

— Miałem sam się bić z żydami na rynku?

— Nie odpowiadaj mi tak, psiajucho! Pysk trzymaj, nasienie austrjackie, kondlu jeden!

— Ociec, ociec, uspokójcie sie! — mitygował go Staszek i zatoczył się, rżnięty w twarz.

Tylko Jardys się nie uląkł. Chomińskiego, trzymającego ręce w kieszeniach i chłodno spoglądającego na Szelę, wziął za ramiona, obrócił nim i pchnął we drzwi.

— Idźcie stąd, panie komisarzu, nie widzicie, co się dzieje?

A potem do Szeli:

— Połóżcie się, naczelniku, do łóżka, bo was krew zaleje z tej rozpaczy.

— Nie świnie to są?! — ryknął Szela — nie pieskie nasienie?!

— A świnie, akuratne świnie.

Legł w łóżku jak kłoda. Jardys warty postawił. Podczas wyprawy na Brzostek rozprzęgło się wszystko. Ci, którzy zostali, aby zamku pilnować, porozłazili się niewiadomo dokąd. Nie było komu w piecach napalić, strawy dla naczelnika przyrządzić.

Chomiński korzystał z chwil swobody. Dotąd bardzo ostrożnie musiał się bogacić. Na ręce mu patrzano. Miał wciąż zwrócone na siebie oczy Szelowej świty. Najbardziej Staszka. Nakradł dużo, lecz mniej, niż go o to Szela posądzał. W skarbczyku swoim, starannie ukrytym, pełno miał przeróżnych kosztownych drobiazgów, schowanych niepostrzeżenie do kieszeni, ale mało rzeczy solidnych. Marzył o urządzeniu swojego domu, o zabraniu stąd mebli, bielizny, nakryć stołowych. Mebli chować nie mógł, lecz dla zagrabienia rzeczy innych nadarzyła się teraz sposobność. Nadsłuchał pod drzwiami Szeli. Szela stękał przez

sen. Chomiński wyszedł do wart i najsurowiej rozkazał, aby do zamku nikogo nie puszczać, nawet Jardysa, nawet Staszka, bo naczelnik chce być sam w całym zamku. Nikt nie ma wchodzić — i koniec.

Wydawszy to rozporządzenie, rozejrzał się, czy niema jakiej skrzyni. Znalazł ją na skrzydle pałacowem, w pokoju panny Tekli. Miał trud niemały, aby odbić kłódkę. Skrzynia wypakowana była po wierzch bielizną, pościelą i garderobą. Były tam suknie, których panna Tekla nie nosiła przez szacunek i oszczędność — dary nieboszczki Boguszowej. Poszewki były delikatne, z haftem, koszule długie, lniane. Tu Chomiński wspomniał, że żona jego nie była w koszule bogata, i że te na długoby jej starczyły. Nie mógł jednak tem miejsca zabierać. Wypróżnił skrzynię, związał wszystko w prześcieradła i toboły umieścił pod łóżkiem. Z jedną suknią żal mu było się rozstać. Bardzo staroświecka, ale tak suta, że z łatwością przerobić-by się dała, a z materji takiej, żeby jej w całej Galicji nie dostał. Z ukontentowaniem myślał, jak żona cieszyć się będzie. Suknię więc w skrzyni zostawił i skrzynię na strych wywindował. Tam ją sprzętami różnemi zastawił — i szedł nadół.

Pierwszą rzeczą tacę było zabrać, ciężką, srebrną. Do dźwigania jej dwóch ludzi trzeba było. Wyniósł ją jednak na strych sam, w pożądliwości swojej nie spostrzegając, że do skrzyni nie wejdzie. Owinął więc ją w szmaty, ponakrywał i postawił pod ścianą. Zszedł znowu, zabrał cukiernice, srebrne puhary: całe nakrycie stołowe. Poprzykrywał to obrusami i serwetami, nakrył dywanem, zdjętym z nad łóżka. Skrzynia wypełniła się już tak, że trudno ją było domknąć. Ugniótł tak zawartość, że udało mu się zabić ją gwoździmi. Czyniąc to, rozmyślał, kiedy Siedliska opuści i jak zdobycz wywiezie. Był przekonany, że panowanie Szeli niebawem się skończy. Gotujące się powstanie krwią szlachecką było już zalane, napady na miasta tolerowane być nie mogły. Chłop-dyktator stawał się niebezpieczny. Kto wie, czy którego dnia wojsko po niego się nie zjawi, i sam Chomiński kajdanków mu nie nałoży. Z największą uczyniłby to satysfakcją. Za upokorzenia, których doznał, zemsta taiła mu się w sercu, jak pluskwy w starej ścianie.

A może polecenie otrzyma, aby skończyć z nim cicho, bez rozgłosu, farmaceutycznie. Nasypać coś do talerza. Uśmiechnął się. Zszedł, aby drugiej skrzyni szukać, gdy napotkał Szelę, biegającego po pokojach.

— Nikogo niema?

— Nie pozwoliłem nikomu wchodzić, wiedząc, że pan naczelnik odpoczywa.

— A pan kaj sie podziewa?

— Odpoczywałem także. Po takiej drodze!

— Porządku nijakiego!

— Porządek jest, warty stoją przed zamkiem.

— Kazałem kancelaryją założyć! Kaj jest kancelaryja!

— Panie naczelniku, kancelarji nie tworzy się odrazu. Niema ludzi, którzy pisać umieją. Trzeba ich sprowadzić z miasta, i o tem myślałem, ale pan naczelnik miasta napada.

— Wim, co robie. Idź pan do siebie i manifest do chłopów pisz!

— Jaki?

— Taki, że w Brzostku nic sie nie stało. Zasadzka była i tylo. Sam sie cofnąłem, aby ludzi darmo nie tracić. Ale że na tem nie koniec.

— Kto taki manifest czytać będzie?

— Pan bedziesz go odczytywał po wsiach. Na konia pan siędziesz i bedziesz pan odczytywał. Kaj Jardys?

Jardys manifestowi był przeciwny. Najgorzej teraz gadać, gdy trzeba czynić.

— Jo to wim — rzekł Szela. — Brzostek trza wziąć. Inaczej nie może być. Jo klęski nie moge ponosić. Ale manifest swoją drogą.

— Manifestu nijakiego nie trza. Manifest może być, ale po zwycięstwie.

Zdawał sprawę z gadania chłopów i komendantów. Na rynek zbyt tłumnie wpadli, bez porządku. Stał się ścisk. Urlopnicy nie mogli strzelać, bo zabijaliby swoich.

— To i co? — żachnął się Szela. — Mogli byli strzelać. Jak trza, to trza. Swoichby zabijali, ale tamtychby nastraszyli. Tamciby widzieli, że my są z bronią.

Nikt na obronę nie był przygotowany. Szli na pewniaka. Nikomu w głowie nie postało, że będą strzelać z bram i z okien.

Szela też tego nie pojmował.

— Zdrada była — rzekł. — Ktoś miastu dał znać.

— Zdrady nie było. Jak, kiedy, nikt nic nie wiedział. Dostrzegł ktoś, że idziemy, i alarm zrobił.

— Syćko jedno. Nie czas o tem myślić. Brzostek musze wziąć!

— Musicie.

Mus był. Legenda o niezwyciężalności Szeli pękała. Nadwerężył ją Kamocki, a teraz o Brzostku szeroko szło po ludzie. Chłopów, grabiących dwory, oczekujących wiosny, aby zająć pola, strach brał. On pokonany — oni też. Potracą, co wzięli. Gadki krążyły, że cesarz z panami się ułoży. Rozszerzali je ci, co do rzezi nie przystali, lecz przeciwnie przed napastnikami mienia i życia panów bronili. Mieli swoje uczciwe wyrachowanie. Na miejsce wymordowanych właścicieli przyjdą inni i z tymi tylko oni do porozumienia dojdą. Wynagrodzone im będzie, że z Szelą nie poszli. Byli między nimi i tacy, co ścierpieć nie mogli, aby chłop nad nimi panował, aby jeden nad innych się wyniósł — równy im. Byli i osobiści wrogowie Szeli. Zaczęli się ruszać i gadać. Cesarz o Szelę już nie dba, a może i nigdy nie dbał. Inaczej przysłałby mu wojsko na pomoc.

I prawda! Chłopi zastanawiać się poczęli, że widzą między sobą tylko urlopników i poprzebie-

ranych komisarzy. Władza urzędowo, w mundurach, nie zjawiała się, aby oznajmić, że do nich należą zagrabione włości. Urzędnicy po starostwach chwalili ich, płacili za zabitych, ale żadnego nie wydali papieru, aby to, co było pańskie, miało zostać chłopskiem. Trzeba było podzielić grunta, aby każdy miał swój własny kawałek, wyznaczyć, kto ma mieszkać we dworze, kto do jakiej części inwentarza ma prawo. Ci, co osiedli na folwarkach, bronili już dostępu do stodół, obór i stajen. Co tam zostało, uważali za swoje. To samo Szela i Staszek. W Siedliskach siedzieli, jakby ich były. Kury im zabrać nie było wolno.

Wiosna szła, a z nią powrót do drgającej pod topniejącym śniegiem ziemi. Parobczaki, chłopi, co dziksi, stali za Szelą murem, starsi włościanie wychodzili w pola i w myśli robili działy, wyznaczali sobie łany co najurodzajniejsze. Szela to czuł. Po własnym synu wiedział, że kalkulacja zaczyna brać górę nad rozpasaniem. Każdy chciał wiedzieć, co jest jego. Czuł, że nim wiosna nastąpi, panowanie swoje musi ustalić, bo później już tego nie uczyni. Mordować już nie było kogo. Stał mordem, nie umiał stać czem innem. Widział kancelarje, paszporty, słyszał o manifestach. Chciał, aby to wszystko było u niego, lecz jak to uczynić i jak tem się posłużyć, nie wiedział. Był na łasce Chomińskiego.

Chomiński, mimo braku urzędników, stworzył coś w rodzaju kancelarji. Ustawił stół, za stołem krzesło, na stole papier, atrament i pióro. Przyjmował, wysłuchiwał pretensyj i zapisywał. W ten sposób dowiadywał się tysiącznych szczegółów, które mogły mu kiedyś stać się bardzo pożyteczne, i obejmował całość położenia. Z każdego dnia pisał tajny raport do władzy. Nie wysyłał go, aby nie ściągnąć na siebie podejrzeń, z Tarnowa nikt tu nie przyjeżdżał, więc chował go tylko jako materjał i dowód swojej gorliwości. W raportach tych nie pisał o Szeli źle ani dobrze, tak jednak, że gdyby Szeli noga się powinęła, materjał byłby przeciw niemu obciążający, a gdyby mu się powiodło, nawetby go podwyższał. Niezwykle mądre były te raporty. Zarazem Chomiński stawał się bardzo znaczny. To, co zapisywał, w przekonaniu wszystkich było niezmierne ważne, było czemś, co zostawało na przyszłość. Kilka dni zaledwie upłynęło, a już głos podnosił, Kordygę samego skrzyczał, Staszkowi raz z pokoju wyjść kazał, aby mu w pisaniu nie przeszkadzał. Szela jednak nic nie mówił. Chomińskiego robota mu się podobała. Co wieczór kazał mu ją sobie odczytywać. Były to spisy wsi, regestry ludności, ilość dymów, ilość mieszkańców w każdej chałupie.

— Ano dobrze, panie Chomiński, dobrze. Trza wiedzieć, ile mom poddanych.

Okazywał mu znowu swoją łaskę, obawiając się, aby przeciw niemu czego nie napisał, o czemby on nie wiedział, czytać nie umiejąc. Gdyby mógł, toby go jednak zmienił. Nie mógł, bo Chomiński wiedział za wiele, a i starostwu Szela przypominać się jeszcze nie chciał. Dogadzało mu, że

zostawiono go w spokoju, jakby zapomniano o nim, i pozwalano mu rządzić, jak chciał.

Gotował nową wyprawę na Brzostek. Odbywał długie narady z Jardysem, posyłał do miasteczka szpiegów. Okazało się, że w przewidywaniu rozbojów rzemieślnicy miejscowi utworzyli milicję, na czele której stoi szewc Zawadzki, człowiek rezolutny i przezorny. Miasteczko jest pilnowane, o przybyciu niebezpiecznej bandy gwizdkami straże znać dają, broni jest poddostatkiem. Szelę to zafrasowało, zwłaszcza, że ochotnicy na wyprawę nie zgłaszali się tak chętnie jak pierwszym razem, i zapału takiego nie było. Rabusie wiedzieli już, dokąd iść mają, i skór swych na kule wystawiać nie mieli ochoty. A Brzostek musiał być wzięty.

Wyruszył wreszcie jednego rana na czele bandy, więcej niż czterysta głów liczącej. Do tysiąca, jak pierwej, dojść nie zdołał. Urlopników mieć nie chciał, przekonał się, że w pochodzie najbardziej hałasują, a przy spotkaniu najpierwsi uciekają. Chłopów miał co najdzikszych, w mordach zaprawionych. Po naradzie jednak z Jardysem postanowił, że o zdobywanie miasta siłą lepiej się nie kusić, tylko do poddania i ukorzenia je wezwać, aby honor uratować. Gdyby łyki nie chciały, niech będzie, co ma być!

Wyjechał mniej okazale, w kożuchu tylko, pod którym miał pas z gotówką. Oprócz laski z siekierką zabrał pistolety, czego pierwszym razem zaniedbał. Towarzyszyli mu tylko Jardys, Kordyga i Tatarek. Staszka i Chomińskiego w Siedliskach zostawił.

Jechał kilka stajań z Jardysem i Tatarkiem, klarując im jeszcze swoje zamiary, poczem obydwaj pomknęli przodem, zostawiając przy nim tylko Kordygę. Obydwaj siedzieli na koniach co najlepszych, takie wziąć im kazał, osiodłanych, byli w kożuchach, z strzelbami przez plecy przewieszonemi, w butach z cholewami natartemi lśniąco tłuszczem, w baranich czapach śpiczastych, w rękawicach.

— Ty gadaj niedużo — mówił do Jardysa Tatarek — mnie ostaw.

— Gadać nie bede, ale jak trza bedzie, to powim.

Już w milczeniu dojechali do Brzostka. Wyglądali za nimi spłoszeni ludziska i ryneczek ciekawymi się zapełnił, gdy na nim stanęli.

— Kaj tu miszka pan szewc Zawadzki?

Zaprowadzono ich tłumnie, kazali konie potrzymać i weszli do środka.

W obszernej izbie siedział na zydlu majster, bez kapoty, w fartuchu niebieskim, i wbijał drobne gwoździki w podeszew. Trzech czeladników w takich samych fartuchach siedziało wkoło warsztatu, jeden klepał skórę młotkiem, drugi szył dratwą, trzeci wygładzał podeszwy u ukończonych już trzewików. Na ścianie wisiało kilka par butów gotowych, w izbie pachniało skórą, klejem i szwarcem.

— Tu miszka pan szewc Zawadzki?

— Ja. A czego?

Zatrzymał robotę i, nie ruszając się z miejsca, podniósł głowę na wchodzących. Najzupełniejszy spokój malował się w nieulękłych, prześmiewnych nieco oczach. Ta prześmiewność i krótka czarna bródka hiszpanka dawały mu minę zawadjacką. Z pod zawiniętych rękawów wyglądały muskularne ręce, porosłe bujnie czarnym włosem.

— Pan naczelnik Szela pozdrawia paną majstra — rzekł Tatarek.

Nie odpowiedział, tylko przyjrzał się podeszwie, wbił jeden gwoździk i znowu głowę podniósł.

— Pan naczelnik Szela tu przybędzie — oznajmił Tatarek.

— Szela chce, żebym mu buty uszył?

Po twarzach czeladników przemknęły uśmiechy. Taki prześmiewny był ten ich majster. A on odłożył robotę, musnął wąsa i dodał mocnym głosem:

— Uszyję!

— Panu naczelnikowi Szeli butów nie potrza — burknął Jardys.

— A czego? Boso on chodzi? No, to czego ode mnie chce?

— Chcielibyśmy z panem majstrem pomówić na osobności — rzekł Tatarek.

— Ano to chodźcie tam. Tylko strzelby zdejmiecie i zostawicie tu.

Zdjęli strzelby i poszli za nim. Nie pokazywał nic po sobie, ale zrozumiał, że sprawa jest ważna.

Wprowadził ich do izby, gdzie stały dwa łóżka, nakryte kapami szydełkowej roboty, stół okrągły, krzesłami wyplatanemi otoczony, zegar z kukułką, kredensik i poustawiane na nim kieliszki. Porządnie było i schludnie.

— Żona z dziećmi w kuchni, nikt tu nie wejdzie, możecie mówić.

Siadać ich nie prosił i sam stał, pokazując po sobie, że chce, aby mówili prędko, bo do roboty mu się śpieszy.

— Pan naczelnik Szela tu jedzie — zaczął Tatarek.

Myślał, że Zawadzki o wyjaśnienia teraz zapyta, ale Zawadzki nie mówił nic, czekał, co będzie dalej. Wtem rozległy się ostre, długie gwizdy.

— Co tak tu gwizdają? — spytał Jardys.

— Gwizdają, bo Szela jedzie.

— Niepotrzebne gwizdanie, wojny my tu nijakiej nie chcemy robić — odezwał się Tatarek.

— Więc czego chcecie?

— Chcemy pogadać z panem majstrem.

— Gadajcie.

— Pan naczelnik Szela zawojował tę okolicę, z szlachtą porządek zrobił, i tero Brzostek mu jest potrzebny. Gdzie są wsie, tam musi być miasto.

— W Brzostku Szela porządku swojego nie zrobi. Dostał lanie raz, dostanie drugi i trzeci. To mu ode mnie powiedzcie.

— Pan naczelnik Szela nie przyjechał tu na wojnę, a wyście do niego strzelali. Bardzo sie ozgniwał.

— Rozgniewał się? Acha! Rozgniewa się i drugi raz.

— Przyjechał tu, aby miasto obaczyć, z burmistrzem się umówić, jak tam co, a tu zasadzka była. Ludzie mu mówili, żeby za to miasto z dymem puścił. Nie chcioł. Łaske im swoją jeszcze okażę — mówił — ino burmistrza z urzędu źrucę, a szewca Zawadzkiego na jegó miejsce zamianuję.

— Szela do zrzucania ani do mianowania nie ma tu nic.

— Mo, czy ni mo, ale tak chce. A jak czego chce, to tak być musi. Niech sie pan majster dobrze zastanowią. Pan naczelnik Szela chce mieć z panem majstrem porozumienie, żeby pan majster w Brzostku panował, jak on w Siedliskach.

— Ja nie jestem zbój, ani złodziej.

— Pan naczelnik Szela tyż nie jest!

— A co jest?

— Jak tam bedzie z tym porozumieniem, to inna sprawa — zabrał głos Jardys. — Ostanie pan majster burmistrzem, czy nie ostanie, to pana majstra rzecz. Tero, bez dużego gadania, rzecz jest taka. Pan naczelnik Szela chce, aby burmistrz i te, co są od miasta, na przywitanie jego wyszli i uznali, że on tu jest naczelnikiem, nie kto inny. Ino tyle. Nie wyjdą, ich wola, ale tedy miłosierdzia nijakiego nie bedzie. Miasto z dymem pódzie, a wszystkie, co tu są, powybijane ostaną co do jednego. Pan naczelnik Szela nie chce wojny, a jak wy ją chcecie, to bedziecie ją mieli. Wasza wola.

— Ja Szeli się nie boję. Taki on naczelnik, jak ja generał. Ale sam postanawiać niczego nie mogę. Chodźcie ze mną do burmistrza.

Odpasał fartuch, włożył surdut i wśród tłumu ciekawych zaprowadził ich do domu, gdzie mieszkał burmistrz. Kazał im zaczekać w sieni i wszedł sam. Wiedzieli już, że we wszystkich bramach znajdują się ludzie uzbrojeni, w bramie burmistrza stało ich kilkunastu z strzelbami myśliwskiemi i z karabinami.

— Nie poradziliby oni, gdyby odwaga była — rzekł Jardys.

— Cóż, kiej jej nimo.

Czekali długo, nim wyszedł burmistrz z Zawadzkim. Człowiek był starszy, otyły, ale niepokoju też po sobie nie okazywał.

— To wyście od Szeli? — spytał.

— My.

— Gdzież on jest?

— Czeka pod miastem.

— Powiedzcie mu więc, że dobrze. Niech przyjedzie, niech się ze mną rozmówi. Oczekiwać go będę na rynku.

— Pan burmistrz mają mieć sól i chleb na tacy — oznajmił Jardys.

— Bez soli i bez chleba się obejdzie! — krzyknął Zawadzki. — Chce, niech przyjedzie, nie, to nie! Bez długiego gadania!

— I niech przyjedzie sam — dodał burmistrz. — Gdyby wjechał tak, jak ostatni raz, to strzelać-

by tu ludzie sami zaczęli. Nie upilnowałbym. Niech weźmie ze sobą dziesięciu ludzi, nie więcej.

— Dobrze, niech tak bedzie — rzekł Tatarek. — Powimy panu naczelnikowi. Jak on tam postanowi, nie wim, ale mu powimy.

— Ino jak pan naczelnik Szela tu przyjedzie, to jak bedzie wiedział, że sie mu nic nie stanie? — spytał Jardys.

— My zbóje nie jesteśmy! — huknął Zawadzki.

— Zbóje, nie zbóje, a pewność jakaś musi być.

— Innej pewności, prócz naszego słowa, dać wam nie możemy.

— Niech kto do pana naczelnika Szeli pojedzie i na jego miejscu ostanie.

— Pojadę ja! — zdecydował się Zawadzki. — Ale konia swojego nie mam. Pojadę na koniu jednego z was, a ten na mojem miejscu zostanie. No! który zostaje, a który jedzie?

— Ostane jo — rzekł Jardys.

IX.

Kilkunastu opryskanych błotem wyrostków rwało co siły w nogach. Roztrącali tłum.

— Jedzie!!

— Sam?!

— Dziesięciu chłopów z nim jedzie.

— Zawadzki też?!

— Nie!

Ryneczek kotłował się, krzyczał, szwargotał. Parto naprzód, aby wielkiego zbója ujrzeć co prędzej. Z zwartej ciżby wydostał się żyd i, unosząc kapotę, biegł w ulicę, którą miał nadjechać Szela.

— Patrzajcie, jak sypie!

— Żyd wszędzie musi być pierwszy!

Biegł, zadychając się, wpatrzony w jeden czerniejący już przed nim punkt, już rozpoznał Szelę, jadącego wolno na przedzie. Stanął pośrodku drogi i kłaniał się do ziemi. Szela wstrzymał konia.

— Czego chcesz, żydzie?

— Pan burmistrz czeka, całe miasto czeka!

— Z solą i chlebem?

— I z solą, i z chlebem, i z wódką, i ze wszystkiem.

— Ciebie przysłali przede mnie?

— Co mnie miał kto przysłać? Nikt mnie nie

przysłał. Ja przyleciałem sam. Jak co panu burmistrzowi trzeba powiedzieć, to ja zpowrotem lecę.

— Niczego nie potrza.

— Jak to może być, żeby niczego nie było potrza? Całe miasto czeka i niczego nie potrza? Burmistrz czeka, radcy czekają, żydki czekają, milicjanci ze strzelbami czekają — i niczego nie potrza?

— Ze strzelbami na mnie czekają?

— Oni chcą strzelać na wiwat.

Podchodził coraz bliżej, aż ujął konia za munsztuk.

— Ja przeprowadzę.

— Przeprowadź, żydzie.

I Szela wyprostował się na siodle. Kompani jechali za nim milcząc. Chłopi naschwał, co najlepsi, jednak strach ich oblatywał. Szela kazał, jechali, ale każdy z nich myślał, że z uzbrojonego miasteczka żywcem może nie wyjść. W każdym tem większy był lęk, im więcej mordów na sobie dźwigał.

— Panie naczelniku — rzekł jeden, równając z Szelą konia.

— Co?

Z pod gęstych brwi padło takie spojrzenie, że dusza w śmiałku zmartwiała. Ale Szela wzroku nie spuszczał, i chłop musiał mówić.

— Panie naczelniku, jakże to żyd ma nas prowadzić?

Brwi Szeli rozmarszczyły się.

— Bedzie wszystko dobrze, nie bój sie — rzekł bez gniewu. — Żyd przynosi szczęście.

Przejechali pustą uliczkę i ujrzeli wypełniony rynek. Szela uśmiechnął się i usiłował nadać oczom wyraz łaskawej wesołości. Konie wstrzymały się przed tłumem.

— Rozstąpcie się! No, czego się pchacie?! Ja muszę przeprowadzić pana Szelę do pana burmistrza!

Masa rozstępowała się w milczeniu, i Szela jechał wśród spojrzeń ciekawych, strzygąc oczami w prawo i lewo. Zdawał sobie sprawę, ilu jest ludzi uzbrojonych i jaka jest ich determinacja. Rozgnietliby go jak ulęgałkę w palcach. W miarę jak to pojmował, uśmiech jego stawał się coraz przyjaźniejszy.

— Nie potrącaj dzieciaków, żydzie!

Zbliżył się wreszcie do burmistrza, otoczonego radnymi i co przedniejszymi miejskimi obywatelami. Podniósł dwa palce do czapki:

— Witom!

Poczem powiódł oczami po rynku i począł głosem podniesionym:

— Ludzie moje stoją pod miastem. Alem ja tu nie przybył, aby wam co złego robić, ino aby wam okazać moją przyjaźń. Słyszę, że mówią — Szela, krwawy dziad, panów morduje. To je prawda! Ale w Brzostku panów nijakich nima. Są szewcy, krawcy, rzeźniki, aptykorz, felczer, wszystko ludzie pożyteczne. Chce mieć chłop buty, do szewca musi iść, chce se kiełbasy kupić, pódzie do

rzeźnika, chce zboże sprzedać, pódzie do żyda. Do tego czasu widzieliście chłopa mało co, chyba na odpuście. Mało u was grosza ostawiał, bo go ni mioł. To wam sie zdawało, że jak pany poginęły, to wy nie bedziecie mieli z kim handlować i poginiecie z głodu. A rzecz jest inaksza. Tero dopiro zacznie wam sie dziać dobrze. Z iluście tu panów żyli? Z dziesięciu, albo z pietnastu. Tero bedziecie żyli z tyla chłopów, ilo ich grunta pańskie między sobą podzieli. Kiej panią dziedziczkę brzuch zabolał, to lecioł konny po olej, emetyk, albo inne balsamy. Pytom pana aptekarza, ilo takich flaszeczek bez rok sprzedał? A tero każda wiejska baba bedzie se tak jak pani dziedziczka chorować. I mydła bedzie potrzebowała, i rozynków, i różnych marcepanów. Zamiast dziesięciu dziedziczek, bedziecie mieli tysiąc! Chłop se do krawca pójdzie, żeby mu sukmane skroił. Miastu potrza wsi, a wsi potrza miasta. Tak mówię i panu burmistrzowi rękę podaję.

Wyciągnął rękę tak, aby wszyscy widzieli. Burmistrz rękę mu podał. Wtedy zeskoczył z konia.

— Zaprowadź mi konia do gospody — rzekł do żyda. — I wy tam jedźcie i na mnie czekajcie — zwrócił się do kompanów — a pan burmistrz pokażą mi miasto.

Burmistrza palił uścisk zbójeckiej ręki, nie wiedział, jak do niego mówić. Czerwony był ze wstydu. A Szela już rozkazywał.

— Trza, panie burmistrzu, aby te milicjanty, co ich pan mosz, porządek trzymały, kiej jo bede chodził. Tylo narodu, że przepchać sie nie można.

Stał dobrą chwilę, nim polecenie jego zostało spełnione. Odgarnięto od niego tłum, i poszedł wolno z burmistrzem między dwoma rzędami ludzi, uzbrojonych w strzelby. Przystawał często, rozglądając się.

— Miasto ujdzie, ino brudne.

— Żydów dużo — rzekł burmistrz.

— Żydów do czystości wzwyczaić można, jak i każdego zwierza. Jak panu pies napaskudzi w pokojach, to trza mu w tem pysk umazać i dać pare kijów, a więcej nie bedzie. Tak i z żydem. Wyliwo przed dom, to niech brodą wyszoruje, a potem mu wrzepić pietnaście odliwanych, i *szlus*. Porządek bedzie, jak sie patrzy. Nie trza, aby świnie po ulicach chodziły. We wsi mogą, ale w mieście nie. Co miasto, to miasto. Podatki płacicie?

— No, naturalnie. Płacimy.

— Nie zalegacie?

— Teraz takie czasy, że regularność trochę się popsuła.

— Rozumim. Jak mi cysorz miasto odda, to zaległe podatki wam daruję. Macie obiecane.

Burmistrz przystanął ze zdziwienia.

— A no tak. Nie myślcie, panie burmistrzu, że jo tu sobie tak ino po spacerze. Jo przyglądam sie temu, co bedzie moje. Nad całą tą okolicą jestem naczelnik. Nic bez woli cysorskiej nie poczynam. Między mną a cysorzem umowa stoi. Co

przyrzekłem, dotrzymuję, ale on tyż musi dotrzymować, co przyrzekł. Mam *recht?* Nie?

— Chyba.

— A w tem miejscu bedzie hareśt.

— Areszt?

— Hareśt. Tak. Dobre miejsce na hareśt. Bo u was hareśtu nima. Do chliwa zamykacie, jak co do czego przydzie. Hareśt musi być. Hareśt, panie burmistrzu, to ważniejsze jak apteka. Więcej złodziejów i cyganów na świecie, jak chorych.

Przystanął i zaczął głośno dookoła:

— Przemyśliwuję nieraz nad tym, od czego całe nieszczęście na świecie. Od złodziejów. W Widniu i po różnych miastach widziałem wielkachne więzienia. Co trza, aby wyżywić tych, co tam siedzą! Bo to ścierwom jeść dają, zamiast im kazać wyzdychać z głodu. A co to służby do pilnowania! Płać każdemu! A sądownikom? Płać, żeby sądzili! A policjantom? Płać, żeby cudzego dobra strzegli! Kiej nad tym myśle, a sobie obliczom, to widze, że naród cały haruje, aby złodziejów utrzymować. Za to, że na dobro twoje nastaje, jeszcze mu dawaj mieszkanie, wikt i opierunek. I jeszcze go pilnuj, aby nie uciekł. Tak sobie nad tym nieraz myśle. Najlepiej byłoby wyrznąć co do jednego — najprostsza sprawa. Ukradeś, idź na tamten świat i tam popróbuj. Gdyby wszystkich złych ludzi, panie burmistrzu, wyrżnąć, to ostałyby same dobre i byłoby na świecie dobrze. Mam *recht?* Nie? Ale cysorz nie chce, powiada, że każdy może sie naprawić. Niech więc

bedzie hareśt, ale niech bedzie taki, żeby mu sie tam na drugi raz nie chciało wracać. Taki hareśt tu sobie, panie burmistrzu, w Brzostku postawimy. Obaczysz pan! U mnie nie bedzie ani jednego złodzieja. Zebyś pan wiedzioł! Przejdzie bez taki hareśt i odechce mu sie na amen! A kajże ksiądz? Nie wyszed mnie witać?

— Ksiądz chory.

Oczy Szeli błysnęły.

— Kiej chory, to trza go odwiedzić, uszanowanie mu okazać. Chodźmy, panie burmistrzu, na parafiję.

Nie było rady. Poszli. Przestał mówić, stąpał mocno, wspierając się laską z siekierką. Złość biła od niego. Burmistrz był blady, towarzyszący mu radni pozostawali wtyle i szeptali między sobą. Szela był sam, dziesięciu chłopów tylko czekało na niego w karczmie, ale pod miastem obozowała jego wataha. Gdyby gwałtu się dopuścił, tłumby go rozszarpał, lecz miasto zginąćby mogło. Burmistrz drżał o księdza, o miasto i o siebie.

Plebanja otoczona była ludźmi. Wszyscy, którzy broń mieli, prócz tych, co towarzyszyli Szeli, zbiegli się tam. Stali murem koło bramy i furtki.

— Księdza proboszcza niema! Ksiądz proboszcz wyjechał! — wołali.

Szela wstrzymał kroku.

— Ano, kiej wyjechał, to wyjechał — rzekł. — Nie musiał być taki chory. Zamiast na wino do plebanji, pódziemy do karczmy na wódke. Kłaniajcie sie księdzu proboszczowi a powiedzcie mu,

że jeszcze sie zobaczymy. Co sie odwlecze, nie uciecze. Chodźmy na wódke, panie burmistrzu.

Było mu niesporo. Burmistrz powinien go był zaprosić, obiad mu wydać. Łyki powinny były wrzeszczeć „niech żyje Szela!" Przemawiał do nich pięknie, okazał swoją łaskawość, a tylko żydy mu tu czapkowały. Każdy żyd kłaniał mu się nisko. To do jeszcze większej doprowadzało go pasji.

— Za dużo macie żydów, panie burmistrzu, wiele za dużo.

O Jardysa z rozmysłu nie pytał. Jakby o nim zapomniał. Zakładnik przeczył jego tu panowaniu. Najlepiej byłoby pokazać łykom, co potrafi. Wrócić na czele chłopstwa, Zawadzkiego zakatrupić, księdza wyciągnąć z plebanji, burmistrza wypatroszyć. Jardysby zginął. Niechta! Mimo że z chłopów był mu najbliższy, z życiem jegoby się nie liczył. Ale nie był pewny, czy chłopi dotrzymają. Na cepy, drągi, kosyby poszli, broni palnej się bali. Zmiatać będzie psiarstwo, jak za pierwszym razem, i *fertig*. Trzeba było zadowolić się tem, że wpuszczono go do miasta i oczekiwano na rynku. Ten jego triumf wśród chłopstwa się rozniesie i Chomińskiemu przedstawi go jak trza.

Radni, jeden po drugim, znikli, zapodzieli się gdzieś — do karczmy wszedł z samym burmistrzem.

— Wódki i piwa! Jo płacę!

Wybiegła im służyć karczmarka, tęga, rumiana. Rękawy miała zakasane, jędrne ciało występowało z nich, jak ciasto z donicy. Z tego, jak wytarła stół i krzesła, jak flaszkę postawiła, widać było, że w rękach pali się jej robota. Aż czerwona chustka na tył głowy jej opadła, odsłaniając włosy czarne i tęgie. Szeli oczy się zaiskrzyły.

— Świarna baba! W pana ręce, panie burmistrzu.

Przepił i obejrzał się za karczmarką, która oczekująco stała już za szynkwasem.

— Chodźcieno tu, napijcie sie z nami. A kaj wasz?

— Mój pomarł, już dwa roki.

— I nie cni wam sie bez chłopa?

— Co mi się tam ma cnić! — zaśmiała się i wychyliła kieliszek.

— Jak wam na przezwisko?

— Malarska.

— A na imię?

— Katarzyna.

— Siadajcie z nami. W Siedliskach ino chłopów widuję. Baba, jak rzepa, panie burmistrzu, co?

Poklepał ją po kolanach.

— Jo bo paniów nie lubie. Lubie takie baby jak ta. Paniów, co po ślachcie ostały, mogłem był mieć, ilebym chciał. Co mi ta po tem! Staszek, mój syn, jak zechce, niech sie z hrabianką jaką ożeni. Nie bede mu bronił. Jo nie!

— Wyście wdowiec? — zagadnęła.

— Jako i wy.

Burmistrz, zmuszany do piwa po wódce i do wódki po piwie, pragnął wymknąć się co prędzej. Zaczął więc mówić o wzajemnych na przyszłość stosunkach. Miasto nie powinno być niepokojone, skoro nie chce mieszać się do tego, co po wsiach się dzieje. Mieszkańcy Brzostka dali dziś dowód, że wrogich uczuć nie żywią. Prosił o natychmiastowe zwolnienie Zawadzkiego i obiecywał odesłać odrazu Jardysa. Podczas gdy mówił, Szela zwrócił się do Malarskiej:

— Umiecie czytać i pisać?

— Umiem.

— No, mówcie dalej, panie burmistrzu.

Coś świtało mu w myśli, czem zajęty był bardziej, niż przemową burmistrza. Gdy burmistrz brał już czapkę, aby odejść, zatrzymał go.

— Zaczekajcieno, panie burmistrzu, zaczekajcie. Trza syćko spisać. Bez spisania nic. Przynieścieno, pani Malarska, co trza do pisania. I nie odchodźcie, sekretów nijakich nima.

Podsunął papier burmistrzowi.

— Piszcie, panie burmistrz.

— Co?

— Co każę.

Patrzył mu w oczy i kręcił laskę z siekierką w ręku. Piszcie tak: Jo, burmistrz miasta Brzostek, miasto, nad którym jestem burmistrzem, oddaję, za zgodą wszystkich mieszkańców i księdza proboszcza także, w poddaństwo jaśnie wielmożnemu panu naczelnikowi Jakóbowi Szeli...

Burmistrz odłożył pióro.

— Piszcie, panie burmistrz — syknął Szela. — Piszcie, kiej mówię.

Burmistrz podniósł na niego oczy i poczuł cierpnięcie skóry na czaszce. Oczy Szeli zakrwawiły się i zwężyły, stały się małe, jak u wilka, z pod otwartych warg błyskały białe, ostre zęby. W ręku obracał wolno laskę z siekierką.

— Piszcie, panie burmistrz, kiej mówię.

Burmistrz opuścił głowę i pisał. Ręka mu dygotała jak w febrze.

Gdy skończył, Szela przeczytać kazał dokument Malarskiej. Złożył go i schował w zanadrze.

— No, możecie już iść, panie burmistrz, kiej wam sie śpieszy. A powiedzcie tam moim ludziom, żeby na koniach przed karczmą tu na mnie czekali. I Jardys ma być z nimi. Rozumicie? O Zawadzkiego sie nie bójcie, nic mu sie nie stanie. Bądźcie zdrowi, panie burmistrzu.

Odprowadził go złym wzrokiem do drzwi, roześmiał się za nim wzgardliwie i objął Malarską wpół.

— Udaliście mi sie.

— I wy mnie też.

— Poddanką moją jesteście, do mnie należycie.

— Jakże to?

— Nie czytaliście? Nie wicie? Całe miasto moje, to wy tyż.

— Co wam z tego? Jak nie będę chciała, to mnie nie zniewolicie — wysunęła mu się z uścisku.

— A mówicie, żem wam sie udał.

— To co innego.

— Wicie, kto jo jestem?

— Wszyscy wiedzą.

— To czego nie mówicie do mnie „panie naczelniku"?

— Niech chłopi tak do was mówią, ja nie będę.

Napełniła mu kieliszek, ujęła się pod boki i śmiała się zalotnie.

— Udaliście mi sie. Chciałbym was mieć w Siedliskach.

— To mnie tam weźcie.

— Pojechalibyście?

— Czemu nie?

Rozparł się na krzesełku i nogi na drugiem krzesełku położył.

— Nie przyzwyczajonym nogów trzymać na gołej ziemi, bez dywana. Bedziecie u mnie w Siedliskach mieć syćko, co wam trza. Na materacach bedziecie sypiać, na samych muślinach. Kawe wam do łóżka bedą przynosić i możecie wstawać choćby w połednie. Posługiwać wam bedą dziewuchy wsiowe. Nijakich dziewuch tero u mnie nimo, syćko chłopy robią, ino jedna baba od kuchni. Ale jak wy przyjedziecie, bedziecie mieli służby ile trza. Bedzie wam jedna trzewiki sznurować, druga kiecki wdziewać...

— Potrafię sama.

— Nic, że potraficie, kiej jo chce, aby tak było. Za dobry jestem dla ludzi i niczegój dla siebie nie wymagam. Ale dla mojej baby bede wymagał. W rękę cię bedą całować, Kasiu — objął

ją znowu — i czapkę o sto kroków bedą przed tobą zdyjmować. Już sie od tego oduczyli — chłopu pofolgować najgorsza rzecz — to niech sie przyuczą.

Przyciągnął ją do siebie i posadził na kolanach.

— Karyte, ino do Siedlisk wróce, po ciebie przyśle. W ćtyry konie. Saniami już nie przejedzie, i karytą bedzie ciężko, ale w ćtyry konie przejedzie. Na poduszkach se w karycie bedziesz siedzieć i bez okno na pola wyglądać. A jakby cie dusiło, to se możesz okno w karycie otworzyć.

— A kto będzie za mnie tutaj szynkował?

— Nie pytałem jo, kto bedzie za mnie w Smarzewach robił, kiej na Siedliska szedem, to i ty nie pytoj. Na dalekość trza patrzyć, nie na bliskość. Baby na bliskość patrzą. Nieboszczka moja żona na bliskość patrzyła, głową ino kiwała, kiej jej mówiłem, co to jo dokonam. Nie wierzyła. Turbowała sie cięgiem rzeczami, które miała pod nosem, takiemi rzeczami, co jo ich wcale nie widziałem. A tego, co jo widziałem, nie dostrzegała, bo to leżało o sto mil. Jo o sto mil widze, Kasiu. Baby nie rządzą światem, bo na bliskość patrzą.

— A mężczyźni patrzą tylko na dalekość?

— Są tacy, co patrzą na bliskość, jak mój syn Staszek. Wszyscy chłopi, co są ze mną, patrzą na bliskość. Ale są tacy, co patrzą na dalekość, a bab takich wcale nimo. Kiej sie mężczyzna najdzie, co patrzy na dalekość, to je wódz, jak jo. Szczęście

mosz, Kasiu, żeś mi sie udała. Wielkie szczęście lo kobity być z takim jak jo.

— A ręce trzymajcie przy sobie! — zerwała mu się z kolan. — Patrzajcie, jaki kawaler!

— Kasiu, co ci?

— Wy też zanadto na bliskość patrzycie.

— Jo o innych rzeczach gadam. No, chodź do mnie! Nie bądź głupia.

— Nie ruszajcie mnie. Jeszczeście mnie z sobą do Siedlisk nie wzięli.

— Ale wezmę.

— Jak weźmiecie, to zobaczymy. Przyślijcie najpierw tę karetę. Chłopi na koniach przed oknami stoją, na niego czekają, a on tu będzie się zalecał!

— Niech czekają! Co ci?! Całą noc mają czekać, kiej każę. No, chodź! Nie pódziesz?

Chciał ją dopaść, uskakiwała wbok, trzymała go zdala. Nozdrza mu się rozszerzyły, oddychał krótko a mocno, że wiatr szedł.

— Wyście jak wilk — rzekła.

— I nie boisz sie mi sprzeciwować?

— Wilczyca wilka się nie boi — wiedzcie.

— Udałaś mi sie, Kasiu!

— I wy mnie też, ale już idźcie. Wódka wam uderza do głowy. Idźcie, idźcie — perswadowała. — Będą z was się śmiać. Zapnijcie sobie dobrze kożuch, bo zimno. Karetę przyślijcie, a przyjadę.

— Nie zapomnę.

— Wiem, że nie zapomnicie.

— A ty nie kpisz ze mnie? Przyjedziesz?

— Powiedziałam.

— Bo jakbyś kpiła, to...

— To co?

— To chłopów po ciebie przyślę i siłą cię przywiodą, choćby cie mieli związać...

— Nie gadajcie byle czego i idźcie już. A nie grożcie mi, bo ja nie lękliwa. Udaliście się mi, więc przyjadę, a gdybyście się nie udali, żadna siła nie znaczyłaby nic. No, idźcie już — popchnęła go lekko w drzwi.

— Bywoj, Kasiu!

— Bywajcie.

Wyszedł, chwiejąc się nieco na nogach, ale na siodło skoczył raźnie. Wiatr go owiał. Z ukontentowaniem zobaczył Jardysa. Burmistrz go usłuchał. Jardys nie miał konia, jednemu więc z chłopów zsiąść kazał i iść na piechotę. Ruszyli z kopyta.

Za miastem stało zbrojne chłopstwo. Przewodził Tatarek. Z koni nie pozwalał zsiadać, Zawadzkiego kazał wziąć w środek. Wielu znało go dobrze i wyciągali na rozmowę. Nie był od tego, aby języka zarwać i wiedzieć, jaki duch panuje. Ale trzymał się hardo i z pychą.

— Źleby wam się działo, panie majstrze, gdyby naczelnik nie wrócił.

— Wróci, myśmy nie zbóje. Słowo u nas święte.

— Spalilibyśmy miasto, jako żywo!

— Spalilibyście, albobyście nie spalili. Niewiadomo, jakby tam było.

— Cysorzby wam nie darował, gdyby naczelnikowi krzywda się stała.

— Żadna krzywda mu się nie stanie. Bajecie ciągle jedno, jakbyście się bali. A co do cesarza, to znowu tak bardzo za waszym Szelą on nie stoi.

— Cysorz z naczelnikiem trzymo!

— Jeszcze zobaczycie.

— Co mamy zobaczyć?!

— Zobaczycie!

— Ale co?!

— Poczekajcie, to się dowiecie.

Obstępowali go dokoła i przekonywali, że cesarz i Szela jedno. Przekonywali z taką siłą, jakby sami przekonać się chcieli. Widział to dobrze. Zbuntować ich nie zbuntuje, ale wiarę w Szelę i jego oparcie o cesarza nadkruszy. Wieczorny ziąb brał. Konie niecierpliwie gryzły wędzidła. Co jaki chłop rozkrzyżował ramiona i zamykał je w uderzeniu raz po raz.

— Dobre macie konie — rzekł Zawadzki.

— Dobre!

— Z pańskich stajni.

— A ino.

— Odebraliście je polskim panom, oddacie niemieckim.

— Co wy gadacie, panie majster?! Co?!

— Nie opowiadajcie wy tu bajek! — doskoczył do niego Tatarek.

— Gadam, bo pytają. Nie będę gadał, kiedy nie chcecie.

— Gadajcie, panie majster! — krzyczano.

— Niech wam powie ten, co mnie gadać nie pozwala. Wasz przywódca. On dobrze wie. Lepiej niż ja.

— Ja nie wiem nic!

— Wiecie, że wam i Szeli obiecano, jako zostanie przy was, coście zabrali.

— Mnie nikt nic nie obiecował.

— To i wy nawet obietnicy nie macie? Czegoście tacy głupi, żeście nic nie kazali sobie obiecać?

— O jakich wy niemieckich panach mówicie, panie majster? Daj mu gadać, Tatarek! Nie zakazuj! Niech gada, kiej wi!

— Każdy wie, kto ma trochę rozumu w głowie. Cesarz może chłop? co? Z polskim chłopem może trzyma? Widział kiedy polskiego chłopa?

— Szelę widzioł!

— Jednego! Wielka parada. A i to niewiadomo. Cesarz nie trzyma z polskim chłopem, tylko z panem niemieckim. Na miejsce polskich panów niemieccy tu przyjdą. Im cesarz te grunta po polskich panach rozda. Będziecie jeszcze Niemcom odrabiali pańszczyznę.

— Niedoczekanie ich!

— Daliśmy sobie radę z polskimi, damy sobie radę z niemieckimi!

— Polskich panów nikt nie bronił, ale niemieckich wojsko obroni. Poczekajcie, a zobaczycie.

— Nie kraczcie, szewcze, nie kraczcie!

— Czego pytacie? Mam wam gadać co innego, niż wiem?

Zamilkł i zaćmił fajeczkę. Mieli go już za wroga i patrzyli źle, ale rajcowali między sobą. Głuchy pomruk wybuchał klęciem i przezwiskami. Szela na Siedliskach siedzi — Siedliska może jego, może ma je obiecane, ale im kto co obiecał? Nie wyrzucali czapek wgórę i nie wznosili okrzyków, gdy ujrzeli nadjeżdżającego Szelę ze świtą. Aż się zdumiał i konia wstrzymał, nie wiedząc, co to znaczy. Podjechał do niego Tatarek. O szewcu nie rzekł nic, bojąc się ściągnąć na siebie gniew i karę. Tylko przekładał, że ludzie są zmęczeni, na zimnie, nawet wódki nikt się nie napił.

— Kaj szewc Zawadzki? — spytał Szela. — Przywołać go! — rozkazał.

— Panie majster, do naczelnika!

Chłopi ruszyli końmi. Cisnęli się koło Szeli i Zawadzkiego.

— Wicie, panie majster, że wyście teraz mój poddany — rzekł Szela.

— Ja?

— Ano wy. Czytajcie.

Podał mu papier podpisany przez burmistrza. Zawadzki czytał. Twarz mu się kurczyła. Gdyby się nie opamiętał, papierby podarł. Pasja i przezorność biły się w nim, jak dwa rogacze w puszczy.

— Ano co, panie majster? — spytał Szela.

— Ano nic.

Oddał mu dokument.

— Przeczytajcie to głośno, niech wszyscy słyszą i wiedzą.

— Ja tego czytać nie będę.

— Rozkazuję!

— Nic mi nie macie do rozkazywania!

— Czytoj, żebym ci dwa razy nie powtórzył, szewcze!

— Powtarzajcie i dziesięć razy. Co to ja jestem, wasz pisarz, czy co? Nie macie to innych, co czytać umieją, kiedy wyście się nie nauczyli.

— Czytoj! mówię.

— Nie będę!

— Czytoj!

— Nie.

— Ostatni raz! Słyszysz?

— Ostatni raz — nie.

Szela spojrzał na Jardysa. Jardys pojął rozkaz.

— Szewcze! Żałować nawet nie bedziesz, bo ci nie dam czasu. Jeszcze raz — czytoj!

— Nie!

Huknął strzał. Zawadzki rozpostarł ramiona i padł w śnieg.

— Jazda! — krzyknął Szela. — Ostawić ścierwo na drodze!

Nieśli się w milczeniu ku Siedliskom, aż przed samą bramą rzekł do Jardysa:

— Co sie stało, stało sie wedle prawa, jako że był mój poddany.

X.

Przyjechała karetą czterokonną i została panią na Siedliskach. Tego samego dnia wpadł Staszek do ojca.

— Ociec! co to ma znaczyć? Co ta szynkarka ma tu do roboty?

Szela porwał się z miejsca.

— Zakazuję mówić ci tak! Nie szynkarka ona jest, ino moja faworyta! Cysorz ma takie, co sie nazywają jego faworyty, i jo mam także.

— Ociec jest naczelnik nie cysorz! Niełądnie, aby ociec trzymał u siebie frajerkę!

— *Won*, kondlu jeden!

— Nie póde!

— Słyszołeś?!

— Nie póde, aż powim, co mom powiedzieć!

— *Won!* huncwocie!

— Nie póde! Ociec syćko bez te rozpuste straci! Ociec z torbami o kiju stąd pódzie, jak dziad! Chłopi z ojca sie śmieją!

— Kto sie śmieje?

— Chłopi sie śmieją! Powiadają, że stary oszalał. Że se maciore w karycie przywiózł!

— Trzymaj pysk!

— Nie bede pyska trzymoł! Niech ociec wi! Nie poto braliśmy Siedliska, żeby w nich szynkarka z Brzostka panowała! Jakeśmy tu szli, ociec mówił, że jo bede ojca następca! Jo sie nie bede z szynkarką dzielił! Wygoni ją ociec, czy nie?!

— Ciebie wygonię, nie ją.

— Ociec! Niech ociec uwożo! Niech sie ociec dobrze zastanowi! Z ojca sie śmieją. Jeszcze nikt z ojca sie nie śmioł, a tero sie śmieją. Na śmiech sobie ociec zarobił. Ojca palcami pokazować sobie bedą i nikt ojca słuchać nie bedzie!

— Coś rzekł?

— Posłuszeństwo ociec utraci. Oboczy ociec!

— Jo posłuszeństwo utrace?

— Utraci ociec.

— Jo?!!

— Ociec.

— Ano dobrze, obaczymy. Obaczymy, kto sie bedzie ze mnie śmioł. Tero idź precz. Jak postanowie, to cie zawołam.

Chodził długo po pokoju, rozmyślając. Bunt! Staszek się zbuntował i inni się zbuntują. Ustąpić nie mógł i nie chciał. Śmieją się, lecz gdyby ustąpił, śmieliby się jeszcze bardziej.

— Nie bedą się śmiać! Nie bedą!

Przychodziły mu do głowy myśli straszne, ale po rozważeniu je odganiał. Niechby kazał na dziedzińcu odrąbać łeb jednemu i drugiemu, co się śmieje, skończyłoby się ze śmiechem na zawsze. Ino mogliby go nie posłuchać, jeszcze bardziej

mogliby się zbuntować. Jeden Jardys był jak pies. Co kazałby mu zrobić, to zrobi. Ale jeden Jardys za mało. Nagle wyprostował się i tupnął nogą. Już wiedział. Nikomu łba nie zetnie, ale każdego łeb pochyli. Staszkowy także. Kazał wołać Chomińskiego.

— Panie Chomiński, powiedz mi pan, jak cysorz siedzi z cysorzową, kiej goście do nich przychodzą.

Słuchał zmyślań Chomińskiego, kręcił głową i wreszcie sam postanowił:

W największej sali rozłożyć dywan. Na dywanie postawić dwa fotele. Zapalić wszystkie świece. Za fotelami staną Jardys, Kordyga i Tatarek. We wszystkich drzwiach warty. Wszyscy ludzie, co są w okolicy, mają przyjść na zamek, ci co się zmieszczą na salę. Później inni wpuszczeni będą. Gdy sala będzie pełna, on i Katarzyna zasiędą na fotelach. Chomiński każdego wołać będzie kolejno. Każdy pocałuje w rękę jego — Szelę — potem Katarzynę — i ustawi się na boku. Dostaną wszyscy piwa i będzie im dozwolone przez pół godziny zabawić się na zamku.

— Koronować się chce naczelnik?

— Jeżeli tak jest na koronacji, to niech bedzie.

— Dobra myśl.

Szela ucieszył się z pochwały. Nie spostrzegł, że uśmiech, jak żmija, przepełznął przez usta Chomińskiego. Poklepał go po ramieniu.

— Pan sie na tym rozumisz, boś pan człowiek uczony.

— Kiedyż ma się odbyć ta ceremonja?

— Dzisiaj.

— Tak odrazu?

— Na wieczór, żeby świce można było zapalić. Nimo co zwlekać. Chcę, żeby moja faworyta była szanowana. Faworytą taka u cysorza się nazywa, prawda, panie Chomiński?

— Prawda, panie naczelniku.

— Cysorze i króle robią sie takim sposobem, jak jo — stanął przed Chomińskim. — Prawda, panie Chomiński?

— Może być.

— Nie może być inaczej. Sielny słabszych bierze za łeb. Robi, co mu sie widzi, i to jest jego własne prawo. Stanowi jedno prawo lo siebie, a drugie lo swoich poddanych. Z wysokości swojego prawa na tamto prawo patrzy. Lotego zasiaduje na tronie, aby było pokazane, że z wysokości patrzy. Jo to tak rozumim. Korone nosi na głowie, aby było pokazane, że on je koniec syćkiego, że już wyżej iść nie można. Bez te korone, co mu na głowie świci, nazywa sie jasny. Ale dzieje sie tak, że ci co są nobliżej jego — jego poufałe — robią sie sielniejsze od reśty. Mają więcyj dochodu i grontu. Bo im rozdaje, bo ma ich cięgiem przed oczami, bo mu pomagają. Te porosną w pierze i tyż nazywają sie jasne. To je szlachta. Tedy on nazywa sie najjaśniejszy — że to są jasne, ino

on jest jeszcze jaśniejszy od innych. I to je feler. I od tego syćko złe. Uważajcie, panie Chomiński, jak tu sie dzieje. Jo jestem naczelnik, a koło mnie samo równe chłopstwo. Szlachty nijakiej nimo, nijakich jasności, ino moja. A już jest Jardys, Kordyga i Tatarek. Już ich sie ludzie boją, już im sie z drogi ustępują. Już wyście, panie Chomiński, sie zbogacili. No, no! nie mówie jo wom nic, ale wim. Jeszcze rok, a takich byłoby nie trzech, nie piąci, ale sto, a może więcej. To byłaby szlachta. I to je feler. Syćkie mają być równe, a tylko jeden nad nimi panuje. U mnie tak bedzie. Nikt mi nie bedzie wyrastał nad innych, nikt nie bedzie miał nic do gadania. Te poufałe, co koło mnie są, bo takie muszą być, to nie bedzie szlachta, ino moja służba. Nie bedzie on sie jucha jedna przechwalał, że naczelnika zno, że go widuje, że u niego wielo może. Kordyga już tak sie przechwala — jo wim! Nie bedzie! Każdy musi wiedzieć, że mnie zno, ale ino lotego, że mi posługuje, że mi buty ściąga, portki czyści, kożuch trzepie, a jo, jak chce, w pysk go wale, a on ino ślipiami za mną wodzi i tylo. Czy on przy wojsku naród ze mną prowadzi, czy manifest czyto, to taka służba, jako i inna. Taka sama jak to ściąganie butów i czyszczenie portek. Rozumu do tego większego nie potrza, bo jo mom rozum. Niech ino słucha! Mnie mądralów nie trza! Tylo ino musi mieć rozumu, aby umiał słuchać, ani krzyny więcej. Jardys jest najgłupszy i jest najlepszy! Nikomu nie wolno mieć

swojego rozumu. Zaro z tego gadanie, nieposłuszeństwo i bunt. Za dobry byłem, ale już nie bede. Przywiozłem se faworyte i już słysze, że mądrują, że im sie to nie podobo! Poczekojcie, kondle jedne! Poczekojcie! Podobo sie wom, czy nie podobo, baby wasze bedą ją pod nogi podejmować i bedzie nad wami panować, bo jo tak chce!

— Ożeni sie z nią naczelnik?

— E, panie Chomiński! Może jo sie i ożenie, ino nie z nią. Bedzie musiała nieboga zrobić z siebie ofiare, jak bedzie trza. Jeśli jo sie ożenie, to cysorz bedzie mi swat. Zebyś pan wiedzioł!

Chomiński wyszedł z przekonaniem, że Szela warjuje. W głowie mu się najwidoczniej psuło. Taki szept szedł i po ludziach. Malarska, zjeżdżająca do Siedlisk w karecie czterokonnej, rzuciła cień na nieomylność naczelnika. Było w tem coś nierychtyg. Schodził między ludzi zwykłych, stawał się jak inni, w tej jednej rzeczy z innymi się równał. A że równać się nie mógł, więc mógł tylko oszaleć. Tylko z szaleństwa takie myśli na niego przychodziły.

A on rad wszedł do pokoju, przeznaczonego dla Malarskiej. Obejrzała już zamek, bieliznę kobiecą, co w komodach była, do siebie zniosła, wiecznie otwarty kredens z wódką i jadłem zamknęła i klucze zabrała. Stała teraz w lustrze, bez stanika, czesząc włosy.

— Wypoczęłaś, Kasiu, wymyłaś sie. No, jak ci sie tu widzi?

— Bogactwa to tu dużo — rzekła, wstrząsając głową i ujmując włosy w rękę, aby spleść warkocze.

— Syćko to jest jak twoje. Możesz używać, jak chcesz.

— Ale nakradli też dużo. Wszędzie czegoś brakuje.

— To jo wim. Każdy chłop abo pijak, abo złodziej, abo jedno i drugie razem. Nie martw sie, ostało jeszcze tylo, że ci starczy.

— A jakże to będzie ze mną? Ja tu będę panią? — spytała.

— A któżby?

— No, to kiedy pójdziemy do księdza?

Musnął uczernione wąsy i zmarszczył się.

— Jeszcze nie tero.

— Czemu?

— Chodźno, Kasiu, do mnie, posłuchaj.

Usiadł i pociągnął ją ku sobie.

— Posłuchaj, Kasiu. Do księdza jeszcze nie pódziemy, bo przed ołtarz mnie nie puszczą.

— Czemu?

— Bo księża z panami trzymają, juchy jedne! Twój proboszcz w Brzostku widzieć mnie nie chcioł. Udał, że chory, a potem, że wyjechał. Co ci ta ksiądz, Kasiu! Obedziemy sie bez niego. Jo nie jestem taki, żebym księdza potrzebował.

— A jakżeż będzie? Jakżeż ja tu posłuszeństwo znajdę? Za co mnie tu będą mieli?

— Bedą cie mieli za królowe. Bedą cie więcej szanować, niż gdybyś od ołtarza tu przyszła. Bo

jo cie każe szanować więcej, i szlus! Obaczysz, co bedzie dziś wieczór.

— Co?

— Obaczysz! Ino przystrój sie ładnie. Rączki se wymyj, policzki se pobiel; tu na tych miednicach maści różne najdziesz.

W jaśniejącym światłami zamku tłoczyli się chłopi. Głowa przy głowie wypełnili salę, w której pod ścianą stały dwa fotele, nakryte czerwonym aksamitem. Rozciągał się od nich wzorzysty dywan. Na jego rogach trzymali straż parobczaki ze strzelbami, nie pozwalając posuwać się dalej. Za fotelami stał Jardys, Kordyga i Tatarek.

Drzwi otworzyły się naroścież i wszedł Chomiński z papierem w ręku.

— Naczelnik idzie! — oznajmił i stanął przy fotelu po prawej stronie.

Ukazał się Szela. Trzymał za rękę Malarską. Był w opończy, spiętej srebrną klamrą, w czapce futrzanej i długich butach. Ona miała korale, gorset aksamitny i koszulę białą. Kazał jej usiąść, a sam stał i długo oczami wodził po sali.

— Witom! — rzekł. — Czytoj papir, Chomiński.

Chomiński czytał:

— *„Ja, burmistrz miasta Brzostek, miasto, nad którem jestem burmistrzem, oddaję, za zgodą wszystkich mieszkańców i księdza proboszcza także, w poddaństwo jaśnie wielmożnemu panu naczelnikowi Jakóbowi Szeli“.*

— Słyszeliście? Dobyłem Brzostek! Dobędę tak wszystkie miasta w Galicji. Jo tu pan! Jo tu władca! Jo tu naczelnik! Zadowolenie wam okazuje, żeście dobrze sie spisali. Za to możecie nas powitać.

Usiadł i nogi w wyłojonych butach wyciągnął przed siebie.

Podchodzili chłopi kolejno, podejmując go pod nogi, jego i Malarską. Podchodziły kobiety i dziewczyny, które się zjawiły. Całowały ją pokornie w rękę. Gasnące świece zastąpowano nowemi, noc szła, przyboczni Szeli bledli ze znużenia, a chłopi szli jeden po drugim, nachylając się mu do stóp. Staszka nie było.

XI.

Rotmistrz Oswald von Haselhof przybył o oznaczonej godzinie do pałacu księcia Metternicha. W westybulu było tylko trzech lokai. Uroczyście, aksamitnemi ruchami zdjęli z niego płaszcz, odebrali czapkę, odpasali szablę, poczem jeden skłonił się i rzekł półgłosem, że jego wysokość pana rotmistrza oczekuje, i poprosił, aby iść za nim. Otwierając drzwi, przepuszczał Haselhofa i dalej szedł przed nim, zawsze w półukłonie, do następnych. Przeszedłszy kilka pokoi wśród ciszy dywanów i portjer, Haselhof ujrzał przez otwarte drzwi gabinet, a w nim siedzącego za biurkiem Metternicha. Lokaj pochylił się i bezdźwięcznym, uroczystym szeptem rzekł: — Jego wysokość.

Haselhof po raz pierwszy przestępował te podwoje. Kanclerza widywał tylko zdala, przejeżdżającego powozem. Po raz pierwszy stawał przed nim w jego prywatnym pałacu. Zaszczyt był tak ogromny, że lekkie drżenie uczuł koło serca. Sława Metternicha stanęła obok i za lokajem wyrzekła:

— Oto on.

A lokaj już zniknął, cofnął się krokami bezszelestnemi, rozwiał się jak duch. Metternich na wi-

dok rotmistrza, zatrzymującego się w drzwiach, podniósł oczy z nad papierów, leżących na biurku. Był to wysoki, chudy starzec, o twarzy ściągłej, oczach wyblakłych, życzliwie uśmiechniętych. Podał Haselhofowi rękę miękką, łaskawą.

— Bardzo rad jestem, że pana widzę, panie rotmistrzu. Proszę! — wskazał mu fotel. — Poprosiłem pana do siebie, aby pomówić o pańskim wyjeździe do Galicji. Pan nie zna Polaków? — spytał, podając mu pudełko z cygarami.

— Nie, wasza wysokość.

— A! to pana zaciekawią. Jest to najgorzej wychowany naród ze wszystkich, które znam. Pana dziwi to określenie? Ja nie mówię o manierach. Arystokracja polska ma doskonałe maniery, jest taka jak nasza, francuska, angielska i każda inna. Ale słyszałem o grafie Rzewuskim, który zbudował meczet, chodził w turbanie, utrzymywał harem i uważał się jednocześnie za doskonałego katolika. Jak to panu się podoba? Ci Rzewuscy, to jest średnia szlachta — tytuł dostali, o ile wiem, od Katarzyny II, albo go sobie przywłaszczyli, bo oni, mimo wszystko, bardzo lubią używać tytułów.

Wspominam panu o Rzewuskim dlatego, że zawsze na myśl mi przychodzi, gdy myślę o Polakach. W tych głowach wszystko się pomieści. Są jak magazyny, w których Wschód i Zachód składa swoje meble. Nie najlepsze, lecz stare graty. Jestem przekonany, że na Wschodzie, za pańskiego życia, bo za mojego już nie, haremy znikną, a ka-

pelusze zastąpią turbany. Jak w głowie Rzewuskiego mogły pomieścić się obyczaje Wschodu z obyczajami Zachodu, tak w głowie każdego polskiego szlachcica pomieszczą się idee rewolucji francuskiej z ideami średniowiecznego feodalizmu. Równość i przywilej stanowy, wolność i poddaństwo chłopów, braterstwo i wieczna kłótnia wewnętrzna, jakiej nikt nigdzie na świecie nie widział. Dlatego powiedziałem, że są źle wychowani.

Człowiek dobrze wychowany wie, czego chce; w turbanie do kościoła nie chodzi; gdy jest demokratą, sygnetem się nie pieczętuje; a gdy głosi braterstwo, za szkodę w polu chłostą chłopa nie karze. Jan Jakób Rousseau miał z pewnością najgorsze w świecie maniery — choć był przez snobizm na dworze przyjmowany, bo dwory także mają swój snobizm — ale wychowany był dobrze. I Robespierre był doskonale wychowany, tak jak Ludwik XIV — pan mnie rozumie? Polacy zaś są źle wychowani — historycznie źle wychowani. Z pośród nich ani Ludwik XIV ani Robespierre nie może powstać. Może powstać natomiast najpocieszniejsza mieszanina jednego z drugim. W każdym innym kraju takiego mieszańca zamkniętoby do domu warjatów, a u nich na pewno byłby wielkim człowiekiem.

Historja ich to historja domu warjatów. Byli republikanami i monarchistami jednocześnie, tak jak ten ich Rzewuski, który chociaż katolik, żył jak muzułmanin. Pan zna ich historję? Sami sobie

wybierali królów. Naprzód z pośród obcych, potem z pośród swoich. Gdy wybrali Henryka Walezjusza, to po dziesięciu dniach od nich uciekł. Wcale mu się nie dziwię. Potem z pośród swoich wybrali takiego szlachcica, który nie miał całych butów. Złożyli się mu na garderobę. Był król i sejm — *assemblée nationale*. Wie pan, jaki sejm? Gdy który z deputowanych zawołał „Veto", to wszyscy musieli rozchodzić się do domów. Można było radzić o rzeczach najważniejszych — o wojnie, o traktacie z obcem państwem — i gdy pierwszy lepszy szlachcic, choćby dlatego, że sobie podpił, zawołał „Veto", trzeba było zwoływać sejm po raz drugi. Najparadniejsze, że tych, którzy zrywali sejmy, uważano za zdrajców, gdy jednak znalazł się mąż stanu, który chciał usunąć prawo, pozwalające na zdradę, to powstawał przeciw niemu cały naród.

Kraj warjatów nie mógł istnieć w Europie — to przecież jasne. Nie mógł na to pozwolić nikt, kto z nimi sąsiadował. Został więc podzielony, rozebrany między sąsiadów. Dla porządku Europy było to konieczne. Wtedy gwałt! Zbrodnia europejska! Trzej szatani rozerwali świętą polską koronę! Kto jak kto, ale nasza Marja Teresa zbrodniarką, ani djablicą nie była. Płakała, kiedy podpisywała rozbiór Polski. To była święta kobieta. Ale gdyby własny jej syn zwarjował, oddałaby go pod kuratelę. Płakałaby, aleby oddała.

— Jest to jednak naród wojowników, Sobieski ocalił Wiedeń — rzekł Haselhof.

— Ech! Przybył Wiedniowi z odsieczą, lecz gdyby nie przybył, to też sułtan w Wiedniuby nie panował, ręczę panu. Nie znaczy to, abyśmy nie mieli wdzięcznie wspominać tego poczciwca. Ale zaraz — ocalił! Ocalił nietylko Wiedeń, ale całą Europę. Oni zawsze wszystkich ocalali. Tylko siebie nie potrafili ocalić. Czy pan wie, że głoszą teraz taki rodzaj wiary, jakoby byli Chrystusem narodów? Umarli za winy świata. Bluźnierstwo i megalomanja. Ale jeżeli w to wierzą, to czemuż robią rewolucje i buntują się przeciw temu, co nazywają swoją męką. Naród bez sensu.

— Dziaduniu!

— A ty czego chcesz? No, zbliż się, kiedy już weszłaś. Moja wnuczka.

Haselhof ukłonił się z krzesła ośmioletniej dziewczynce.

— Zostawiłam tu swoją lalkę.

— Gdzie?

— Tutaj u dziadunia.

— Słyszy pan? Lalki tutaj zostawia. Ja twojej lalki nie widziałem.

— Niech dziadunio poszuka.

— Dobrze, będziemy szukać.

Wstał i wraz z nią zaglądał pod stoły i krzesła.

— Jest! — zawołała.

— No, to dobrze. Cóż nam jeszcze powiesz? — przygarnął ją do siebie.

— Wie dziadunio, mysz zjadła cukier, który jej dziadunio włożył do pułapki.

— Co ty mówisz?

— Zjadła, mówię dziaduniowi. Dziadunio — wyjaśniła Haselhofowi — gdy zobaczy ustawioną pułapkę na myszy, to ją popsuje, tak żeby myszy nic się nie stało, i jeszcze do środka wkłada cukier, aby go zjadła i poszła.

— A jakże ty myślisz: dobrze robię, czy źle?

— Dobrze dziadunio robi.

— Bardzo mnie to cieszy. No, pożegnaj się z panem i idź.

— Ta mała zdradziła przed panem moją słabość — rzekł, gdy dziewczynka zniknęła za drzwiami. — Istotnie, nawet z powodów najracjonalniejszych nie mogę znosić mordowania zwierząt. Nigdy nie poluję. Jedzie pan przeto do Galicji i na miejscu pan się przekona, czy nie mam racji w tem, co mówię o Polakach.

— Tam dzieją się podobno straszne rzeczy — rzekł Haselhof.

— Straszne, i trzeba położyć temu koniec, bo rozruchy chłopskie za przykładem Galicji zaczynają się i u nas w Austrji. Rządowi austrjackiemu trudno było bronić polskiej szlachty, zbuntowanej przeciw cesarzowi i gotującej się do powstania, przed gniewem polskiego ludu, uwielbiającego swojego cesarza. Chcieli chłopa podnieść przeciw cesarzowi, uwalniając go za to od pańszczyzny, a chłop ich wyrżnął. Jestem przekonany, że po tej nauczce powstańcze ich pomysły powtarzać się nie będą. Ale gdy się to już stało, to ten chłopski ruch należy powściągnąć i porządek w kraju przywrócić.

— A czy ci chłopi od pańszczyzny będą teraz uwolnieni?

— A niech Bóg broni! Zaprowadziłoby nas to za daleko i wyglądałoby na to, że ich nagradzamy i dopełniamy jakichś względem nich obietnic, że byliśmy jakby z nimi w zmowie.

Pochwycił mimowolne, podejrzliwe spojrzenie Haselhofa, ale nie dał po sobie tego poznać i mówił dalej:

— Gdybyśmy mieli podobne zamiary, nie wysyłalibyśmy do Galicji pana. Pan znany jest w Wiedniu z rycerskości, z prawych przekonań i humanitaryzmu. Pan nadaje się na obrońcę uciśnionych. Tam trzeba bronić kobiet i dzieci i ładu społecznego. Jednak misja pańska nie jest wojskowa, ale raczej dyplomatyczna. Ujawniać pan się osobiście nie będzie. Pozornie nie jedzie pan nawet urzędowo, nie dajemy panu pisemnych instrukcyj. Chodzi o to, aby pan pokierował postępowaniem władz tamtejszych, mającem na celu przywrócenie porządku wewnętrznego. Postępowanie to winno być takie, aby porządek powracał naturalnie, pozornie bez przymusu. Potrzebne nam jest politycznie, aby stało się jasne i głośne, że chłopi powracają z własnej woli i ochoty do warunków normalnych, gdy wyrżnęli szlachciców, których uważali za wrogów cesarza. Rozumie pan?

— Rozumiem, wasza wysokość.

— Szczegółowych instrukcyj dać panu nie mogę, daję tylko tę ogólną. Szczegółowe instrukcje

przeszkadzają zwykle w działaniu, krępując inteligentnego wykonawcę powziętego planu. Ale dam panu jedną radę, która może panu się przydać.

Na czele tych chłopów stoi niejaki Jakób Szela, który ma się za dyktatora i poniekąd stał się dyktatorem. Otóż ja znam tych powstałych z nizin dyktatorów. Są to ludzie chciwi i nie potrafią wrócić do dawnego swego stanu. Napoleon, który przecież byle kim nie był, targował się o każdy grosz, jaki miał być po abdykacji wypłacony jemu i jego rodzinie. Ludwik XVI mógł z godnością znosić nędzę w więzieniu, ale taki parwenjusz, taki chłop-dyktator niczego nie zniesie. Można go kupić, niech pan spróbuje, jestem przekonany, że panu się uda. W uśmierzaniu chłopów on powinien być panu pomocny. To byłoby najlepiej. Niech pan go pozna, z pewnością pana zainteresuje. Z raportów wnoszę, że jest to człowiek bardzo niepospolity i jednocześnie bardzo zabawny, jak prawie każdy dyktator. Napoleon też był zabawny. Ludzie, którzy z niczego doszli do wszystkiego i sprawują władzę, nie będąc do niej przyzwyczajeni, są zawsze zabawni. Zabawni są z powodu swej prymitywności, połączonej z przekonaniem, że obracają się w nowych warunkach tak, jakby je mieli we krwi. Mimo swej inteligencji, genjuszu nawet, mają głowy słabe. Zaszczyty biją im do głowy jak wino. Mnie w głowie się nie przewróciło, choć pokonałem Napoleona, ale za co jabym siebie miał, gdybym nie był Metternichem, tylko Bonapartem!

XII.

Z chłopów, otaczających powóz, ani jeden nie mówił po niemiecku. Nie było między nimi urlopników. Nieufnie, zpodełba spoglądali na zakutanego w płaszcz futrzany Haselhofa, przysłuchującego się nieznanej sobie mowie. Brzmiała mu w uszach chaotycznemi, zgrzytliwemi dźwiękami, bełkotliwa a prędka. Nie rozumiał, dlaczego furman tak długo wypytuje o drogę. Powinni przecież dobrze znać swą okolicę. Widok tych chłopów brudnych, nędznie odzianych, raził go i nudził. Pejzaż był nudny także. Kurne chaty, zapadające się jakby w ziemię, ćmiły wlokącym się nisko dymem.

— No i co? — zapytał niecierpliwie furmana.

— Najbliższy tutaj dwór Jodłowa.

— Jedźmy więc do tej Jodłowej.

— Ale tam dziedzica niema.

— Gdzież jest? Zabity?

— Zabity, nie. Powiadają, że uciekł.

— Wszystko jedno, jedźmy. Znasz drogę?

— Drogę znam, ale niedobrze pamiętam, dawno w tych stronach nie byłem.

— Niech jeden wsiądzie na kozioł i drogę pokaże.

Furman powtórzył rozkaz, nikt się nie ruszył.

— Nie chcą, nie mają czasu.

— Więc jedź, jak ci się zdaje. Niech ich djabli wezmą!

Od kilku dni był w Galicji, ale jeszcze nie mógł ogarnąć położenia tak, żeby powzięty plan racjonalnie wykonać. Komisarze austrjaccy tłumaczyli mu, że chłopi do dawnego stanu spokojnie powracać nie będą, i że jedynie urzędowe ogłoszenie zniesienia pańszczyzny i nadania im na własność uprawianej przez nich ziemi zapobiegnie buntom przeciw władzom austrjackim, gdyby te położyć chciały koniec mordom szlachty i grabieży jej mienia. Przywiązanie chłopów do cesarza podawali za fikcję, a za legendę przeświadczenie, jakoby rzeź była odwetem za przygotowywane przeciw cesarzowi powstanie. Była to tylka mądra polityka Szeli, przez chłopów instynktownie pojęta. Ten chłop genjalny wiedział, że ogłaszając się sprzymierzeńcem cesarza i proklamując rzeź jako czyn polityczny, nie pozwalający na rozszerzenie się powstania, nie może być traktowany jako bandyta i uzurpator, a ruch, który rozpoczął — jako zwykła zbrodnia. Każdy inteligentniejszy przedstawiciel władzy mówił o nim z podziwem i jednocześnie z niechęcią.

Haselhof pojął szybko, że rząd chciał z Szeli skorzystać inaczej. Przez indywidua ciemne, nieznaczne, nie mogące nikogo skompromitować, przez urzędników niskich, skrybów biurowych chciano go nakłonić do podburzenia chłopów, płacąc mu za to, o ile można najmniej. Wiedeń był skąpy. Szela, mimo znanej nienawiści do szlachty, mimo zapewnień nagrody, namowom nie uległ. Śledzić począł i węszyć, skąd pochodzą. Wielkim swoim rozumem odgadł, że z Wiednia. Wtedy wiedział, jaka jest jego cena. Odegnał tajnych agentów i mówić począł otwarcie z władzą. Zapewniono jemu i szajkom, które umyślił zebrać, bezkarność i zapłatę — on zapewnił tajemnicę. Nie myślał jej dotrzymać. W pierwszym dniu rozruchów ogłosił, że działa na wyraźne żądanie rządu. Rozpowiadał o listach cesarza. Umówiono się z nim, że sam na rękę dostanie piętnaście złotych za każdego szlacheckiego trupa, on pierwsze trupy przysłał do Tarnowa, żądając wypłacenia nagrody tym, którzy je przywieźli. Umowę tajną uczynił jawną, skompromitował władzę, Metternicha i cesarza. Można było przeciw niemu wystąpić po pierwszym napadzie na Siedliska, ująć go i ukarać, wówczas jednak ruch powstańczy opanowanyby nie został. Niewiadomo, czemby się był skończył. Trzeba było więc przyjąć narzuconą sobie jawność aljansu i uznać postępki strasznego chłopa.

O jego fantazji, pomysłowości i ambicji oficerowie i komisarze opowiadali dziwy. Okrąg tarnowski opanował zupełnie, jest w nim władcą udzielnym. Bez karty bezpieczeństwa, które wystawiać kazał i Chomińskiemu podpisywać, nikt tam ukazać się nie może. Ustanawia prawa, umie je wprowadzać w życie, surowo karze nieposłu-

szeństwo. Wyrozumował, że historja świata dzieli się na tę, która była, t. j. szlachecką, i na tę, która przyszła, t. j. chłopską. Wszystko, co było, zapomniane ma być i zniszczone. Chomiński musiał mu przeczytać tytuły książek, znajdujących się w bibljotece w Siedliskach. Wszystkie, które mówiły o królach, o czynach rycerskich, o obyczajach szlachty, choćby nie polskiej, choćby pisane były w obcym języku, spalić kazał. Zachował natomiast dzieła treści przyrodniczej, lekarskiej, matematycznej. „To i chłopu przydać się może". Wrażliwy jest na sztukę, dogląda, aby żaden obraz, najmniejszy rysunek, nie został uszkodzony. Rozmyśla nad ustanowieniem nowego systemu religijnego, bo dzisiejsza wiara niedobra jest i szlachecka.

— Chętnie kazałbym go powiesić — mówił Haselhof.

Byłoby to najlepiej, gdyby było możliwe. Przeciwko Szeli nic jednak przedsięwziąć się nie da. Nastąpiłoby pobratanie ludu z szlachtą i zostałby obalony cały system polityczny w tym kraju.

Dla Haselhofa stało się jasne, że istotnym sprawcą rzezi galicyjskiej jest Metternich. Szeptano o tem w Wiedniu. Rozmowa z Metternichem zachwiała jego podejrzenia. Teraz podejrzenia przeszły w pewność. Łaskawy kanclerz, kochający zwierzęta, bawiący się z wnuczką, był tem samem co Szela, panujący w Siedliskach. Pokonał Napoleona. Może i Szelaby go pokonał, gdyby stał na czele państwa austrjackiego. Jakikolwiek jednak był Metternich i jego polityka, misja powierzona przezeń była zaszczytna. Spełnienie jej,

wstrzymanie mordów chłopskich przysparzało blasku szlacheckiemu nazwisku Haselhofa i zapewniało mu świetną karjerę.

Nasłuchawszy się przeróżnych opowiadań, Haselhof postanowił sprawdzić je naocznie. Ruszył z Tarnowa końmi do Siedlisk, zaopatrzony w list żelazny od starostwa. Eskorty brać nie chciał. Dwie flinty leżały w powozie. Woźnica, dawny podoficer, miał przy sobie parę pistoletów. Miał je także Haselhof. Bronił go i mundur. Dzięki czapce oficerskiej nagabywany nie był, ale uniżoności, ani pokory, jak tego oczekiwał, strojem nie budził. Spotkani chłopi nie odkrywali głów i żadnego nie okazywali wrażenia, teraz odmówili dać mu przewodnika.

Haselhof wziął drogę dalszą, aby po okolicy się rozejrzeć, i wieczór za wcześnie go zaskoczył. Na noc do Siedlisk wolał nie zajeżdżać, aby pod jednym z Szelą nie spać dachem. Umyślił w jakimś dworze przenocować i odrazu zobaczyć, jak to wygląda. Kilka wsi już minął, wśród nich jedne tylko dworskie zgliszcza. Woźnica go objaśnił, że pożarów wiele nie było. Chłopi nie palą, nie dlatego, aby w dworach mieszkać chcieli — takie mieszkanie im nanic — ale dlatego, że rząd im zakazał, aby później asekuracji nie płacić. Haselhof w odpowiedzi mruknął coś niewyraźnie. Nie wiedział, czy furman słuszność ma czy nie, ale rozzłościł się i zażenował, że takie poufałe wyjaśnienie on, oficer i przedstawiciel rządu, od służącego mógł otrzymać.

Tymczasem furman drogę sobie przypomniał i jechał raźno. Dzieliło ich od Jodłowej nie więcej niż trzy wiorsty, gdy na pustym gościńcu, na skręcie, koło krzyża, ujrzeli dwóch młodych chłopów na koniach. Widać było, że czuwają nad okolicą. Haselhof domyślił się zdaleka, że to straż Szelowa. Ani drgnęli na widok dojeżdżającego powozu, dopiero gdy miał skręcać, krzyknęli jednym głosem:

— Stój! Dokąd?!

— Do Jodłowej.

— Poco?

— Jedzie pan rotmistrz, hrabia von Haselhof.

— Do Jodłowej jechać zakazane.

— Nie bądźcie głupi, może zakazane, ale nie temu, którego wiozę. Widzicie, że oficer.

— Wszystkim zakazane. Zawracajcie!

— Dlaczego nie jedziesz, czego stoisz?

— Puścić nie chcą, każą zawracać.

W najwyższem uniesieniu Haselhof podniósł się w powozie. Klął po niemiecku. Ilustrując słowa gestem, kazał chłopom odstąpić precz. Pogadali między sobą i podjechali tak blisko, że musiał cofnąć się przed łbami końskiemi, dotykającemi mu twarzy.

— *Pass* jest?

Zrozumiał i pierwszą myślą jego było wyciągnąć pistolety. Ale nagle ciekawość go tknęła, jak dają sobie radę z podróżnemi dokumentami. Rozpiął płaszcz, błysnął epoletami, wyjął z wewnętrznej kieszeni list i podał go chłopu. Ten obracał w palcach papier, obejrzał go pod wschodzący księżyc i udawał, że czyta. Drugi nachylił się nad nim i czynił to także.

— Trza go puścić, oficer.

— Hojrowski zakazował, żeby kto do Jodłowej przyjeżdżał.

— Niech se z nim Hojrowski gada. Nic Hojrowskiemu nie zrobi. Kruk krukowi oka nie wykole, nie bój się.

Oddał papier Haselhofowi i rzekł:

— *Gut.*

— Jak *gut*, to *gut* — zaśmiał się Haselhof. — Jedź!

Uśmiechali się do niego i kiwali mu głowami, jak swojemu.

Wrota ogrodu były otwarte. W głębi świeciły się szyby oświetlonego dworu. W ogrodzie ruch, zbiegowisko chłopów, rejwach wielki. Gdy Haselhof jechał aleją wjazdową, zatrzymano go ponownie. Dokumentów jednak nie potrzebował. Za legitymację starczył mundur i język niemiecki. Opowiedziano mu nawet, co się dzieje we dworze. Przybył tam komisarz Hojrowski i robi rewizję. W okolicy aresztował pana, podejrzanego o bunt, i tu go przyprowadził.

— Panowie znowu się ruchają — mówili do woźnicy, który ich słowa tłumaczył Haselhofowi.

Wchodząc do sieni, Haselhof wprawnem okiem poznał przebranych po cywilnemu austrjackich policjantów. Kazał prowadzić się do Hojrowskiego. Uczyniono to posłusznie. Zastał go przy odbijaniu biurka. W tymże pokoju oficer piechoty

wyłamywał szafę. Obydwaj odwrócili głowy i, trzymając w rękach narzędzia ślusarskie, patrzyli nieufnie i z niejakiem pomieszaniem na nieznajomego sobie oficera. Kilku chłopów podążyło za nim, ciekawie spoglądając mu przez ramię. Powiedział swoje nazwisko i dodał:

— Z Wiednia.

Wtedy komisarz Hojrowski i oficer piechoty skoczyli do niego z wyciągniętemi rękoma. Uniknął podania ręki, uczynił się bardzo służbowy. Stanął przy lampie, wydobył dokument, podpisany przez wysokie władze, nakazujący rotmistrzowi v. Haselhof użyczać wszelkiej pomocy, udzielać informacyj i składać raporty. Kazał odczytać ten dokument Hojrowskiemu. Hojrowski odczytał i skłonił się.

— *Ja, Herr Graf.*

— A pan kto jesteś? — zapytał Haselhof oficera.

— *Leutnant Kutz.*

— Co pan tu robisz?

— Pomagam w rewizji panu komisarzowi Hojrowskiemu.

— Osobiście?

Nie czekając na odpowiedź, kazał zdać sobie raport z tego, co się dzieje.

Hojrowski dokonywał rewizji we dworze, pod nieobecność właściciela, który uciekł zawczasu. Udaremnione powstanie zaczęło podnosić głowę. Hojrowski wpadł na ślad spisku. Aresztował niebezpiecznego szlachcica, Marcina Kamockiego z Lipek, gdy ten jechał ukradkiem w chłopskiem

przebraniu do sąsiedniej wsi zabitego przez chłopów słynnego spiskowca Sulmierskiego. Kamocki, okuty w kajdany, jest tutaj we dworze.

— Więc z powstaniem jeszcze nie skończone? — spytał Haselhof.

— O, nie! panie hrabio.

— Któż ma je robić, gdy chłopi są za cesarzem, a szlachta wymordowana?

— Nie wszystka.

— Nawet tu, pod panowaniem Szeli?

— Nawet tu, panie hrabio.

— Ten Szela poczyna sobie za wiele. Opowiada, że ma listy od cesarza, że cesarz do niego pisuje. Poeta. To w Wiedniu się nie podoba.

Hojrowski milczał z zagadkowym uśmiechem. Nagle spostrzegł, że kilku chłopów weszło za Haselhofem do pokoju i przysłuchują się rozmowie. Nie zaniepokoił się. Wiedział, że nie rozumieją, dał im jednak znak, aby wyszli. Jeden z nich skoczył natychmiast na konia i pognał do Siedlisk.

Haselhof rozkazał dokończyć rewizji, opieczętować papiery znalezione w biurku — regestry, rachunki gospodarskie, nic nie znaczące szpargały — poczem zażądał, aby stawiono przed nim aresztowanego szlachcica. Kutz pobiegł spełnić rozkaz. Wrócił, prowadząc Kamockiego. Ten ledwo szedł, bo na rękach miał kajdany i kulę pod pachą przyciskał tylko ramieniem. Na twarzy Haselhofa odbiła się przykrość i niesmak.

— Proszę zdjąć kajdany temu panu. Kaleka. Nie ucieknie.

Kamocki sapał ciężko i podnosił wgórę, aż pod nos, wargę obrosłą wąsami, jakby chcąc w ten sposób uchronić powonienie od zapachu Kutza, który sam go rozkuwał. Potem rozprostował zbolałe ręce i, nie zwracając uwagi na Hojrowskiego, usiadł w fotelu. Zwróciwszy się do Haselhofa, rzekł:

— Dziękuję. Widzę, żeś pan szlachcic.

— Pan mówi po niemiecku? — zapytał Haselhof.

— Miałem czas nauczyć się.

— Kazałem panu zdjąć kajdany, ale to nie znaczy, abym pana uwolnił. Jest pan oskarżony o czynienie zaburzeń w kraju, o spisek przeciw cesarzowi.

— Ja?

— Tak.

— Kto mnie oskarża?

— Pan komisarz Hojrowski.

— Jeżeli pan, panie rotmistrzu, będzie dawał wiarę takim urzędnikom jak pan Hojrowski, to wszyscy porządni obywatele i wierni poddani cesarza zostaną zakuci w kajdany, a złodzieje i rozbójnicy otrzymają szlachectwo za swe bohaterskie czyny.

— *Herr v. Kamocki!* — krzyknął komisarz.

— Ja do pana nie mówię, tylko do pana rotmistrza. Jeśli panu nie podoba się, co mówię, to możesz pan iść do sieni, gdzie jest pańskie właściwe miejsce, i pozostawić mnie z panem... Przepraszam, z kim mam przyjemność? Moje nazwisko Kamocki.

Haselhof rzekł swoje.

— Bardzo mi przyjemnie poznać pana, panie rotmistrzu v. Haselhof. Obecny tu komisarz oskarża mnie o spisek przeciw cesarzowi, a ja jego oskarżam o obrazę majestatu za opowiadanie chłopom, że cesarz jest złodziej i rabuś.

— *Herr v. Kamocki!* — Hojrowski stał cały w płomieniach — dłużej pana słuchać niepodobna!

— To wynoś się pan za drzwi, jak o to już prosiłem.

— Panie hrabio, protestuję przeciw tej bezczelności!

— Niech pan Kamocki mówi dalej — rzekł chłodno Haselhof.

— Faktem jest, że na czele bandy złodziejskiej napadł mnie znajdujący się na urlopie żołnierz Hmyz. Wykrzykiwał, że przyszedł mnie okraść za pozwoleniem cesarza. O pozwoleniu tem oznajmili mu komisarze austrjaccy. Kazałem huncwota powiesić.

— Powiesiłeś pan człowieka?

— Powiesiłem. Pan uczyniłby to samo, panie rotmistrzu. Za obrazę cesarza. Pan Hojrowski nie zaprze mi się w żywe oczy, że chłopów nakłania do morderstw i grabieży, mówiąc im, że taka jest wola cesarza. Za kogóż więc cesarza im podaje, jak nie za złodzieja i rabusia — pytam pana?

Haselhofowi spodobał się ten szlachcic. Nie powinien był słuchać jego oskarżeń i pozwalać mu stawiania, nawet w intencji wiernopoddańczej, obok imienia cesarza epitetów rabusia i złodzieja,

tłumaczył jednak sobie, że dojdzie do prawdy, gdy pozwoli mu się wygadać. Zapamiętał opowiadanie Metternicha o Rzewuskim. Rzewuski w turbanie chodził do kościoła, utrzymywał harem i uważał się za dobrego katolika; Kamocki mógł być wiernym poddanym cesarza i odzywać się tak, jak żaden Niemiec odezwaćby się nie ośmielił. Żaden Niemiec nie ośmieliłby się wyrzec jednym tchem „cesarz" i „złodziej". W tym wypadku nie było to obrazą majestatu, było jednak grubem uchybieniem wobec konwenansu. „Polacy są źle wychowani" — mówił Metternich.

A Kamocki czuł przez skórę, że wzbudził dla siebie przychylność, i że Haselhof powziął głęboką antypatję do Hojrowskiego i Kutza. Szukał tonu, któryby podniósł te dwa uczucia. Spostrzegł, że rozwodzić się dłużej nad obrazą cesarza byłoby ryzykowne i popsułoby takt. Powiedział tyle, ile było trzeba. Już dosyć. Tymczasem sapał z wiernopoddańczego oburzenia i myślał, na co ten Austrjak będzie najczulszy. Może na obrazę kobiet? Może na mordowanie dzieci? Poco tu się zjawił? Nie bez kozery. Z postawy i manier wnosił, że nie jest byle kto. Z pewnością ma misję specjalną. Jaką? Kamocki myślał i sapał, a jednocześnie oczy jego coraz to podejrzliwiej spoglądały na kieszenie komisarza Hojrowskiego. Coraz to bardziej utwierdzało się w nim podejrzenie, że zawierają coś, co gdyby zostało wydobyte nawierzch, sprawiłoby grubą nieprzyjemność panu komisarzowi. Nie mógł oderwać oczu od tych kieszeni. Gdy komisarz w gniewie wstał z krzesła, jedna kieszeń brzękła. Kamocki za wszelką cenę postanowił przeniknąć jej tajemnicę.

— Więc ja jestem aresztowany, panie rotmistrzu? — spytał.

— Tak.

— I co ze mną będzie?

— Zostaniesz pan odstawiony do Jasła — rzekł Hojrowski.

— W jakim celu?

— Tam pan się dowiesz.

— Kiedyż tam będę odstawiony?

— Jutro rano.

— Niechże będzie. Mam nadzieję, że pan rotmistrz v. Haselhof dojdzie prawdy i przekona się, w jakich to ja spiskach brałem udział. Pan zdaleka przybywa, panie rotmistrzu?

— Z Tarnowa.

— A do Tarnowa skąd pan przyjechał?

— Z Wiednia.

— A co?! Odrazu się domyśliłem! Na pierwsze wejrzenie poznam każdego wiedeńczyka. Pan musi być bardzo zmęczony, panie rotmistrzu. Niech pan chociaż szablę odpasze.

— Istotnie, niech pan graf odpasze szablę — rzekł Hojrowski.

— Piękna broń — cmoknął Kamocki. — Można zobaczyć?

Haselhof zawstydził się myśli, że mógłby mu odmówić wzięcia do ręki broni. Odpasał szablę

i podał mu ją bez słowa. Kamocki wyjął szablę z pochwy, dotknął ostrza, pokręcił z uznaniem głową.

— Piękna — rzekł.

I nagle nieoczekiwanym, przez nikogo nie przeczuwanym sztychem pchnął ją w kieszeń Hojrowskiego. Pchnął, szarpnął, przeciął kieszeń napoły, i nim Hojrowski spostrzegł, co się stało, posypały się na podłogę maleńkie złote podstawki z pod czarek, z wybitemi herbami Jastrzębca, zabrane pośpiesznie z kredensu przy rewizji. Haselhof jeszcze myśli nie zebrał i niczego jeszcze nie pojął, a Kamocki wił się ze śmiechu i szablą machał, nie pozwalając nad uronionym łupem nachylić się Hojrowskiemu.

— Patrz pan, panie rotmistrzu! — wołał. — Patrz pan! Jeszcze pan niczego nie rozumiesz?! Jeszcze pan nie rozumiesz, dlaczego oni po dworach robią rewizje?! Patrz pan, panie v. Haselhof! Złote naczynia skradzione! Herb gospodarza domu! Każ pan złodziejowi wszystkie pokazać kieszenie! Każ pan zrewidować tłomoki, które stąd zabiera! I tego drugiego każ pan obmacać! Złodzieje! rabusie! łajdaki! Oskarża się szlachtę o spiski, aby we dworach przy rewizji grabić! Do spółki z chłopstwem! Czy cesarz o tem wie? pytam pana!

Teraz Haselhof porwał się z krzesła. Był trupio blady. Gwałtownym ruchem wyrwał szablę Kamockiemu. Włożył ją w pochwę, przypasał.

— Panie Kamocki, proszę stąd wyjść! Proszę wyjść — powtórzył. — Zechciej zaczekać pan tam, w tamtym pokoju, na moje rozkazy.

Za ryczącym ze śmiechu drzwi zatrzasnął, podszedł do Hojrowskiego, splunął i rzekł:

— Wstyd!

I nagle w ataku wściekłości:

— Wstyd, panie Hojrowski! *Was ist das eigentlich,* Hojrowski?! To jest żadne niemieckie nazwisko. — *Wie heissen Sie, Herr, Herr...*

— *Kutz* — odpowiedział od progu stojący na baczność, wyprostowany jak naciągnięta lina Kutz.

— *Was ist das eigentlich, Kutz?* To jest żadne nazwisko. Skąd oni tu przyszli? Oni z kryminału uciekli? Kto ich tu przysłał? Złodziejstwo to jest żadna polityka. Rozumie Hojrowski? Żadna polityka! Można chłopu kazać zabić szlachcica, gdy taka jest austrjacka polityka, ale zabierać to z kredensu — szturchnął butem złote podstawki — to jest żadna polityka! To jest *Schweinerei!* Można prowadzić chłopów na dwór i obełgiwać ich ideami demokratycznemi, ale razem z nimi wyłamywać kredensy, to jest żadna polityka!

— *Herr Graf...*

— *Kein Wort, bitte schön!* Ja splamiłem swój mundur, wchodząc tu. Ten polski szlachcic ze mnie się śmieje, że ja, szlachcic niemiecki, noszę ten mundur co *Herr Kutz,* że ja, szlachcic niemiecki, siedzę w jednym pokoju z panem Hojrowskim, że wyobrażamy jeden rząd austrjacki! To jest wstyd! *Verstehen Sie, Herr Hojrowski?*

— *Jawohl, Herr Graf.*

Haselhofowi język zdrętwiał. Wszystkiego się spodziewał, lecz nie takiej odpowiedzi. Hojrowski, niczem nożycami, przeciął mu taśmę wymowy. Wzburzony przeszedł się po pokoju.

— Niech wyjmie to, co ma w drugiej kieszeni! — krzyknął.

— *Jawohl, Herr Graf.*

I Hojrowski posłusznie wypatroszył drugą kieszeń. Była w niej chustka japońska, jedwabna, różnym deseniem szyta, tabakiera złota z minjaturą emaljowaną damy w dekolcie, w wysoko upiętej, pudrowanej fryzurze, nożyk ze złotą rączką do przecinania kart, z biurka zabrany, i kryształowy od perfum ze złotym korkiem flakonik.

— To wszystko, co on zabrał?

— *Jawohl, Herr Graf.*

— A co on ma jeszcze w tych tobołach? *Was?* Niech on je tu przyniesie. *Herr Kutz!* Proszę przynieść te wszystkie toboły, które on widział, jak je Hojrowski wiązał.

W tej chwili przez uchylone drzwi wyjrzała głowa Kamockiego.

— Panie rotmistrzu, pan Kutz wszystkiego nie znajdzie, ja mu dopomogę. Pan Kutz pogubi po drodze.

— A pan czego chcesz? Siedź pan spokojnie, gdzie kazałem. Pan się nie wtrącaj do moich rozkazów, *verstehen sie?!* Zamknij pan drzwi, *bitte schön!...* Panie Kutz, wszystko ma tu być zniesione!

Usiadł przy biurku i pisał raport. Jak przyjechał do Jodłowej, jak zastał przy robocie Hojrowskiego i Kutza, jak przypadkowo kradzież została wykryta. Z niemiecką dokładnością opisywał znalezione w kieszeni Hojrowskiego przedmioty.

A Kutz znosił toboły i zawiniątka.

Zebrało się już tego sporo, gdy rzekł:

— Wszystko, *Herr Graf.*

Haselhof kazał rozwiązać te rzeczy, sztuka po sztuce przynosić je sobie do biurka. I pisał:

„W tobołach zaś, do wywiezienia przygotowanych, znalezione zostały:

„N. 1. Lichtarz srebrny kuty —

„N. 2. Koszula damska lniana —

— Zmierz pan, panie Kutz, no tak, na ręku.

— Będzie ze trzy łokcie, panie hrabio.

— *Schön...*

„N. 3. Obrus stołowy na 24 osoby.

— *Nicht wahr, für 24?*

— *Ja, Herr Graf.*

— *Schön.*

Lampa już gasła, gdy pod numerem 384 zapisywał:

„Spodnie łosiowe do konnej jazdy.

— Niech podpisze — rzekł do Hojrowskiego.

Hojrowski podpisał.

— *Erledigt* — rzekł Haselhof.

XIII.

Bartek Duda gnał do Siedlisk. Czapkę nasunął na czoło, kolanami konia ścisnął i mełł w głowie trzy wyrazy:

— *Brief, Kaiser, Tochter.*

Dobrze po niemiecku umiał, niedarmo w wojsku służył, krótko wprawdzie, bo jako przygłupek uwolniony został, ale zdążył nałykać się przez ten czas trochę słów niemieckich, które jako najwyższy polor i nauka w głowie mu zostały. Gdy wraz z innymi chłopami wemknął się w Jodłowej za Haselhofem do Hojrowskiego, całą rozmowę doskonale pojął.

— Ten Szela opowiada, że cesarz listy do niego pisuje. Poeta!

Z tych słów Haselhofa Duda znał trzy „Kaiser, Brief i Tochter". „Dichter" na „Tochter" mu się przekręciło.

Trzy wyrazy połączył nicią logiczną i ułożył z nich zdanie, jako cesarz przysyła do Szeli list, że chce mu córkę swoją oddać za żonę. Cóż bowiem mogło znaczyć „Brief, Kaiser i Tochter"? Aż mu serce biło na myśl, z czem do Szeli jedzie. Poganiał konia, wierzchowca pana z Jodłowej, i gnał na zbity łeb.

Serce mu biło nietylko z emocji, wywołanej wagą wiezionych wieści, ale także z powodu zapadłej już nocy. Nie lubił jeździć nocą po pustych polach. Bał się strachów i duchów, obsiadujących płoty. Na własne oczy widział takiego, co przy wrotach cmentarnych stał biały i nagle zniknął, jeno ziemia we środku jękła.

Duda w mordach udziału nie brał. Na widok krwi go cniło, i na złodziejstwie dorabiać się nie chciał. Do takich dostatków nie miał ciekawości. Lubił natomiast po karczmach się kręcić i zaglądać do dworów przez właścicieli już opuszczonych. Nie nakradł tam nic, ale sobie podjadł i podpił. Kawałek polędwicy, kieliszek wódki — nie grzech.

Szela jednak, jak i dla innych, był dla niego chłopskim losem złotym, wybawicielem od pańszczyzny, dobrej nowiny zwiastunem. Roił o nim i opowiadał w karczmach dziwy o jego potędze i wspaniałości.

Był jednym z głównych twórców i głosicieli legendy Szelowej. Na oczy nie widział go nigdy. I oto teraz okazja nadeszła, że z taką wieścią do niego dążył. Cały poemat układał...

„*Brief, Kaiser und Tochter.*

„Od cysorza z Wiednia przyjechał jenerał... (Po mundurze poznał w Haselhofie rotmistrza, jednak potrzebny był mu jenerał.) Przyjechał powozem w kare konie. Umyślny mu powóz w Tarnowie wyrychtowali. Miał na sobie futro z niedźwiedziów. Taki w lisach nie chodzi, ani w zającach. Kiedy wszedł na pokoje, zaraz od proga tak na

Hojrowskiego krzyknął, że temu kolana się zatrzęsły.

„— Ty, koniu, powiada, nie wiedziałeś, że ja tu jadę, czy jak? Powinieneś był przed wrotami stać i mnie oczekiwać. Służby nie znasz? Od czegoś ty jest, koniu jeden?

„Tak krzyczał, że z Hojrowskiego ino pot ciekł.

„— Kolacji żeś nie przygotował, wszystkoś sam zeżarł i wszystkoś sam wypił! Do Szeli, powiada, na noc jadę, on mnie uhonoruje, powiada, bo wi, ktom jest. Cysorz do niego o mnie pisał.

„A Hojrowski ino brzuch w siebie wciągnął, ręce po sobie położył, i ślina mu ze strachu z gęby ciekła.

„Potem we fotelu się rozwalił, cybuch wyjął, temu oficerowi, co był z Hojrowskim, kazał fajkę napakować i powiada:

„— Będziecie tu mieli niedługo w Siedliskach najjaśniejszą pannę, córkę cysorza. Zamąż za Szelę idzie. Cysorz mnie, powiada, wezwał do siebie na pokoje i powiedział:

„— Tak mi sie, jenerale, ten Szela udał, że chcę, aby był moim zięciem. Sielny chłop, morowy chłop. Dla narodu dobry, jako i ja. Dosyć mam tych hrabiów, baronów i sufraganów. Zgniłki są. Ja chcę mieć wnuki zdrowe, jak się patrzy. Kto ma mieć wnuki zdrowe, jak nie cysorz? Nie wolno mi, czy co?

„— Powieziesz, powiada, jenerale, list ode mnie do Szeli, że go na zięcia proszę.

„Wyjął list, tka pod nos Hojrowskiemu.

„— Czytaj, powiada.

„A ja wtedy na koń i lecę do was, Jakóbie, żebyście się przyrychtowali."

Zamyślił się, jak dalej snuć nić poezji. Już wierzył.

„Jedzie córka cysorza. Przez okno karety wygląda, uśmiecha się, rączki ma białe z pierścionkami. Gospodarze, parobczaki ze wszystkich wsiów, Siedlisk, Jodłowej, Lipek, Kuflewa, na koniach po obu stronach drogi stoją, a dziewki przed karetą idą i koniom pod złociste podkowy kwiaty sypią. Jedzie wolno, przez okna karety wygląda i uśmiecha się. Ujrzała Dudę, udał się jej. Kiwnęła na niego rączką. Podjechał. Pyta go o nazwisko, o imię, ile ma gruntu, koni, krów, świń, gęsi...

„— Będziesz miał syćko — powiada.

„I tak sobie umyśliła, żeby on, Bartek Duda, za to, że nie kradł i nie rozbijał, miał więcej od najbogatszego z gospodarzy.

„Gdy wesele się zaczęło, piwa mu sama przyniosła i oberka z nim tańcowała."

Gwiazdy się wyroiły, księżyc świecił. Duda marzył.

Wtem ciszę nocną przerwał krzyk pijacki, chrapliwy, rozkiełznany. Duda wyprostował się na koniu, nadsłuchał i walić go zaczął po brzuchu piętami. Bał się nocnych spotkań w tym czasie. Wrzask był coraz bliższy.

Trzech parobków rżnęło za nim galopem. Zrównali się z nim, przelecieli, nie pytając o nic. Tylko krzyk ich leciał pustem polem:

— „Matka jego świnia, ojciec jego pies, hu, ha!"

„Matka jego kwiat liljowy, ojciec jego jastrząb płowy" — przemienił sobie w głowie Duda i jechał dalej, podśpiewując:

„Matka jego kwiat liljowy..."

Parobcy nieśli się drogą ku Jasłu, tamże zmierzał Duda. W miarę jak zbliżał się do miasta, słyszał rosnący gwałt, śmiechy, przekleństwa, wrzaski pijackie.

Drogą toczył się wóz, otoczony przez pijane chłopstwo z widłami i cepami. Z wozu wydobywały się jęki. Duda minął co prędzej wóz jęczący. Wieziono pobitych panów. Najechał na drugi.

Rzeź już ustająca, podżegana przez komisarzy austrjackich, wybuchła w tych stronach na nowo. Rannych i zabitych zwożono do miasta. Rynek pełen był chłopstwa. Siedzieli na pięknych, skradzionych koniach, albo stali kupami. Na wielkim drabiniastym wozie leżeli okrutnie pokaleczeni ludzie, dziedzice okolicznych wsi. Ksiądz, blady jak komża, którą miał na sobie, ostatniego im udzielał sakramentu. Przy wozie, trzymając się kół, stał mały, dziewięcioletni chłopczyk. Zamiast oczu dwie jamy.

— Tatusiu — jęczał — tatusiu.

Duda zdjął czapkę, przeżegnał się, pochylił się na koniu, koń sam skoczył i całym pędem runął z tego piekła.

— O Jezu — jęczał Duda — o Jezu!...

Miasto było już za nim.

Minął sen o cesarzównie, o tańczonym z nią oberku. Stracił chęć przywiezienia Szeli wieści o jenerale. Ale drogę miał przed sobą jeszcze długą i nie pierwszy raz widział te rzeczy. Takie widać szły czasy. Jest kara na panów, potem będzie na chłopów. On karany nie będzie. Nie kradł i nie zabijał. Jeśli myśli jakie miał, to z powietrza szły, nie z niego. Wyspowiada się na świętej wielkanocnej spowiedzi. Bóg mu odpuści.

— Szela nie wie, co się dzieje, wszystkiego wiedzieć nie może. Ludzie źli są koło niego, ale on sam taki nie jest, on jest wódz.

„Matka jego kwiat liljowy, ojciec jego jastrząb płowy!" — połączył ułożoną piosenkę z osobą Szeli.

Długie miał przeprawy, nim przed oblicze Szeli się dostał.

— Skąd? Poco? Do Jakóba Szeli? Nijakiego Jakóba Szeli tu niema, tu jest tylko pan naczelnik Szela. Gdzieżeś, głupi chłopie, się uchował, że tego nie wiesz?

Wreszcie trafił do Jardysa. Jardys go wysłuchał i kazał iść za sobą.

W komnacie sypialnej stały dwa łóżka. W jednem, pod pierzyną, w szlafmycy leżał Szela. W drugiem, także pod pierzyną, w czepku, Katarzyna Malarska. Jardys wszedł tam bez pukania, z kandelabrem w ręku, prowadząc za sobą Dudę. Miał takie prawo, że o każdej porze wolno mu było wchodzić do sypialni.

Pokój aż trząsł się od chrapania.

— Naczelniku — zawołał Jardys — posłaniec z Jodłowej! Naczelniku!

Pierwsza obudziła się Malarska. Usiadła na łóżku, ukazując z pod rozchełstanej koszuli dwie wielkie dynie piersi. Napół przytomna, drapała się w głowę. Rozkleiła oczy z ciężkiego snu.

— Jakób, — krzyknęła, — Jakób, ludzie do ciebie przyszli!

Na jej głos Szela zerwał się i gołemi nogami skoczył na podłogę. Chwycił jednocześnie leżący obok siebie pistolet.

— Co?! Co?! To ty, Jardys?! Czegój po nocy budzisz?!

— Posłaniec z Jodłowej przyjechał, panie naczelniku.

— Czego chce? Do rana czekać nie może?

— Nie, bo z Wiednia jenerał z papierami przyjechał.

— Kaj on jest, ten posłaniec?

— Ano tu — Jardys wskazał Dudę.

Szela już oprzytomniał, ułożył się napowrót w łóżku i nakrył pierzyną.

— Coś za jeden? — spytał.

— Duda.

— Żeś Duda, to wim, nie potrza mi mówić. Coś za jeden? pytom.

— Bartek Duda.

— Nie pytom, czyś Bartek czy Maciek, tylko coś za jeden.

Duda zapomniał języka w gębie. O co chodzi, nie wiedział.

— Jakieś dwory zdobywał?

— Ano, w Jodłowej byłem.

— Z Jodłowej dziedzic uciekł. Głupiście i tylo. Sameście tam Dudy, widać. No i czego chcesz? Jaki to jenerał do Jodłowej przyjechał?

Poemat wyleciał Dudzie z głowy. Nie wiedział nic. Dopiero powoli przypominać sobie począł przyjazd Haselhofa. Szela słuchał bardzo uważnie. Kazał powtarzać szczegół po szczególe. Najbardziej zastanowił go Kamocki. Nic o jego aresztowaniu nie wiedział.

— Słyszysz? — rzekł do Jardysa.

— A z jakiemi to papierami ten jenerał z Wiednia przyjechał?

— Z listami od cysorza — odzyskał sprawność umysłu Duda.

— Skąd wisz, że od cysorza. Czytał ci?

— Mnie nie, ino Hojrowskiemu.

— Przy tobie czytoł?

— A ino.

— A ty po niemiecku rozumisz?

— Akuratnie nie rozumim, ale co tam było, zrozumiałem.

— No i co tam było?

Oczy Szeli czyniły się prześmiewne i kpiące.

— Było, że cysorz do was list przysyła. Córka tu jego ma przyjechać. Żenić ją tu ma, czy coś takiego.

— No dobrze, idź spać. Daj mu, Jardys, wódki i zaprowadź, niech sie kaj prześpi. Gront, że Kamocki aresztowany.

Przewrócił się na bok, gdy wyszli, i przymrużył oczy, ale od Malarskiej sen odleciał.

— Jakób...

— Czegój?

— Co ta cesarzówna tu chce? Co ona tu ma do roboty?

— Nie bądź głupia i śpij. Komisarz jakiś do Hojrowskiego przyjechał z listami z cyrkułu, a nie od cysorza.

— A może?...

— Żadne może. Chłop głupi, jak oni wszystkie, i tylo. Śpij, Kasiu.

— Chodź tu do mnie, Jakób — rzekła.

— Kiedy mi sie nie chce. O Kamockim myśle.

— Nie o Kamockim ty myślisz, tylko o cesarzównie — syknęła.

— A niech ta bedzie i o cysorzównie.

— Jakby ci ją cesarz dał, ożeniłbyś się z nią, co?

— Co ci też w głowie!

— A ze mną ożenić się nie chcesz!

— Nie nie chcę, ino nie mogę.

— Czemu to?

— Mówiłem ci, Kasiu, tyle razy ci mówiłem. Polityka nie pozwala.

— Dałbyś sobie raz spokój z tą polityką. Mało już masz? Siedliska twoje, zamek twój.

— Nie murowane to jeszcze, Kasiu, nie murowane.

— Odbierze ci to kto? Może ten jenerał, co z Wiednia przyjechał? Niepokój jakiś po mnie

chodzi, Jakób. Po nocach mi się śni. Śniło mi się, że po śniegu bosemi nogami chodziłam. Że koszulę miałam na sobie podartą, w plamach ze krwi. To jest zły sen, Jakób.

— Co ci tam sny! Nie śpiącemi oczami krew widziałem, ino żywemi, i nie stało mi sie nic. Kamocki wzięty, to gront.

— Jakób!

— Daj mi myśleć spokojnie, już dzień.

XIV.

Było już południe, gdy Szela przywołał do siebie Jardysa, Kordygę i Tatarka. Oznajmił im swoje postanowienie, nocy dzisiejszej powzięte, że porządek ostateczny ma być w Tarnowskiem uczyniony, a panowanie jego raz na zawsze ustalone. Chłopi, którzy do ruchu nie przystąpili, a nawet oponować mu śmieli, jak to w Sulmierskich majątku, narówni z panami karani będą.

— Chłop, co sie interesom chłopskim sprzeciwuje, gorszy jest niż pan, i nijakiego pomiłowania dla niego być nie może.

Bunt w okolicy podtrzymywał Kamocki. Z Kamockim już *fertig*. Austrjacy okuli go w kajdany i dali znać o tem Szeli przez umyślnego posłańca. Teraz on dla przykładu to gniazdo buntu zniszczy tak, aby śladu nie zostało. Wszystka służba i wszystkie dworzany wymordowane w Lipkach będą, a chłopska wieś spalona. Lo przykładu.

Jardys słuchał posępnie. W aresztowanie Kamockiego nie wierzył. Duda nałgał, albo mu się przywidziało. Jednak nie oponował i rozkazy spełniał sumiennie. Miał na ochotnika zebrać chłopów kilkudziesięciu, żeby ruszyli na Lipki, nie wahając się przed rozlewem krwi, nietylko pańskiej, ale i chłopskiej. To samo Kordyga i Tatarek. Na wieczór przygotowania były ukończone. O północy chciał zacząć Szela bój.

Humor miał przedni. Szedł jak myśliwy na polowanie. Lubił ludzką krew i jęk. Ochotnicy siedzieli już na koniach i czekali na niego, gdy posłał do Malarskiej, aby mu wódki przyniosła.

— Kasiu, wisz? Na zabawę jadę.

— Na jaką?

— Do Lipek, z Kulawego sługusów bebechy wypruć. Będą tańcować tero, kiedy dotąd nie chcieli. Chcesz zobaczyć, Kasiu? Każę ci karetę zaprzągnąć, oczy ucieszysz.

— Jabym tam jechać miała?

— Czemuby nie? Nie zobaczysz nigdy takich rzeczy.

— Nie chcę ich widzieć.

— Nie ciekawaś?

— Nie babska to rzecz. I poco ci, Jakób, to mordowanie? Mało to masz? Bóg cię skarze.

Szela posiniał z gniewu i flaszką wódki rżnął o stół.

— Milcz, babo! Milcz, psiakrew, kiej mówię! Boga mi tutaj nie pokazuj, bo jo tu jestem Bóg! Zrzuć ten medalik z piersi, zrzuć, kiej mówię!

Szarpnął medalik z Matką Boską, zawieszony na jej szyi, i cisnął na podłogę.

Cofnęła się przerażona. Jeszcze go takim nie widziała. Oczy mu się zwężyły, dzikie, okrutne, nieludzkie. Szedł na nią, jak wilk, prężąc szyję,

jakby ją zębami chciał chwycić pod gardło. Zasłoniła się rękoma.

— O rety! — krzyknęła.

— Nie poto jo morduję, żebym Panu Bogu miał się opowiadać. Nie poto morduję, żebyś ty karytą jeździła. Nie poto, żebym miał więcej, niż mam. Ino morduję, bom Szela. Rozumisz?!

Podniósł nogę i kopnął ją w brzuch tak silnie, że zwaliła się pod ścianę. Trzasnął drzwiami, skoczył na konia i podniesioną siekierką dał znak, aby jechać za nim. Wszyscy poczuli, że będzie straszna noc.

Dzika pasja szła od niego. Rwali co koń wyskoczy. Zbrojni byli przeważnie we flinty. Nagotowane mieli łuczywo smolne i snopki słomy, przytroczone za plecami, do koni. Skręcili na tę drogę, którą uciekał Kamocki, a później panna Ludka z Osieckim.

Śniegu już nie było. Szkliste roztopy stały pod lasami, parując mgłą białą, przeświecaną gwiazd światłem wieczornem. Cisza w powietrzu, w polach i w lesie. Chałupy wokół spały. Rwali tą ciszą ku Lipkom bez pamięci. Miejscami droga była zalana, brudna woda obryzgiwała konie, sięgała aż do twarzy. Dojeżdżali. Wbok, zdala, ciągnęła się wieś pańszczyźnianych chłopów Kamockiego. Tych, co do rzezi nie przystąpili i na pomoc dworowi biegli. Tak jak Kraśnica Sulmierskiego. Szela przystanął, wszystkie konie, ściągnięte cuglami, stanęły za nim. Patrzył długo w stronę tej wsi. Ważył się na rzecz niesłychaną, o której na początku rzezi nigdyby nie pomyślał, na zniszczenie dobytku chłopskiego, na puszczenie z dymem biedoty, dla której szczęścia mordował panów.

— Trza lo przykładu.

Ponad wszystko złość w nim grała. Okrutna, dzika złość. Większa na chłopów, co za nim nie poszli, niż na dziedziców, niż na samego Kamockiego nawet. Rozmyślał jednak przed spełnieniem swego zamiaru. Nad furją brać poczęła górę kalkulacja zimna, beznamiętna. A co jeżeli po wsiach się rozniesie, że chłopów pali? W Lipkach są kumotry i krewniaki chłopów mu wiernych. Pogorzelcy po całej rozejdą się okolicy. Złe bajki pójdą po ludziach. Już teraz chodzą o Malarskiej, o rozpuście w Siedliskach. Już teraz jeden i drugi wiarę w niego traci. Syna własnego nie jest pewny. Stał i patrzał, aż przysunął się do niego na koniu Tatarek. Przysunął się milcząco, ale po rozkaz, z pytaniem w oczach, długo tak stać będą.

Na widok Tatarka cała kalkulacja od Szeli odeszła i powróciło pierwsze postanowienie.

— Weźmiesz dziesięciu ludzi — rzekł — pojedziesz tam i podpalisz wieś ze czterech stron.

Dziesięć kadłubów końskich, oderwawszy się od gromady, ruszyło stępem boczną drożyną. Reszta patrzyła za nimi, w jakimś lęku zasumowana. Bojowy ogień gasł, jaki taki skoczyłby za odjeżdżającymi wślad i nie dał palić, ale się bał. Tu i owdzie odezwały się głosy.

— Nie zapali się, bo mokro, ogień nie chyci.

— Cichojcie! — ryknął Jardys.

Umilkli i patrzyli na wieś. Stali w milczeniu długo, zdawało im się, że końca temu czekaniu nie będzie. Aż drożyną od wsi wielkim galopem powracał Tatarek z podpalaczami. Dopadł do Szeli.

— Już — rzekł.

— Na dwór! — krzyknął Szela. — Co w koniach tchu!

We wsi ogień błyskał, dym się kłębił. Krzyk trwogi i przerażenia. Wieś porwała się ze snu. Szelowa wataha leciała wzdłuż tej ściany lamentu i płomieni, na dwór lipkowski. Stał w światłach, zbudzony i czujny. Przy samej bramie, na odgłos kopyt, padł strzał. Warta czuwała. I nagle zatrzęsło się od strzałów karabinowych i strzelb myśliwskich. Dwóch napastników spadło z koni. Reszta zmieszała się. Nie spodziewali się obrony, pewni, że napadną niespodzianie.

— Nie uciekać! — wołał Szela. — Ognia! Strzelajcie, psiekrwie!

Dali ognia bezładnie, nie mierząc. I mierzyć nie mogli, bo nikt przed nimi nie stał. Strzały były skrycie dawane, z pobliża, z za płotu, z za drzew. Spokojne i celne. Biły w kupę, oświeconą łuną pożarną.

Wtem Jardys ujrzał Kamockiego. Stał na ganku, wymachując kulą. Krzyczał. Obok niego Ochocki mierzył z karabinu. Jardys Ochockiego nie znał i nie widział go. Widział tylko Kamockiego. Włosy stanęły mu dęba, jemu, który niczego się nie lękał. Wyprostował się na strzemionach jak słup. Wokół niego pierzchali wszyscy, Szela

wstrzymać nikogo już nie mógł, a on na strzemionach stał i patrzył.

— Jardys! sam do mnie! — krzyczał Szela.

Nie słyszał. Szela spadł z konia, koń mu uciekł, chciał dosiąść Jardysowego, a Jardys, nieprzytomny, zlazł z siodła i puścił wierzchowca, który jak szalony pędził drogą.

— Jardys! co robisz! Psiakrew! — Szela w pasji chwycił go za kark.

Jardys odepchnął go, tak że się zatoczył, i szedł wprost na bramę. Przelazł przez płot. Nie strzelał. Chwycił strzelbę jak drąg, za lufę, kolbą do góry, i zamierzywszy się, biegł na Kamockiego. Ochocki zmierzył do niego na dziesięć kroków. Trafił w samo serce. Usłyszał ten strzał Szela, zrozumiał, co się stało.

— Dobrze mu tak, ścierwo jedno!

Obejrzał się wkoło. Noga od upadku z konia go bolała, a musiał piechotą wracać do Siedlisk. Nie miał czasu do namysłu. Opierając się o laskę z siekierką, poszedł polami naprzełaj. Gdyby mu teraz nawinęli się Kordyga i Tatarek, zabiłby. Szedł polem, po ziemi rozmokłej, utykając. Nie chciał wydostać się na gościniec. Tam mogli jechać ludzie do palącej się wsi, mógł go ktoś poznać. Kto wie, czy i z dworu lipkowskiego nie ruszyła pogoń. Od napadu na Siedliska nie chodził piechotą. Chyba w pokojach i po dziedzińcu. I teraz, gdy tyle czynów dokonał, gdy do takiej wzniósł się potęgi...

— Dam jo wom!

Noga dolegała srodze. Czy aby co w kości nie pękło? Noc mijała, gdy dowlókł się do skraju lasu. Skowronek wzbijał się wgórę, ptaki zaświergotały. Niebo było czyste i chłodne, zimna, rześka wilgoć wiała od mchów i drzew. Opończa, spięta srebrną klamrą, którą brał na wyprawy, pokryła się rosą. Z kołpaka spływały krople wody.

Przybrał się jak wódz — i wracał o kiju, pieszo, jak dziad.

— Nijakiej nima sprawiedliwości na świecie!

Znużony był tak, że musiał odetchnąć. Podgarnął pod siebie opończę i usiadł w przyleśnym rowie.

— Starym już taki, czy co?

Słońce wzeszło wysoko, zając przebiegał przez drogę, przykucnął, jakby także odpoczywał.

— Nawet zając się mnie nie boi.

Cisnął w niego kamieniem.

Był naczczo, strząsł się na koniu, w brzuchu go rżnęło.

— Psie życie!

Usłyszał turkot kół, skrył się pośpiesznie za drzewa i stamtąd patrzał, kto jedzie.

Chomiński!

Na wozie wyładowanym, zaprzężonym w dwa tęgie konie, jechał komisarz. Siedział na skrzyni, drugą miał przed sobą, a między niemi oburącz przytrzymywał srebrną tacę. Boki wozu wypchane były kiwającemi się tobołami, piernatami i poduszkami. Powoził młody parobczak. Konie szły truchtem.

Szelę aż zatkało. Trząsł się już nie z zimna, ale z oburzenia i złości.

— Ścierwo austrjackie! Psiawiara! Złodziej jeden!

Skoczyłby i zdzielił kijem przez łeb. Ale boląca noga gonić mu złodzieja nie pozwalała, i nijako mu było z lasu o kiju wychodzić. Patrzył bezradnie, aż Chomiński był już daleko.

— Syćko rozdrapią, jeśli zaraz nie wrócę. Chamy i urzędniki, jedna złodziejska familija.

Zaciął zęby i szedł prosto gościńcem. Niech będzie co chce! Kulał i często przystawał, wspierając się o laskę.

Na błocie pełno było odcisków kopyt końskich. Błysnęła zgubiona podkowa.

— To ma być szczęście.

Trącił ją zrazu pogardliwie laską, potem jednak nachylił się i wsunął do kieszeni.

— Może i jest.

Ani żywego człowieka! Powinni tu przejeżdżać strażnicy, co pytają o paszporty. Kordyga zapewniał go, że są. Łże łotr. Miarkował, że nie jest słuchany. Do samych Siedlisk nie było nikogo. W podwórzu także pustki. Myślał, że zastanie tu cały swój oddział z pod Lipek. Że wyleje swoją złość. Nikogo.

Służba się nie kręci, to dobrze. Dobrze, że wejdzie do zamku niewidziany. Stamtąd dopiero wszystkich do siebie przywoła.

Zebrał siły, aby przejść dziedziniec najśpieszniej. Drzwi stały otworem. Nie rozumiał, dlaczego. Zamek otwarty, bez wart!

W wielkim niepokoju wpadł do pierwszej komnaty i spojrzał odrazu na miejsce, gdzie wisiał obraz, na który miał ochotę Chomiński. Obrazu nie było.

— Dzieło śtuki zabrał! Kondel jeden! Złodziej! Huncwot! Dzieło śtuki!

— Kasiu! — krzyczał — Kasiu! kajś ty jest? Kasiu!

Głos jego grzmiał po komnatach, poroztwieranych i cichych. Biegł z jednej do drugiej.

— Kasiu!

Noga przestała mu prawie doskwierać. Malarskiej nie było nigdzie. W pokoju sypialnym łóżko było niezasłane. Brakowało skrzyni, którą przywiozła z sobą z Brzostka.

— Kaj ona jest?

Szedł na drugą stronę zamku, tam gdzie mieszkała panna Tekla.

— Kajście się zapodziali?! Nikogo niema?!

Teraz dopiero wybiegła do niego Jagna, służebna Malarskiej.

— Kaj pani?

— Pani wyjechała.

— Kaj wyjechała?!

— Pani nie mówiła, kaj jedzie, ino...

— Ino co?

— Ino, że nie wróci.

Zacisnął zęby i opanował się.

— Jagna — rzekł — zaściel mi łóżko i biegaj po Kordygę i Tatarka. Poszukaj ich. Niech mi tu zara przychodzą.

Zzuł buty z trudem i rozpamiętywał przygody tej nocy.

Wszystko mu się na łeb zwaliło, gdy tylko stąd się ruszył. Chomiński nakradł, dzieło śtuki zabrał — i uciekł. Katarzyna uciekła także. Co im do łbów strzeliło? Czy myślą, że on już zdechł? Może ktoś bajkę puścił, że go pod Lipkami zabito. Ino to być mogło, ino to. Inaczej nikt stąd ruszyćby się nie ośmielił. Warty stałyby przed bramą i przed zamkiem. Kordyga i Tatarek czekaliby na niego. Myślą, że nie żyje.

Czas płynął — nikt nie nadchodził. Czyżby ta dziewka zwiała także? Zupełnie był bezradny.

Było już południe, gdy w sąsiednich pokojach rozległy się ciężkie kroki i do sypialni wszedł Staszek.

— Toś ty?

— Jo. Jagna mnie napotkała i mówi, żebym przychodził, bo ociec woła.

— Ciebiem nie wołał. Kaj Kordyga i Tatarek?

— Nie widziałem.

— Jakto nie widziałeś? Nimo ich? Z Lipek nie wrócili?

Nikt z Lipek nie wrócił. Cóże w tych Lipkach sie stało?

— Stało sie to, że huncwoty pouciekały, kiedy od Kamockiego zaczęto strzelać. To sie stało!

Przysiadł na łóżku i zdrową nogą kopał pościel.

— Koń mnie zrucił. Piechotą musiałem wrócić. Chomiński mnie okradł i uciekł. Dzieło śtuki zabrał. Wartało więcej niż cały ten zamek.

— Ma ociec za swoje — rzekł Staszek.

— Poczekoj, poczekoj. Popamintają mnie oni.

— Ma ociec za swoje. Nie trza sie było z babą zadawać. Nie wstyd to ojcu na stare lata. Ociec je wódz, a wziął ociec sobie babę, jakby ociec nie był wódz, ino miastowy kawaler. I uciekła ojcu. Widzi ociec. Widziołem, jak odjiżdżała.

— Widziołeś? Nie zatrzymałeś jej?

— Do mnie to należy ją zatrzymować? Niech wraca, skąd przyszła. Takiej to królowę tu udawać!

Położenie było zbyt poważne, aby rozmyślać dłużej nad tem, co się stało. Rozumieli to obydwaj i jednali się z sobą. Wszystko jednej nocy się rozprzęgło, wszystko trzeba było napowrót brać w garść.

Szela ogarnął myślą, co się stało. Uciekinierzy z pod Lipek roznieśli popłoch po wsiach. Tatarek i Kordyga skryli się przed jego gniewem. Ludzie, co byli tu na wartach i pełnili służbę, widząc, że Chomiński i Malarska odjeżdża, myśleli, że wszystko skończone, zabrali się i poszli. Chłop taki jest. Gdy pięści nad sobą nie czuje, nijakiej nie zna karności. Będziesz go miodem smarował, a on ci zawsze będzie dziegciem śmierdział.

Wydawał rozporządzenia Staszkowi, co ma czynić. Ludzie, co są, na konie niech wsiądą i głównych ze wsi zwołają na zamek. Niech rozgłoszą, że Szela taki jest, jaki był. Narazie Staszek musi objąć komendę, zastąpić Jardysa. Jardysa zabili, dodał mimochodem. Teraz dopiero rzekł, że noga go boli i że boi się, czy co w kości nie pękło. Staszek zaniepokoił się.

— Trza do ojca zawołać Kochanowskiego. Pierwsza rzecz.

— Kiedy to nie od uroku, ino od spadnięcia z konia.

— Syćko jedno. Może kto na ojca urok rzucił, że ociec z konia spadł. Za jednym razem i urok odczyni i nogę nastawi.

— Masz *recht* — rzekł Szela.

Nie upłynęło dwóch godzin, gdy zjawił się znachor. Ignac Kochanowski — nosił nazwisko poety z Czarnolasu, ale nic o tem nie wiedział — mieszkał opodal Siedlisk, w kurnej chacie pod lasem, z żoną, starą jak i on. Nie mieli nic, żyli z tego, co im ludzie dawali. Szedł przez pokoje za prowadzącym go Staszkiem, bez podziwu, nie oglądając się na ich wspaniałość. Większy był od wszystkich bogactw nieziemską swą mądrością i potęgą.

Chłop wielki, przygarbiony, siedemdziesiąt lat liczył z okładem, siwe włosy zbiły mu się w kołtun i grubemi postronkami spadały na kark. Nie obcinał go, żeby nie umrzeć.

— Witajcie, kumie — rzekł Szela.

— Ano jak się macie? Widzę — niedobrze, o, niedobrze!

Usiadł w fotelu koło łóżka i rzekł do Staszka:

— Przynieścieno tu wiadro z wodą, chleba i węgla. Chleba połamanego na kawałki, żeby były nieduże, i węgla tyż nieduże, tyle — pokazał na palcu. — O, niedobrze — powtórzył, patrząc na Szelę.

Podrapał się w głowę, wyjął wesz, przyjrzał się jej w palcach i napowrót wsadził pojmaną w kołtun.

— Wszów nie trza zabijać — wyjaśnił. — One wypijają złą krew, tę co burzy się w głowie. Jo mom dobre wszy. Sielne. Spaśne, co do jednej. Wszystkie znam po imieniu. Bo one imiona u mnie mają. Wiedziołem, którą w palce wzionem. Ta, co ją w palce wzionem, nazywa się konwalija. A wy dużo macie wszów, Jakób?

— Wcale ni mom.

— O, niedobrze! Wszy trza mieć. Bez wszów człek głupi. Bo one tę szaloną krew z głowy piją, — wicie?

Staszek wniósł wiadro z wodą i w chuście kawałki podrobionego chleba i węgla. Kochanowski wsypał je w wiadro, nachylił się nad niem i patrzał. Uroczysta zaległa cisza. Szela wsparł się na łokciu i patrzał także. Staszek też patrzał. Pary z ust puścić nie śmieli. Upłynął kwadrans jeden i drugi, a Kochanowski nic, tylko patrzał. Wreszcie podniósł głowę i rzekł:

— Baba rzuciła na was urok, Jakób.

— Baba? — zawołał Szela.

— A ino.

— Widzi ociec — rzekł Staszek. — Rzuciła urok i drapła. Dlatego ociec zleciał z konia.

— Cichoj, nie przeszkadzaj.

— Urok babski jest zły — zaczął swój wywód Kochanowski. — Bo to, widzicie, jest tak. Kiedy chłop rzuci urok na chłopa, to nimosz z tego śmierci, ani głuchoty, ani ślepoty, ino może być ból zębów, obieranie palca, rżnięcie w brzuchu. A jak baba rzuci urok na chłopa, to jest syćko najgorsze. I znowu jak baba rzuci urok na babę, to jest tak akuratnie, jak chłop rzuci urok na chłopa. A jak chłop rzuci urok na babę, to jest tak, jak kiedy baba rzuci na chłopa. Rozumicie? Na was urok rzuciła baba. Niedobrze.

— Jak wiecie, kumie, że to babski urok?

— Ano, widzicie ten chleb, co poszedł na dno? Nie widzicie?

— Widzę.

— Ano widzicie. To jest to — nie silił się na inne dowody.

Ale w Szeli zbierał sceptycyzm.

— Jakże baba, kiedy nie ogłuchłem ani oślepłem, ino mnie w kolanie boli.

— Możecie jeszcze i ogłuchnąć i oślepnąć, jak się nie odczyni.

— Nie oślepł ociec ani nie ogłuchł, ale w Lipkach syćko ociec potracił. Jeszcze gorzej.

— Prawda — rzekł Szela. — Może i baba.

— Baba. Niedobrze będzie, jak się nie odczyni — powtórzył Kochanowski.

— A odczyni się? — spytał Szela z niepokojem.

— Babski urok odczynić trudno — nachylił się znowu nad wiadrem. — O, niedobrze. Rzuciła na was urok z djabelskiego rozkazu. Djabeł ją tu przywiódł na wasze pokuszenie.

— Widzi ociec.

— Z djabłem ona ma porozumienie. I od djabła ma mieć dziecko.

Nagle Szela wpadł w gniew. Furja w niego trzasła jak piorun.

— Pódziesz mi stąd precz, kondlu jeden! Z twojemi wszami i gadaniem! Wylej mu na łeb tę wodę, Staszek, bo jak się wścieknę, to kości swoich jucha nie pozbira!

— Ociec, co ociec robi? — przeraził się Staszek. — Co ojcu jest?

— To nic, to nic — odparł spokojnie, nieporuszenie Kochanowski. — To djabeł go tak tarmosi. Rogiem go ze środka w brzuchu bodzie.

— Odczyniasz, czy nie odczyniasz? Nie odczyniasz — idź precz!

— Cichojcie, Jakób, cichojcie, bo was zadusi. Ściśnijcie zęby. O, niedobrze!

Szela oparł głowę o poduszki, czerwony z pasji, ale i z lęku. Już nie mówił nic. A Kochanowski wstał, wyciągnął nad nim dłonie, powieki przymknął, stał chwilę i rzekł głosem mocnym:

— Wychodź, nakazuje ci, przez tylne miejsce!

Stał jeszcze chwilę i oznajmił:

— Wyszedł.

— Nie czułem nic — rzekł Szela.

— Jego się nie czuje, bo jest jak wiatr. Ale jo go widziałem, kiedy wychodził. Oczy mam takie, że widzę. Obejrzał się na wos, jako że byliście w jego mocy.

— Jakiż on jest?

— Pysk miał jak baba. Bo oni na siebie babskie biorą pyski. Biorą na siebie pysk tej, co z ich rozkazu urok rzuciła. Włosy miał czarne, ślipia duże, piersi wielkachne.

— Widzi ociec! widzi ociec!

— Nie może być — rzekł Szela.

— Taki był, taki. Dobrzem go widzioł.

— To urok już odczyniony? — spytał Staszek.

— O, jeszcze nie.

Usiadł znowu nad wiadrem i znowu patrzył.

— Tero napijcie się tej wody — rzekł.

— Przynieś mi szklankę — rozkazał Staszkowi Szela.

— O, nie! Szkła tu nie może być. Przychylcie się i napijcie się językiem, jak pies. — No, dobrze. A tero umoczcie koszule i przyłóżcie se do czoła, tak żeby wam twarzy nie było widać. No, dobrze.

I gdy Szela leżał, nakryty podgiętą koszulą, Kochanowski wstał i plunął przez niego na ścianę. Potem na drugą od głowy i na trzecią od nóg.

— Już — rzekł. — Odkryjcie się. Lepiej wam?

— Nie — rzekł Szela. — Jak było, tak jest.

— Z wierzchu tak jak było, ale z wnętrza lepiej, ino nie czujecie. Trza było najpirw wnętrze

wam wyczyścić. Bo bez tego nicby na wierzchu nie pomogło. Pokażcie nogę.

Obmacał mu nogę ręką wprawną i czułą. Szarpnął, aż w kościach trzasnęło, i rzekł:

— Dobrze jest.

Kazał przynieść oliwy, nogę mu wymasował. Szela poczuł się raźniej.

— Ano, dziękuje wam, kumie. Widzę, żeście uczony. Dla chłopa chłopski doktór najlepszy.

— Leżcie tero spokojnie, za trzy dni możecie wstać.

— Cóż chcecie?

— A, co tam dacie.

— Krowę chcecie?

— Krowy to nie. Ktoby ją u mnie doił?

— No a co?

— Jo o tem nie myśle. Pomyślcie wy.

— Dać wam mąki, kaszy?

— Niech bedzie.

— Każ mu tam narychtować worek, Staszek. I słoniny dołóż.

Główni z sąsiednich wsi dóbr siedliskich zebrali się nad wieczorem. Zbóje jeden w drugiego, kaci najokrutniejsi i najdziksi. Byli ze Smarzew, Kuflewa, Siedlisk, Łączek, Zassowa. Byli między nimi dwaj straszni bracia, Piotr i Szymon Więch, co ofiary swoje piłami drewnianemi rznęli i oczy im świecami wypalali. Był Kluczyński, co księży mordował; był Dziukała, co cepami związanych zabijał, mówiąc: „Pamiętasz, jakeś to snopy kazał przy młócce na osiem stron obracać"; Pikul, co

wsie przed rzezią objeżdżał, strasząc, że panowie powstanie robią, aby chłopów wyrżnąć.

Wchodzili bez pokory, wielu mówiło do Szeli poprostu „Jakób", nie „naczelniku". Jednem byli bractwem. O klęsce pod Lipkami wiedzieli i nie pochwalali tej wyprawy. Nie trzeba było na Kamockiego chodzić. Inna znalazłaby się na niego rada. Można go było podstępnie podpalić i podczas pożaru zamordować. Można było nasłać ludzi przebranych, udających chłopów z wsi, które do rzezi nie przystąpiły, i ciby go w nocy śpiącego zażgali. Śmiało i dobitnie krytykowali lipkowską wyprawę. Michał Pikul powiedział Szeli wprost:

— Głupioście zrobili, Jakób. Nie tak trza było.

Po wsiach szeroko o klęsce się rozeszło. Ci, którzy na Lipki poszli, nie byli od takiej sprawy. Dla rabunku poszli. A tam dla czego innego trzeba iść było. Myśleli, że Kamockiego niema. Zdawało im się, że przez Austrjaków jest uwięziony. Najgorsze, że Kamocki samą swoją osobą straszy i każdy na jego widok ucieka.

Tu Szela przypomniał sobie Dudę. Duda mu przywiózł fałszywą wiadomość o aresztowaniu Kamockiego. Trzebaby było chłopa tego odnaleźć, żeby się dowiedział, czem taka zdrada pachnie.

— On was nie ocyganił, Jakób — rzekł Pikul. — Dudę znam. On jest pomylony, ale nie zdrajca. Zdrajcy tu są inni. Zdrajcy są Austrjaki.

Szela podniósł się na poduszkach.

— Gadaj wszystko, co wisz.

— Gadam wszystko. Natom tu przyszedł. Kamockiego Hojrowski aresztował dla pozoru, aby oczy zamydlić, że z nimi nie trzyma. Tam wszystko było zdawna umówione. Wyjechałby Kamocki z Lipek, gdyby był umowy z Austrjakami nie miał? Wzięli go i puścili. Jeszcze mu broń dali. Nauczyli, co ma robić.

— Nacóżby oni to robili?

— To wy jeszcze nic nie wicie, Jakób? Nie rozumicie nic? Austrjaki są przeciw wam.

— Cysorz ze mną trzyma.

— Może trzymał, ale tero już nie. Pany do niego pojechały i nabuntowały go. Chłop nigdzie dostępu ni ma. A pan ma wszędzie przystęp. Nie dalej jak wczoraj w Jaśle rozegnano chłopów, co przywieźli pobitych dziedziców. Dziedzicom opatrunek kazano nakładać, na wolność puszczano. A chłopów rozganiano szablami. Ten, co kazał, to był austrjacki jenerał. Żeby cały naród chłopski był z wami, Jakób, inaczejby było. Ale nie cały jest. Tych, co z wami nie są, nie widać, po chałupach siedzą i się boją. A nawet przyjdzie, gdy dwór się zdobywa, postoi, popatrzy — i tyle. Są tacy, co ukradkiem płótnianki panom dają, żeby uciekali. Są tacy, co dziecka pańskie przechowują w chałupie.

— Trza z nimi jak z panami — rzekł Szela. — Jeszcze gorsze są. Lipki spaliłem.

— Źleście zrobili.

— Rozejdą się lipkowskie ludzie — potaknął Pikulowi Dziukała — rozejdą się te pogorzelcy

i gębować będą, że już wam panów mało i z chłopami tero swój porządek robicie.

Szela wystawił nogę z pod nakrycia i wykonał nią ruch, jakby chciał kopnąć.

— Ty mnie rozumu nie ucz. Więcej go mam w garści jak ty w całym łbie. To co jo zrobię źle, lepsze jest od tego dobrego, co wy zrobicie. Lepszy jest ten płaszcz — wskazał na opończę z srebrną klamrą, rzuconą na krzesło — choćby w nim dziura była, niż twoja płótnianka, choćby ją dopiero co uprzędła twoja baba. Z innej jest materji.

— Z pańskiej jest materji — rzekł nieulękle Piotr Więch. — Wy pańską materję lubicie, kumie. Wyżeniście szlachtę ze dworów, a samiście tero szlachcic we dworze. Puściliście Lipki z dymem. Przyjdzie czas, że będziecie chłopa kijem prać, jak ekonom. I waszym wnukom będzie trza robić to, co wy dziś robicie panom. Staszek wasz na chłopów „chamy" krzyczy. Śmierdzi mu już chłopem być. Gronta pańskie zajmuje, dwór chce sobie pobudować. Niedoczekanie jego!

— Niedoczekanie twoje! — cisnął się Staszek. — Nie natom łeb nadstawiał, nie natom naród chłopski z niewoli z ojcem moim wyprowadzał, aby na trzech morgach nieswoich do śmierci siedzieć.

— Cichoj! — warknął na niego Szela. — Cichoj!

Jeden przez drugiego mówili dalej. Nie można Austrjakom się dać. Zaczyna się zmowa między nimi a panami. Trza z tem skończyć, póki czas.

i chciał go brać za kark, gdy Breindt podniósł się z krzesła i kazał mu odejść. Był to starszy, otyły mężczyzna z siwiejącemi faworytami.

— A, pan Szela — rzekł po polsku.

W gabinecie znajdował się także Haselhof. Szela w mig pojął, że skoro Breindt zaczyna rozmowę po polsku, to nie czyni tego bez przyczyny. Odpowiedział więc po niemiecku:

— *Habe die Ehre* — i ciągnął w tymże języku. — Źle ma pan wymustrowaną służbę, panie komisarzu. Gdyby pan przyjechał do mnie do Siedlisk, to moi ludzie wiedzieliby, kto pan jest, i nie kazaliby panu czekać w przedpokoju.

— *Was wünschen Sie?*

— Przyjechałem do pana na rozmowę. Dawno nie widzieliśmy się. Nie widzieliśmy sie od tego czasu, jakeśmy tu, w tym pokoju, układali wytępienie szlachty polskiej.

— O jakiem układaniu pan mówi?

— Ano o tem, gdy mi pan komisarz życzenia cysorza przedstawiał. Podobno teraz jakiś jenerał z Wiednia przyjechał. Może mi te ordery przywiózł, co mi je pan komisarz obiecywał. Niepotrzebnie czas mitrężył, bo ordery do chłopskiej sukmany nie pasują. Mówiłem wtenczas panu, że mi nijakich orderów nie trza. Ale ja chciałbym zobaczyć tego jenerała.

— Z Wiednia przyjechał hrabia rotmistrz von Haselhof — odparł Breindt i wskazał ręką Haselhofa.

Haselhof z udaną obojętnością obserwował Szelę. Ani drgnieniem nie zdradził zainteresowania. A gdy Szela wprost do niego się zwrócił:

— To pan mi, panie hrabio, przywiózł te ordery — odpowiedział chłodno:

— *Nein.* Żadne ordery.

— A z czemżeś pan tu przybył?

— Pan hrabia przybył z specjalną misją z Wiednia — odparł za Haselhofa Breindt.

— Jakaż to misja?

— Urzędowa.

— Ale jaka?

Breindt za całą odpowiedź pogładził faworyty.

— Jo muszę wiedzieć — rzekł Szela — jakie są urzędowe misje, przywożone z Wiednia, do cyrkułu, którym jo rządzę. Ludzie mi mówią, że oficer, który przyjechał z Wiednia — to widać pan, panie hrabio — w obronę bierze buntowników, a chłopów, co cysorskiego dobra bronią, cysorskie rozkazy spełniają, rozpędzać każe. Czy to jest prawda?

— Jakież to są rozkazy cesarza? — zapytał Haselhof.

— Rozkazem cysorza było, przez pana komisarza mi oznajmionym, wyrznąć buntowników, co przeciw niemu powstawali. Jakżeż teraz chłopi za to szablami są rozpędzani, a buntownicy brani pod opiekę? Największy buntownik, Kamocki z Lipek, na wolności sie znajduje i z komisarzami jest zapanbrat.

— Chłopi — odpowiedział Haselhof — są rozpędzani z rozkazu cesarza z powodu morderstw i rabunków, których się dopuszczają.

Szeli oczy błysnęły. Breindt wciąż gładził faworyty.

— Kiedy nas rząd wezwał do wyrżnięcia panów — rzekł Szela — tośmy wyrżnęli. Wysiepaliśmy cepami i widłami, bo innej broni nie było. Takie to okrucieństwo, panie hrabio. A co do rabunku, to chłop złodziej nie jest, i nie rucha tego, co nie jego. Ziemia jest jego, bo ją uprawiał, więc ją bierze. Dobytek pański jest jego, bo powstał z jego pańszczyźnianego potu i krwi. Powiedzieli nam komisarze: Bierzcie jak swoje, to wam się należy. I takie też jest prawo wojenne. Wolno zabrać, co jest zdobyte. Złodzieje tu są inni. Miałem jo takiego złodzieja u siebie w Siedliskach. Komisarza. Łyżki śrybrne pozabierał, poduszki, dzieło śtuki zabrał, co wisiało na pokojach i wartało więcej jak cały zamek. To był złodziej prawdziwy.

— Panie Szela — rzekł Breindt — posunęliście się za daleko. Na to, coście robili, rozkazów nie było.

Usiadł przy biurku i, mieszając się trochę i plącząc, długo wywodzić począł, jak niedokładnie został zrozumiany. Następnie, że powstania już niema, że w zarodku samym zostało stłumione, a przeto porządek i prawo muszą napowrót zapanować.

— Jakież one mają być? — zapytał Szela.

Znowu nastąpił długi wywód prawny, zawiły i rozwlekły, z którego jednak wynikało jasno, że porządek i prawo to przywrócenie dawnego stanu rzeczy.

Szela przymknął oczy i słuchał. Haselhof mógł przyglądać mu się teraz swobodnie, ale nic nie dostrzegł pod zmartwiałą maską. Dopiero gdy Breindt powiedział, że w każdym razie on, Szela, pokrzywdzony nie będzie, Szela podniósł powieki.

— Cóż ja za służbę moją i wierność dostanę?

— Pańszczyzny odrabiać już nie będziecie.

— Nigdym jej nie odrabiał. O to mnie głowa nie boli.

— Nie odrabialiście jej przeciw prawu. A teraz prawem będzie dla was zniesiona.

— To nie jest żadne wynagrodzenie.

— Ziemia, którąście obrabiali, będzie wasza.

— Mało.

— A czegóż wy chcecie?

— Ano, co łaska.

Zadowolenie wystąpiło na twarz Haselhofa. Uśmiechnął się.

— Mogliście pobłądzić i życzeń cesarza nie zrozumieć — rzekł — lecz za wierność zostaniecie wynagrodzeni. Im większa będzie wasza wierność, tem nagroda będzie większa. Jesteście wiernym sługą cesarza, *nicht wahr?*

— Najwierniejszym jego poddanym — odparł Szela.

— Życzeniem cesarza jest, aby wszystko powróciło do porządku bez użycia siły. Gdy powiecie swoim ludziom, aby to uczynili, usłuchają was?

— Chłopi zrobią wszystko, co każę.

— Wtedy cesarz was nagrodzi.

— Jak?

— Czego za to chcecie?

— Co łaska cysorza.

— To, co pan komisarz Breindt obiecał, to mało?

— Mało.

— A gdybyście dostali zagrodę własną? Pieniądze na gospodarstwo? Wzięlibyście?

— Gdyby było tyle, żeby mi wystarczyło na stare lata do śmierci, wziąłbym.

— Cesarz wam da.

— Na papierze?

— Jakto na papierze?

— Jo panu hrabiemu ufam. Ale chcę mieć na papierze obietnicę napisaną.

— Możemy wam napisać.

— Napiszcie.

Haselhof pomyślał chwilę i podyktował Breindtowi dokument, obiecujący Szeli wynagrodzenie danej przez niego obietnicy. Gdy dokument podpisał, Szela zażądał, aby był jeszcze podpisany przez Breindta, a gdy to uczynione zostało, upomniał się o przyłożenie pieczęci.

Pieczęć przyległa na papierze.

— Niech pan mi to jeszcze odczyta, panie hrabio.

Wysłuchał, rzekł: — *Danke schön*, schował starannie, troskliwie, zapiął kurtę z samodziału, wstał i, oparłszy się silnie o laskę z siekierką, przymrużonemi, chytremi ślepiami przyjrzał się Austrjakom.

— Więc już wszystko skończone? — rzekł Haselhof.

— Skończone to jeszcze wszystko nie jest — odparł Szela. — Jedno się skończyło, a zaczęło sie drugie.

— Co chcecie powiedzieć?

— Usłyszycie, jeno potem.

Nie skinął nawet głową i szedł ku drzwiom, nagle od progu odwrócił się, chrząknął, zebrał ślinę, plunął pełnemi ustami i, trzasnąwszy drzwiami, z furją wybiegł z starostwa.

— Co koń wyskoczy do Siedlisk!

Zmiana polityki austrjackiej była jasna. Ciemni chłopi odgadli ją wcześniej niż on. Można było wszystko stracić, ale można było jeszcze wygrać. Przed groźną postawą chłopów władzeby się cofnęły. Austrjacy chcą rządzić w tym kraju — muszą kogoś mieć za sobą. Cóżby było, gdyby chłopi wystąpili przeciw nim? Nie wyrżną ich, jak szlachty. Jest ich więcej. Wszystkich chłopów nie wyrżną. Austrjacy układają się teraz z panami. Do układów nie można dopuścić. Tylko tyle. Nie dopuścić do układów. Inaczej wszystko będzie po dawnemu.

Pomyślał o sobie. Jakżeby on wrócił do swojej chałupy?! Jakżeby stamtąd patrzył na jakichś

Boguszów, nowych panów w Siedliskach, którzyby dziedzictwo objęli po zamordowanym! Odkąd żył, trudności wszystkie przerąbywał, jak pień siekierą. Odkąd żył, przed niczem się nie cofnął. Szedł za swoją własną wolą i upodobaniem. Chłopakiem będąc, rodzonego ojca spalił, gdy mu się sprzeciwiał. I w góry poszedł, na rozbojach szczęścia szukać. Żonę też zabił, gdy mu się inna udała, ta, co zmarła, matka Staszka. Cesarza zabiłby też, gdyby mógł. Nie z innego cesarz mięsa. Wierności dla monarchy, o której tyle mówił, wcale nie czuł. Austrjackie nasienie!

Macał kieszeń, czy papier jest. Schował go przeciw władzy austrjackiej, aby chłopów oświecić, gdy im każe opór rządowi stawiać. Schował go przeciw władzy austrjackiej — i — na wszelki wypadek...

W Siedliskach porządek wracał. Piotr Więch brał wszystko w garść mocno.

Szela naradzał się z nim po nocach, konni wyjeżdżali co chwila do wsi odległych. Z różnych stron przychodziły wieści zatrważające. Żony zabitych do domów wracały, a żołnierze zaganiali chłopów do roboty.

Po długiej naradzie z Więchem zaspał ranek. Po przebudzeniu Staszka zawsze do siebie wołał. Staszek spał teraz w zamku, w drugiej komnacie.

— No i co tam? — pytał Szela.

— Przyszedł Hmyz. Chce ojca widzieć.

Szela przetarł oczy.

— Co za Hmyz?

— A ten, co jego syna Kamocki powiesił na drodze.

— Wiem. Trza mu dać posłuchanie. Wołaj go do mnie. Niech wejdzie.

No tak... Hmyz... wiedział, kto taki.

— Pochwalony.

W progu stał, z czapką w ręku, wysoki, siwy, pochyły starzec. Opierał się o kij sękaty. Słowa, któremi powitał Szelę, nie były w Siedliskach używane. Nie rozbrzmiewały tu za nowego panowania. Zabrzmiały jakoś dziwnie. Szela jednak odparł:

— Na wieki. Chodźcie bliżej. Zamknijcie drzwi. Siądnijcie tu, koło łóżka. Na tym fotelu. Odpocznijcie. Toście Hmyz?

— A ino.

— Ociec tego, co go Kamocki obwiesił?

— A ino.

— Przyjdzie na niego pomsta. Nie bójcie sie. Czego stoicie? Czemu nie siądniecie? Zamordował wam syna, bo syn wasz o narodzie chłopskim myślał. Bo chciał, aby jego stary ociec miał chałupe własną i kawałek chleba do śmierci.

Stary stał wciąż. Rękę podniósł do góry i potrząsnął nią, jakby odganiał słowa Szeli.

— Co wy mi ta gadacie, Szela, co wy mi ta gadacie!

— Może nieprawda?

— Co wy mi ta gadacie!

— A kto go zamordował? Nie Kamocki?

— Wyście go zamordowali, Szela.

— Jo?

— Wy. Przyszedłem się z wami rozmówić przed śmiercią. O tego mojego jedynaka przyszedłem się z wami rozmówić. Do grobu już idę i takem do was wstąpił, jakoby po drodze. Wyście go na rabunek pchnęli, na morderstwa. Takiście w niego grzech wprowadzili. I bez ten grzech zginął. Nie bez Kamockiego, nie. Wyście jeden grzech, Szela! Kogo sie tkniecie, to zarazicie. Zaraza od was idzie. I ludzie od niej padają, jako bydło. Bez was Smarzewy na cholerę wymarły. Bez was!

— Zgłupiałeś, stary, czy co?

— Nie pamiętacie? Nie pamiętacie, jako ta pani w Smarzewach była, z chłopami gadała, coby to przeciw Austrjakom pomoc dali, z pieniędzmi uzbieranemi dla polskich żołnierzów do Tarnowa na noc poszła w chłopskiem przebraniu. Wyście na nią w lesie czekali. Wyście ją nożem żgnęli i zrabowali. Pod kamieniem ona w Tarnowie na cmentarzu leży.

— No i co jeszcze wiecie?

— Wtedyście się tą śmiercią, temi skradzionemi pieniędzmi zbogacili. Od tych waszych pieniędzy zaraza naokoło szła. Smarzewy na cholerę wymarły od tych waszych pieniędzy. Od tych waszych pieniędzy ludzie mordercami! Przez was mój jedynak zginął!

Podszedł do samego łóżka i stał tak blisko, że Szela czuł oddech jego na sobie.

— Tyś gorszy jak cholera! gorszyś jak pożar! — krzyknął, już się nie hamując. — Święta ziemia trzęsie się z gniewu, że cię nosi! Bodajeś w niej nigdy nie leżał! Bodaj twoje kości psy rozwłóczyły! Bodaj...

Nie skończył. Szela zerwał się, porwał za leżący na stoliku pistolet. Przyłożył mu go do skroni.

Na huk strzału wpadł Staszek i ludzie, co byli w zamku. Hmyz nawet nie rzęził. Zbielałemi w śmierci oczami przeklinał. Drżeli, gdy stężałe jego ciało nieśli do dołu.

XVI.

Stało się to na drugi dzień.

W szarej światłości budzącego się ranka wychylała się z pierzchających cieni, wraz z konturami drzew, modremi pasmami lasów, mgłą wiszącą nad łąkami, gromada chłopów, na drodze ku Siedliskom. Na przodzie postępował wóz w dwa konie zaprzężony, z białą sosnową trumną, a przed wozem Antoni Wrona, niosąc oburącz krzyż.

Księżyc odchodził, bladł. Ostatnie gwiazdy zgasły. Z nad moczarów uniósł się ciężki ptak. Lecąc zabrzęczała pszczoła. Na krzyżu zajaśniała metalicznym blaskiem postać rozpiętego Chrystusa i gorzeć poczęła w zapalających się smugach wschodu. Dzień się stawał. Jak tysiąc srebrnych dzwoneczków, drgających w powietrzu, zadźwięczał świegot ptactwa.

O tej chwili stanęli przed zamkniętą bramą w Siedliskach. Otwarła się odrazu. Człowiek, który ją otworzył, poprowadził ich przez śpiący dziedziniec przed zamek, wskazał na poruszoną świeżo ziemię i rzekł:

— Tu.

Klękli i zaczęli pieśń pogrzebową.

Potężne głosy, zlane w jeden chór, napełniły

nieprzebudzoną jeszcze ludzką ciszę. Wszystko spało dookoła.

Pierwsi porwali się wartownicy, co leżeli na schodach kamiennych, nakryci sukmanami. Nie wiedzieli, co to. Skąd przyszli ci modlący się ludzie? Jakiem tu są prawem? Bramy były zamknięte! Skąd się wzięli?

Z podwórza biegła służba. Z zabudowań dworskich kobiety i dziewczyny bose, w kieckach ledwo narzuconych, prosto ze snu. Wysypali się zewsząd Szelowi dworzanie i dworzanki. Nikt nie mówił nic, każdy przystawał i patrzył. Aż z zamku na terasę wypadł Piotr Więch. Osłupiał jak inni.

Koło niego stał już Staszek i sam Szela. Na to, co się działo, patrzyli jak na rzecz niepojętą, jak na zjawisko, rozumem nieogarnione.

Chłopi skończyli pieśń, zaczęli litanję za umarłych. Odmawiali ją, a jednocześnie kilku podniosło się z kolan. Ustawili trumnę na ziemi, wyjęli z wozu szpadle i rozkopywać poczęli świeży dół. Wśród grobowego milczenia patrzących, przy słowach wciąż odmawianej litanji, wydobyli ciało Hmyza, złożyli je w trumnie, podnieśli ją na wóz na ramionach, i zacząwszy znów pieśń pogrzebową, szli wzdłuż frontu zamku, przed Szelą i Więchem, napowrót dziedzińcem ku bramie, gonieni spojrzeniami rozstępującej się przed nimi ciżby. Na czele postępował Wrona, niosąc krzyż. Brama za nimi się nie zamknęła, długo ich widać było idących drogą i słychać ich pieśń żałobną.

Od Szeli pierwszego odeszło zaklęcie. Dawny świat wracał mu w oczy. Złość w nim zerwała się jak wicher, poprzedzający burzę.

— Kto ich tu puścił?!

Nikt nie odpowiedział, nikt nie ruszył się, jakby nie słyszano.

— Czego stoicie, gamonie jedne?! Huncwoty! Kto tu dziś zamku pilnował? Jo ci dam, kondlu jeden i drugi! Nie wytrzeszczaj ślepiów, jucho jedna, aby ci w nie kto nie naświnił!

Ujął siekierkę za dolny koniec i skoczył bić, ale go Więch chwycił za ramiona.

— Niechajcie, Jakób! Niechajcie!

Przytrzymał go, rwącego się z stalowych garści, obrócił nim i w oczach wszystkich wepchnął w drzwi. Wszedł za nim ze Staszkiem. A Szela trzasnął siekierką w stół i chodził milcząc po komnacie. Nagle za głowę się chwycił i krzyknął:

— Gdzieżeś podziała sie, sławo moja?!

Więch pozostawił go z Staszkiem i poszedł do parku, gdzie spotkał się z bratem swoim Szymonem. Ani o parku ani o ogrodzie nikt z nastaniem wiosny nie pamiętał. Chyba dziewki z zamku, którym najlżej tu było wyrzucać śmiecie i wylewać pomyje. Wyrzucały je i wychlustywały przez okna, tak że pod murami pełno się tego walało i cuchnęło. Na trawnikach puściły się kwiaty polne i chwaściska wybujały, nieposkromnione. Więchowie chodzili po nietkniętej jeszcze gracą ulicy, mając przed sobą zamek z potłuczonem oknem,

zabitem do połowy deską, do połowy założonem brudną szmatą.

— Ze starego nie będzie już nic, siłę stracił — rzekł Piotr.

— Sielny on jeszcze jest — zaprzeczył Szymon.

— Sielny jest, ale ino w garści. Inną siłę stracił. Od tej jego siły taki strach szedł, że ludzie dali mu zarzynać się jak barany. Jemu i nam. Z samego strachu. Strach im było nie dać się. Tero nic nikomu nie zrobi, choć siłę ma w ręku taką, jaką miał. Nikt mu się nie da. I przez niego my wszyscy siłę stracim.

Szymon słuchał i przeżuwał w myśli słowa brata, w którego rozum bardzo wierzył.

— Wszystko przez niego się zmarnuje, jak mu nie poredzimy — mówił Piotr. — On jest tero jak ogień, co bucha, ale niema co na nim do warzenia postawić. Z takiego ognia nic. Wydymi się, wypali i ostanie ino węgiel a popiół. Dziecka będą taki popiół rozgarniać rękami i się nie poparzą. Dobrze temu się przyjrzałem i wiem, co robić należy.

— Co? — spytał Szymon.

— Wziąć to — odparł Piotr i zatoczył ruch ręką, wskazując na zamek i park. — Takiego dobytku popuścić nie można. Należy on się temu, co będzie po nim rządził, co będzie w okolicy panował. Ino nie trza tak panować jak on. Nad chłopami trzeba panować z chłopska, a nie z pańska. Takie mieszkanie nanic. Jo tu mieszkać nie będę. Mówię ci, że w tych ścianach to nawet zimno i wil-

w powietrzu była rześkość, kurz mu się butów nie czepiał. Idąc rozmyślał nad tem, co mówił brat.

— Dobrze wszystko — pomyślał. — Tak trza brać rządzenie w rękę, nie inaczej.

Rządzenie było namiętnością braci Więchów. Jakby się do niego urodzili, a go nie dostali. Chłopy były harde, przed rzezią jednak powinności swoje względem dziedzica spełniali skrupulatnie. Nie buntowali się nigdy. Z jakiemś nawet wewnętrznem zadowoleniem oddawali hołd panu, czy to odkrywając głowy, czy podejmując go pod nogi. Nie dlatego, żeby mieli dla niego szacunek czy sympatję, tylko czcili symbole władzy i panowania. Straszniejsi niż Szela, bo bardziej wyrachowani i okrutniejsi. Szela nożem pchnął, łeb siekierą rozwalił, z pistoletu zastrzelił, lecz piłą drewnianąby nie rżnął, ócz świecąby nie wypalał. Pozwalał na to, nawet na to patrzył, nawet męki rozkazał, lecz sam, własną rękąby ich nie zadał. Więchy inaczej. Bez drgnięcia powieką najokrutniejsze tortury zadawać potrafili, a byli sensaci, rozważni i kalkulatorzy. Prym trzymał Piotr, Szymon poddawał mu się posłusznie. Taka była między nimi hierarchja.

Słońce zaszło, gdy stanął przed lepianką Kochanowskiego. Nieogrodzona była, bez studni, samotna w polu, czarna, z zapadającą się słomianą, sczerniałą strzechą, goła, bez drzewa. Za nią ciągnął się las.

Gdy Szymon się zbliżył, skoczył do niego pies uwiązany na łańcuchu przy samej przyzbie. Czarny, kudłaty, duży jak cielę. Szymon cofnął się przed bestją i nie śmiał kroku uczynić dalej. Pies rwał się na łańcuchu, szczerząc białe, potężne kły. Na zaciekłe jego ujadanie wyszła z izby starucha, okryta czemś w rodzaju podziurawionej płachty, bez chustki na głowie, któraby zasłaniała brudne kosmyki siwych, w kupę zbitych włosów. Mrugając czerwonemi, o zaropiałych rzęsach powiekami, patrzała pytająco na Szymona.

— Matko, gospodarz jest?

— Jest.

— Bo ja do niego z interesem.

Potrząsnęła głową odmownie.

— Tero nie.

— Czemu?

— Tero nie.

— Zdaleka umyślnie przyszedłem.

— Tero nie. Jak pierwsza gwiazda zaświeci, a tero nie.

— Będę czekał na tę gwiazdę.

— Usiądź tu i czekaj.

— Kiedy tu pies.

— Nic ci nie zrobi. Zaczekaj.

— Jak mam siedzieć? Na gołej ziemi?

— Na tym pieńku se usiądnij.

Pień stał tuż koło psa.

— Nie bój sie, usiądnij.

Pies, jakby rozumiał, nawet nie warknął. Rozłożył się obojętnie i odwrócił od gościa. Gdy Więchowi jednak przydługie siedzenie dokuczać zaczęło, i podniósł się, żeby wyprostować kości, pies

odwrócił łeb i groźnie warknął. Więch przysiadł na pieńku. Pojął, że ruszyć się nie może i musi tak siedzieć, dokąd Kochanowskiemu się spodoba.

Już nietylko jedna zaświeciła gwiazda, ale całe niebo niemi się pokryło, gdy starucha ukazała się na przyzbie i rzekła:

— Chodź!

Więch przestąpił próg i znalazł się w wąskiej czarnej sieni. Nie widziałby nic, gdyby w izbie po lewej stronie nie palił się ogień. W nikłem jego, przedzierającem się do sieni świetle ujrzał poukładane na ziemi i umocowane do ścian jakieś piszczele i gnaty. Na przeciwnej ścianie sterczała czaszka końska. Były tu szkielety kotów, szczurów i psów i oddzielne kości. Istna zwierzęca kostnica.

Wszedł do izby. Na ogniu stał wielki żelazny kocioł, bulgotał gotującym się w nim płynem. Para wypełniała izbę. Warzyły się jakieś zioła o słodkawym, mdłym zapachu. Przy ścianie znajdował się wyleżany barłóg. Za siedzenie służyły zniesione pieńki drzew. Miska z łyżkami drewnianemi i blaszany półkwaterek stały na ziemi.

Szymon słyszał, że trzeba Kochanowskiego całować w rękę, ale tego nie uczynił, tylko stanąwszy w drzwiach, rzekł gromko:

— Ja tu do was w interesie.

— Ano wejdź — rzekł Kochanowski.

Siedział na barłogu oparty o ścianę, bose, brudne nogi wyciągnął na podłodze. Starucha kopyścią mieszała w garnku.

— Ja muszę z wami gadać na osobności.

— Tu jest osobność. Wejdź, Szymonie Więch.

— To wy mnie znacie?

— Nie widziałem, ale znam. O Kordygę przyszedłeś pytać.

Dreszcz przebiegł po Więchu. Nikt cabaniarzowi powiedzieć tego nie mógł, sam z siebie wiedział.

— Wiedziałem — mówił Kochanowski pół do siebie pół do Więcha — że dzisiaj przyjdziesz nad wieczorem. I powiedziałem Kordydze, żeby był. Będzie. Musisz zaczekać.

Szymon chciał przysiąść na pieńku. Kochanowski wstrzymał go ruchem ręki:

— Nie może nikt usiąść pod tym dachem, kto nie spełni napoju umarłych. Jakby stąd odszedł, a napoju tego nie spełnił, to po drodzeby zginął, że umarłymi pogardził i tego, czem oni się karmią, nie wypił pospołu z nimi.

Mówił to cicho, zwyczajnie, lecz oczy jego przeszywały Więcha jak strzały. Starucha zaczerpnęła z gotującego się kotła blaszanką i podała ją Więchowi. Ręce mu blacha parzyła, ale ją trzymał.

— Niech przestygnie — skinął głową Kochanowski. I patrzył w pułap.

Szymon nie śmiał blaszanki odstawić, przekładał ją z ręki do ręki i stał tak, aż Kochanowski rzekł:

— Wypij duchem.

Wychylił blaszankę. W głowie mu zakrążyło. Nie jak od wódki, ale jakby nałykał się dymu al-

bo czadu. Siadł na pieńku. Głowa mu ciążyła jak kamień, izba krążyła.

— Źle się dzieje, o, źle! — mówił Kochanowski. — Dziś zjechał na ziemię władca siódmej chmury. Ten, co na siódmej chmurze siedzi. Na siódmej chmurze zamek ma. Dzisiaj tu zjechał. Dawno tu nie był, o, dawno! Ażem się zdziwił, bo on nie lubi podróżować, bardzo nie lubi. Dwa pioruny sobie zaprzągł do swojej kolasy i zjechał. Od tego taka burza szła. Stoi ta kolasa w Siedliskach pod jesionem. Ty jej nie widzisz i nikt jej nie widzi. Ale ja ją widzę. O, stąd ją widzę. Nad ranem siądzie w nią i sama z nim uleci. Tero chodzi i umarłych ospytuje, jak i co. Hmyz mu się użalił. O, niedobrze!

Więchowi kręciło się w głowie coraz bardziej. Mdła para z gotującego się sagana napełniła izbę, tak iż woda osiadała mu na twarzy i głowie. Nie widział nic, tylko przez parę słyszał głos Kochanowskiego. Jakby ta para gadała.

— Krew gotuje się w ziemi. A umarłe, co ją wypuściły, jęczą, o, jęczą. Bo ta krew nim wyparuje, trzyma je tu, jak łańcuch. Odejść od tej ziemi nie mogą, a ta ziemia już nie dla nich.

I, przymknąwszy oczy:

— Kordyga już idzie. Już idzie bez las.

Poczem znowu:

— Władca siódmej chmury chce ich od tego łańcucha z krwi uwolnić. Ale muszą jeszcze tu chodzić, o, muszą. Nie będziesz ty miał Siedlisk ani twój brat. I Szela na nich nie ostanie... Łańcuch z krwi grubieje. Nie odejdą stąd jeszcze umarli. O, niedobrze, niedobrze... Kordyga już jest — rzekł.

I w tejże chwili w izbie stanął Kordyga. Kochanowski przymknął oczy, jakby drzemał.

— Więch! — zawołał Kordyga.

— A ja do ciebie.

— Czego ode mnie chcesz?

— Powiem ci na osobności.

— Jakeś wiedział, że tu będę?

— Ano zwiedziałem się.

Kochanowski, nie otwierając oczu, uczynił ruch ręką, jakby wypychał ich z izby.

— Idźcie — rzekł. A potem: — Więch!

— Co każecie? — spytał Szymon.

— Bój się ty więcej krwi jak wszów.

Wyszli z chaty. Pies nie zaszczekał. Więcha ogarnęło świeże, chłodne powietrze. Dur wywiał mu z głowy. Noc była jasna, cicha, usiana gwiazdami. Wyszli na bielejącą od księżycowego światła drogę.

— Czego chcesz? — spytał Kordyga.

— Abyś wrócił — odparł Więch.

Wyłożył mu, jak jest źle, jak ruch trzeba ratować, nie oddać tego, co się wzięło. Wyłożył mu, jakie będzie miał korzyści, jak ręka Szeli go nie dosięgnie...

Na nazwisko Szeli Kordyga zatrząsł się z gniewu.

— Niech go cholera! — krzyknął. — Ja do tego dzieła ręki przykładać nie będę. Ani z nim ani

bez niego. Wódz, psiakrew! Miałem go za co inszego. Krewbym mu swoją z żył wytoczył. A on co? Oczy mi się otworzyły. Dla siebie on wszystko czynił. Do Siedlisk dziewkę se sprowadził. Taki wódz! Jardysa na śmierć posłał! Bohusz chłopów nie mordował, jak on.

— Bohusz jensza rzecz, a Szela jensza — rzekł Więch. — Ja ci nie mówię, że Szela nie o sobie ino myśli. O sobie oni myślą, on i Staszek. Ale czy to z nim masz iść?

— Ani z nim ani z nikim na takie dzieło więcej nie pójdę.

— Co będziesz robił? U cabaniarza będziesz siedział?

— Kaj będę siedział, moja sprawa. Żeby Szela, ty, twój brat, wszystkie wy razem, tyle mieli we łbach, co on ma za pazurem, inaczejby było na świecie.

— Mądry on jest, ale wszystkiego nie wi. Nie umie ze swojego rozumu korzystać. W chałupie zydla nie ma. Na barłogu leży jak ten pies. Co mu z tego rozumu świta?

Kordyga zaśmiał się.

— Głupiś — rzekł.

— Ano bo nie?

— No, to ci powiem, żebyś wiedział. Bogacz on jest.

— Kochanowski?

— Nie kto inny. Skarby on ma wielgachne, zakopane. Nie będziesz ty takich miał, choćbyś wszystko zagrabił dookoła.

Więcha zatknęło.

— Skarby takie ma?

— Żebyś wiedział!

— I co z niemi robi?

— Dla wszów swoich chowa po swojej śmierci. „Nie chcę" mówi, „żeby moje wszy z głodu zdychały, gdy zemrę". „Mądry to jest gad", mówi, „ale nie taki, żeby mógł przenieść to, co człowiek przenieść może. Wesz nie przeniesie tego, co człowiek. Nie pocieszy się, zdechnie z rozpaczy i nawet tej rozpaczy swojej nie wypowie. To ja chcę im zapewnić utrzymanie", powiada. „Żeby po mojej śmierci były z ciała mojego zebrane i żeby za to, co po mnie ostanie, kupowane im było, co się należy." On wi, jak wesz powinna być żywiona. „Nie potrzebuje krwi człowieczej", powiada. „Taką pije, bo innej nie ma". „A człowiek", powiada, „wodę ma i mleko i ziarno, kartofle i kapustę, a krwiąby się ludzką ochlał. Wesz nie taka".

Więch pokręcił głową.

— Mądry on jest a głupi — rzekł.

— Tyś głupi, a nie on. Ja tyż byłem głupi. Ostań z Bogiem.

Zawrócił ku chacie Kochanowskiego.

Jak go tu Więch odnalazł? Na przeszpiegi może przyszedł. Wykryć go i Szeli w ręce oddać. Judasz on jest. Szela ucieczki z pod Lipekby mu nie darował. Jemu i Tatarkowi. Co jemu zabić choćby rodzonego syna? Dziw, że Staszek jeszcze żyje. Gdzie jest Tatarek? Jak wtedy się rozeszli, to już się nie widzieli. E, gdyby Szela nawet się

zwiedział, że u Kochanowskiego przebywa, nie zrobiłby mu nic. W Kochanowskim taka jest moc, jakiej w nim niema. Wszy Kochanowskiego mocniejsze od Szeli. Taka jest w nim moc.

Gdy tułając się kilka nocy, zaszedł do jego chałupy, odrazu tę moc poczuł. Kochanowski mu wszystko powiedział. Powiedział, co pod Lipkami się stało, o Jardysie, że zabity, i co robił on, Kordyga. I potem kazał mu u siebie zawsze nocować i takie mu rzeczy dziwne gadał, jakich nigdy nie słyszał. Kiedy wiedział, co było, musi wiedzieć, co będzie. Będzie wielkie karanie. Krew, przez człowieka przelewana, przemienia się w powietrzu w piorun, w cholerę, w posuchę, w grad, w pomór na bydło. Takie to jest karanie bez sądu. Nic go nie odmieni, nic nie usunie, bo jak zrobić, żeby krew z ziemi nie parowała? Takie mu rzeczy gadał. A do siebie kazał przychodzić i spać. Jego chałupa była bezpieczna. Na nią kara ta nie spadała, bo otoczona była powietrzem czystem, takiem, co tego krwistego jadu nie przepuszczało. Straszna tu była cholera, a on między chorymi chodził, dotykał się ich, i nie stało się mu nic, bo zawsze tem powietrzem był owiany.

Najgłupsi są tacy, co mordują. Złodziej też jest głupi, ale nie tak. Ze złodziejstwa, i to nie z każdego, choroba się w gardle robi. Bo jak człowiek cudze weźmie, a potem palec do nosa albo do gęby przytknie, to ten kurz, co ma na palcu od dotknięcia, djabeł mu do gardła wpycha, i w gardle mu ten kurz rośnie. Ale to można uleczyć, kiedy

jest czas. I nie każdy kurz jest zły. Kurz z ziarna, kartofla, owocu do gardła nie wchodzi, djabeł do niego nic nie ma. Ale jak kto szatę weźmie, jest bardzo źle. A pieniędzy się dotknie, jeszcze gorzej. Bo kurz ze srebra i złota najgorszy.

Przyprowadzili mu raz takiego z miasta na wyleczenie. Zajrzał mu w gardło, a gardło się świeci jak nowa końska podkowa. Jakże z takiem gardłem żyć?

Wszystko od djabła. On we wnętrzu człowieka przemieszkuje, więc je urządza według swego smaku. Lubi się przewracać na złocie i srebrze. Wygnać go trudno. Bez gardło nie wyjdzie, ucieka w głąb. Gdy w brzuchu zostanie i kiszek się ułapi, a wypchnąć go nie można, to śmierć. Tylko ze śmiercią wyjdzie.

Wszedł do chaty, do drugiej izby z sieni na prawo, i położył się spać na rozesłanej słomie. Miał w tej izbie schowane jadło, bywało, że sobie co i na ogniu u Kochanowskiego uwarzył. Spał już długo, gdy do izby wszedł Kochanowski. Tak nim szarpnął, że Kordyga, choć miał sen ciężki, zerwał się z posłania. Księżyc świecił przez szybkę, i Kordygę, gdy na Kochanowskiego spojrzał, tknęło, że coś się stało. Kochanowski oddychał ciężko i oczy przymykał, jakby nie mógł znieść księżycowego światła.

— Wisz, kaj Łączki?

— Wim.

— Wstań i idź tam duchem. Tam mieszka pani Brzeska. Idź duchem na całą noc. Niech ona

nałoży wiejski przyodziewek i kto tylko w domu jest, niech taki nałoży, i niech z domu wszyscy idą. Mężczyźni niech się przewdzieją w białe płótnianki i niech idą. Niech nikt nie uchodzi w czarnem — żebyś pamiętał!

— Spamiętam — rzekł Kordyga, owijając nogę w słomę i nadziewając but.

— Spożyj co, jeśli masz, bo daleko.

I już nie rzekł nic, zakaszlał i przeszedł do swojej izby.

XVII.

Kamocki jęczał z bólu. Panna Tekla z Leokadją gotowały siemię lniane i okładały mu twarz po tej stronie, gdzie bolał ząb. Nie pomagało. Nie pomagało płókanie odwarem z maku. Nie pomagało nic. Podwiązany czerwoną chustką, wił się na łóżku.

— Leokadja, wołaj Michała!

— Niechże pan nie robi tych swoich głupstw.

— Wołaj, nie wytrzymam!

Michał, włodarz, leczył Kamockiego w nagłych wypadkach, wymagających zwłaszcza zabiegów chirurgicznych. Zebrał się zaraz, niosąc narzędzia potrzebne do operacji — świder, drut, hak i młotek.

Kamocki bez słowa otworzył do niego szeroko usta.

— Który to? — spytał Michał.

Pokazał palcem. Wtedy Michał dotknął chorego zęba świderkiem i na wściekły ryk kiwnął głową potwierdzająco:

— Tak, ten.

Wbił hak w ścianę, popróbował, czy mocno siedzi. Niedaleko haka ustawił stołek bez oparcia, na którym usiadł Kamocki. Przy pomocy świder-

ka niezwykle wprawnie i umiejętnie założył mu koniec druta na zębie, a drugi koniec przytwierdził do wbitego haka.

— Niech pan dziedzic zaczeka.

I wyszedł.

— Bój się pan Boga! Co pan wyrabiasz?! — wpadł do pokoju Ochocki.

— Panie, naprawdę nie można! — Przecież on panu całą szczękę rozerwie! — wołała Ludka.

Kamocki, nie mogąc głową ruszyć, przytwierdzony do haka, oczy tylko zakrwawione wybałuszał i kulą tłukł, aby wszyscy precz poszli.

Nagle drzwi się otworzyły, i Michał z płonącą głownią skoczył na niego, jakby mu ją chciał wsadzić do gardła.

Kamocki rzucił się wtył, spadł ze stołka, ząb został na wyrwanym z ust drucie, jak ryba wędką z wody wyjęta.

Jęczał, leżąc na podłodze. Z ust ciekła krew. Położono go na łóżku, okryto. Blady był jak ręcznik.

— Wódki!

Ludka wybiegła i wróciła z butelką i kieliszkiem. Odtrącił kieliszek, przyłożył butelkę do ust i pił. Potem odwrócił się na bok, zasnął.

Obudził się samym wieczorem, osiem godzin przespał od południa, w humorze był doskonałym.

— Światła!

Zbiegli się do niego wszyscy.

— Jakże panu?

— Jak ręką odjął. Ja to już wypróbowałem. Nie pierwszy raz! Jak pana, panie Janie, ząb zaboli, niech pan zawoła Michała. Nikt, żaden felczer tak go panu zgrabnie nie wyrwie. Wyedukowałem go. Ja znam się na wszystkich chorobach. Nigdy nie wołam doktora. Niech Bóg broni! I chłopa wyleczę i babę. Jak raz Leokadja...

— Niechże pan da spokój — przerwała mu.

— Nie wyleczyłem cię może, co?

— Że też pan się nie boi takich operacyj — rzekł Ochocki.

— Czegóż się mam bać?

Nagle na progu pokoju stanął Michał.

— Panie dziedzicu...

— Co powiesz?

— Jest ten...

— Jest?!

— Teraz przyszedł.

Kamocki spoważniał.

— Panie Janie, niech pan zostawi mnie samego. Przyprowadź mi go — rzekł do włodarza. — A stój za drzwiami! — zawołał za nim. — Gdybym na ciebie krzyknął...

— Ja już wiem, panie dziedzicu.

Podniósł się z łóżka i usiadł w fotelu, trzymając mocno kulę w garści.

W progu stanął Tatarek, skłonił się czapką do ziemi i chciał zbliżyć się i pocałować go w rękę, ale Kamocki kulą i ręką uczynił znak, aby został tam, gdzie stoi.

— Z czemżeś przyszedł?

— Wypatrzyłem, panie dziedzicu, że poszli na Łączki.

— Kto?

— Więch poszedł. Piotr Więch z Szymonem. Pan dziedzic wie? Zebrali bandę na koniach — z pięćdziesiąt chłopów. Pojechali do Łączek zeszłej nocy.

— I ty mi to dopiero teraz mówisz?

— Dziś się o tem zwiedziałem, panie dziedzicu.

Kamocki zamyślił się, wyjął z szuflady papier i począł pisać. Złożył papier, zapieczętował lakiem, przyłożył sygnet.

— Michał da ci stąd konia i pojedziesz zaraz do Tarnowa. Z tym listem. Pójdziesz do starostwa. Oddasz go panu Haselhof.

— Wim, panie dziedzicu.

— Potrafisz?

— Przecie nie pierwszy raz.

— Jedź, co koń wyskoczy.

Położył na rogu biurka pięć guldenów. Tatarek je zgarnął i chciał go znowu pocałować w rękę.

— Nie potrzeba. Spiesz się. Co koń wyskoczy!

Tatarek został jego agentem. Na drugi dzień po ucieczce z pod Lipek ofiarował mu swoje usługi. Kamocki zrazu miał ochotę postąpić z nim jak z Hmyzem, poszedł jednak po rozum do głowy. W sprawę wtajemniczył tylko Michała. Tatarek u Michała wieczorami się meldował i ten go do pokoju wprowadzał tak, aby go nikt nie spostrzegł. Ludka i Ochocki przeraziliby się na myśl, z kim

się wdaje. A on przecież wiedział, co robi. Tatarek donosił mu, co działo się w Siedliskach, że rzeź wygasa; że przeciw Szeli głosy nawet pośród chłopów się podnoszą; że są tacy, którzy u siebie krowy i konie dworskie przechowują, aby je oddać dziedziczkom, żonom pomordowanych, gdy te powrócą do swoich majątków, że u jednego z chłopów uratowane dzieci się kryją, a niektórzy świtki swoje dają uciekającym, aby nie byli poznani. Kamocki przypuszczał, że mógłby dojechać do Brzostka i nicby mu się nie stało. Tego po ostatniem doświadczeniu, gdy wpadł w ręce Hojrowskiego, nie czynił, po sprawunki tam jednak konnych posyłał i ci bezpiecznie wracali. Znosił się z Haselhofem i zawiadamiał go o wszystkiem, o czem Tatarek dał mu znać.

O Łączkach dostał wiadomość za późno. Wziął kulę pod pachę i chodził zafrasowany po pokoju. Brzeskiej nie znał, wiedział tylko, że była wdową i właścicielką Łączek. Kobiet nie mordowali, więc dlatego tam dotąd nie poszli. Coś się widać zmieniło. Jeśli poszli, Łączki stracone. Lecz jeśli po drodze dla innych rabunków się zatrzymają, Haselhof ich dosięże. Znowuby się zaczynało!

Więchy! Znał ich. Ktoby myślał, że tacy dwaj porządni chłopi!... Porządni przecież byli chłopi.

Rano obudził się z głową pełną pomysłów. Teraz na niego kolej przyszła. Teraz on porządek zrobi. Otworzył okno i patrzył na ogród. Nie umył się. Twarz jeszcze napuchłą mógłby zaziębić, zresztą kaczką nie był, aby w wodzie codzień się plu-

skać. Czynił to tylko od wielkiej parady i zawsze w niedzielę. W wytłuszczonym szlafroku, z pod którego wyglądały włochate, siwiejące piersi, w szlafmycy, z kulą pod pachą patrzył w ogród. Chodziła tam Ludka i Ochocki. Uśmiechnął się. Lubił, gdy tak koło niego miłość kwitła i pachniała jak rzepak.

— Panie Janie! Panie Janie!

— Co?!

— Chodź pan! Coś ważnego mam panu powiedzieć!

Ochocki opuścił Ludkę i przyszedł.

— Czego pan chce?

— Wypij pan ze mną kawę.

— Już piłem.

— Wypij pan jeszcze raz! Cóż to panu szkodzi? Mam panu coś bardzo ważnego powiedzieć.

Ochocki musiał zostać, zaczekać na kawę i po raz drugi spożyć śniadanie z Kamockim.

— Kiedyż wesele? — spytał Kamocki, drobiąc biały chleb do szklanki.

— Teraz żałoba.

— Żałoba! Żałoba! Po żałobie musi przyjść wesele. Żałoba, nie mówię. Lecz trzeba ją skrócić. Panna Ludka potrzebuje kogoś, ktoby na jej wsi gospodarował, a panu też przyda się gospodyni. Połączycie majątki. Żałoba! Wiem, że żałoba. Lecz i temu biednemu Sulmierskiemu lżej będzie w grobie, gdy córka dostanie opiekuna. Z samej litości nad jego duszą powinniście przyśpieszyć. Nie mam racji, co? A ludzi to nowych

nie potrzeba? Jedno pokolenie wymordowane, niech drugie prędko przybywa i rośnie. Nie mam racji, co?

— Cóż pan jest dziś w tak dobrym humorze?

— Nie jestem w dobrym humorze, tylko myślę o sprawach powszechnych. Nie widzę, aby należało tracić nadzieję. Ja zawsze wiedziałem, jak należy postępować. Gdyby mnie słuchano, wszystko poszłoby inaczej. Gdyby mnie słuchał Dziewicki! Pan wie? On tu przecież u mnie w Lipkach kwaterował i stąd powstanie robił. Ale nie umiał. Chłopom pierwszy się kłaniał. Daję panu słowo honoru. Z Paryża taką modę przywiózł. Tak jakby mi król polski pierwszy się kłaniał.

— Nie zdziwiłby się pan.

— Zdziwićbym się nie zdziwił, ale nie wiem, czybym takiego króla słuchał. Króla jeszcze mieć będziemy, zobaczy pan. To też kto słuchał Dziewickiego? Jak pierwszy chłopu się ukłonił, chłop myślał, że dziad. Mogło być inaczej? Musi być porządek. Pan też masz głowę zapchaną ideami liberalnemi.

— Już mi one z głowy wywietrzały — rzekł ponuro Ochocki.

— A widzisz pan! To jest między nami różnica. Ja, jak byłem największym liberałem, tak nim zostałem.

— Pan i liberalizm!

— Jakto — ja i liberalizm?! Liberalizm od łacińskiego *liber* — wolny. Nie zapomniałem jeszcze łaciny, co? Wolny, to taki, któremu nikt nic nie

ma do rozkazywania, i który robi, co mu się podoba. A czyż ja nie robię, co mi się podoba, hę?

— Liberalny to taki, który chce, aby wszyscy byli wolni.

— Tego to ja nie pojmuję. Bo przecież wolny to taki, który robi, co mu się podoba. Na jedno wychodzi. Mnie się akurat podoba co innego niż drugiemu. Może miałbym mu ustępować? A mnie się nie podoba mu ustępować. Gdybym ustąpił, zrobiłbym to, co mi się nie podoba, a więc nie byłbym wolny, czyli nie byłbym liberalny. Dam panu przykład. Szeli podoba się tu panować. Jakiż jabym był liberał, gdybym mu na to pozwolił? Jeśli kto już ma tu panować, to nie on, ale ja.

— Biedna ta Polska! Zawsze ktoś musi w niej panować, albo Szela, albo pan.

— Albo wy liberali — o! Napijemy się wódki?

— Rano?

— Cóż to szkodzi? Dlaczego wieczorem można, a rano nie? Leokadja! Leokadja! Przynieśno butelkę nalewki, wiesz, tej... I kieliszki. I coś do przegryzienia.

— W ręce pana, panie Janie!

Wypili.

— No i co? Pan nie chciał pić, a ja chciałem — i wypił pan. Któż jest liberalny? Ja czy pan? Najlepszy dowód.

— Pana nikt nie przegada.

— Prawda? Najtęższego adwokata w kozi róg zapędzę. I wie pan, taką mam głowę, że różnie o tej samej rzeczy mogę dyskutować. Gdybyś

pan co do tego liberalizmu stanął na mojem stanowisku, to ja stanąłbym na pańskiem i tak samobym pana przegadał. — Jeszcze po jednym.

— Teraz już naprawdę nie.

— E, co to panu szkodzi? — napełnił mu kieliszek. — Kobieta lubi, gdy z ust mężczyzny poczuje zapach trunku. Widzi, że chłop.

— Niech pan da spokój.

— Daję słowo! Gdyby pan cukierków się najadł i do niewiasty z zapachem takim się zbliżył, po pyskuby panu dała, zaręczam panu. Ja się na tem znam.

— Jadł pan kiedy cukierki?

— Nie jadłem, to też nigdym po pysku nie brał.

— Pan mi jednak chciał coś powiedzieć?

— Mało to panu powiedziałem? No, ale niech pan słucha. Patrz pan na mnie i słuchaj.

Podciągnął kulę, wyprostował się.

— Patrz pan na mnie i słuchaj. Uwalniam dziś chłopów od pańszczyzny.

— Pan?

— Tak mi się podoba. Ja słyszę, jak trawa rośnie. Mówił mi ten austrjacki poseł, hrabia Haselhof, z którym, jak pan wiesz, zaprzyjaźniłem się — bardzo porządny człowiek — że w Austrji się boją, aby austrjaccy chłopi nie zaczęli tego co tutaj. Kiedy się boją, niechżeż się boją jeszcze lepiej. Gdy pańszczyznę zniosę, stracha im napędzę. I będę miał austrjackich chłopów za sobą. Buntowaliście naszych, ja wam pobuntuję waszych. Macie, czegoście chcieli. Co?

— Jakżeż pan to uczyni?

— Bardzo poprostu. Zobaczysz pan.

Ochocki zobaczył niebawem. Na rozkaz Kamockiego już od południa chłopi zaczęli skupiać się przed dworem. Nędzny, bosy tłum pogorzelców — niejednemu koszula tylko została — opuszczał tymczasowe budy, z gałęzi i chróstu stawiane, i płynął do lipkowskiego dworu. Szli mężczyźni w białych, przybrukanych świtkach, kobiety ciągnęły za sobą półnagie dzieciaki, albo niosły owinięte w chustkach niemowlęta, dziewczyny w chustkach czerwonych, pod brodą zawiązanych, parobczaki. Szło to zbiedzone, bez zbytniej ciekawości, oderwane od roboty. Każdy już koło budowania nowej chałupy się krzątał, Kamocki drzewa nie żałował, pozwalał brać z lasu, ile trzeba. Gdy się zeszli, wyszedł z Ochockim i Ludką na ganek.

Chłopi odkryli głowy, pochylili się ku ziemi, baby uciszały dzieciaki, kolebały w ramionach piszczące niemowlęta.

— Kazałem wam tu przyjść, abyście wiedzieli, co zamierzam dla was zrobić — zawołał donośnie Kamocki.

Odsapnął.

— Daruję wam pańszczyznę!

Gromada stała, spozierając jeden na drugiego, kobiety uciszały dzieci.

— Daruję wam pańszczyznę! Nie rozumiecie?! Pytam, nie rozumiecie?! Daruję wam pańszczyznę!

Zagadał jeden do drugiego. Dziecka się darły. Ta i owa dziewucha spojrzała na drugą i parsknęła śmiechem. Tę i ową szturchnął pod żebra w ścisku parobczak.

— Cichoj tam! Nie śmiać się! Nie macie z czego!

Wreszcie wystąpił z gromady chłop, podjął Kamockiego pod nogę.

— Jakże to, panie dziedzicu?

— Tak, że na pańszczyznę nie będziesz chodził. Będziesz robił na tem, co masz dla siebie. Jak będziesz robił u mnie, to ci zapłacę. Rozumiesz? Nagrodę wam taką ustanawiam, żeście nie zgłupieli, za Szeląście nie poszli!

— Ktoby tam za nim chodził! — odezwano się.

— Ano, widzicie. Nie praliśmy go tu razem, co?

— Bo i prawda.

— Więc za to, widzicie. Spalił was, zniszczył, z torbami chciał puścić! Z głodubyście pomarli, gdyby dłużej hulał. Zbój! Koniec już z nim. Jego los już zgotowany, już się nie wymiga on i ci, co z nim poszli. A wam pańszczyzna zostaje darowana. I tym wszystkim, wszędzie, co taki mieli rozum jak wy. Oto, widzicie, panna Sulmierska. Ojca jej, pana Sulmierskiego, zażgały zbóje w Siedliskach. Ale jego ludzie nie ruszyli nic. Nie ruszyli, choć już nie wrócił, i innym ruszyć nie dali. To też panienka tak samo ludziom swoim pańszczyznę daruje, jako i ja. A u pana Ochockiego

było inaczej. Rządcę zabito, dobytek rozgrabiono — tam nic zmienione nie będzie.

— Panie Kamocki — pociągnął go Ochocki za rękaw.

— Cicho pan bądź i nie przeszkadzaj! W Siedliskach też nic darowane nie będzie, ani w Kuflewie, ani nigdzie, gdzie te łotrostwa się działy. Rozumiecie?

Zrozumieli. Szmer między nimi szedł. Ktoś krzyknął:

— Podziękujcie! Do nóg panu dziedzicowi!

Cisnęli się, obłapiając mu nogę i kulę. Zstąpił między nich.

— To twoje? ileż ma? Dwa roki? Chłopiec? dziewucha? Leokadja! Masz tam jaką bułkę? Przynieś, daj dzieciakowi. Budujesz się? A gdzie tam bydło wiążecie? Krowa ci się cieli? Daj ją tu, wezmę na oborę. Ciężko krowę i konia trzymać pod gołem niebem. W nocy się nie zdrzymniesz, żeby ci nie ukradli. A przez kogo? Przez tego złodzieja! podpalacza! rabusia! rzezimieszka! Mówię wam, że takiego wyrodka chyba jeszcze świat nie widział!

— Chyba nie, panie dziedzicu.

— Jaka to była baba, co wydała na świat taką juchę?! I syn taki sam.

— Taki sam, panie dziedzicu.

Rozwiązały im się języki, opowiadali jeden przez drugiego o zbrodniach Szeli. O jego rządach w Siedliskach. O Malarskiej. O ucieczce Kordygi i Tatarka. Wiedzieli wszystko dokładnie. Kamocki chodził wśród nich, przepytywał, doradzał. Nazwisko Szeli powtarzano co drugie słowo. Siła chłopa za nim poszło, ale nie wszyscy. Z Lipek ani jeden do niego nie przystał.

— Ja wiem, dlatego łaskę wam okazuję. Tamtym nic darowane nie będzie.

— Bo i sprawiedliwie.

— A teraz, dobrzy ludzie, zrobimy nad nim sąd! Leokadja! Stół i krzesła przed dom. Osądzicie go sami. Co postanowicie, zostanie wykonane! Wybierzcie sędziów z pośród siebie. Na nikogo nie pokazuję. Sami wybierajcie! Pięciu!

— Mamy go to sądzić, panie dziedzicu?

— Macie go sądzić. Nato was tu zwołałem. Żeby pańszczyznę darować i zwołać sąd. Jak wybierzecie, dacie mi znać!

— No i co? — spytał Ochockiego, gdy wyszedł z pośród nich i wrócił do domu. — Dobrze pomyślałem?

— Bardzo pan dobrze pomyślał.

— Wyrok ich poślę Haselhofowi. Niech wie, czego chce polski lud. Niech zawiezie do Wiednia i odczyta cesarzowi. Psubrat, psiakrew! Cesarz, nie Haselhof. Haselhof porządny człowiek. Niechby go skazali na obłupienie żywcem ze skóry i powieszenie za nogi w najwidoczniejszem miejscu. Takby im trzeba było poddać.

— Idą tu — rzekł Ochocki, patrząc przez okno.

Kamocki wyszedł do sieni.

— Wybraliście?

— Wybraliśmy, panie dziedzicu.

— I kto?

— Ano my. Nas piąciu: Ignacy Kurek, Jan Zawada, Maciej Pichur, Ignacy Samlicki, Marcin Dubiel.

— Zasiądźcie za stołem i sądźcie. Ja między wami zasiadać nie będę. Ale gdybym był sędzią, wiecie, na cobym zasądził? Kazałbym go żywcem obedrzeć ze skóry i powiesić za nogi w najwidoczniejszem miejscu. Na gościńcu, jak ludzie idą na jarmark do miasta. Nieprawda, co?!

— Ano zobaczymy, panie dziedzicu.

Nie zasiadł, lecz okno otworzył, oparł się o framugę łokciami i uważał, jak sąd się odbywa.

Usiedli za stołem. Pośrodku stał Ignacy Samlicki, wybrany, aby przewodził, i odezwał się w takie słowa:

— Narodzie! Gromado wsi Lipek, majątku pana Marcina Kamockiego! Będzie tu sądzony Jakób Szela ze Smarzew, poddany pana Bohusza, którego własną ręką zamordował i który wieś nam spalił! Kto ma przeciw niemu, niech przystąpi i rzecze.

— Dobrze! Dobrze! — pochwalił Kamocki. — Jak ci chłopi umieją brać się do rzeczy. Coś nadzwyczajnego! Ale oni pisać nie umieją! Te zeznania muszą być zapisane. Panno Teklo, bo ja im sekretarzować nie mogę, bierzno pani papier, atrament, pióro, i siadaj tam między nimi. Bierz pani, mówię! Tu niema co się krygować, tu idzie o sprawiedliwość! Bierz pani pióro!

Ociągającą się wziął za rękę i poprowadził do sędziowskiego stołu.

— Musi być wszystko zapisane. Ta pani będzie zapisywać, wy krzyżami podpiszecie.

— Musi być zapisane — potwierdził Samlicki. — Niechże pani se siądnie i pisze, żeby tylko było akuratnie.

Kamocki powrócił do framugi, a Samlicki powtórzył:

— Kto ma co przeciw Jakóbowi Szeli, oskarżonemu o morderstwa, podpalania i inne przestępki, niech przystąpi i wyzna sumiennie, jak pod przysięgą.

Usiadł i czekał.

Przystąpił jeden.

— Ja go oskarżam o oszukaństwo. Jako że zwał się wodzem narodu, a on taki wódz, co zamieszkał na zamku, a innych w chliwieby trzymał. O to go oskarżam.

Popatrzyli po sobie.

— Prawda jest. I co mu za to?

— Z Tarnowa dziwki woził pańską karytą! W rękę kazał całować tę, co sobie przywiózł, jak jaką panią.

— Boga się taki nie boi! — rajcowały baby.

— Cichojcie!

— Za pana się przebrał. Sukmana mu śmierdziała, marcepanów mu się zachciało!

— Rozparł się na zamku w Siedliskach, jak ten bucefał!

— Pańszczyznę na siebie kazałby odrabiać! Na takiego dobrodzieja on się szykował!

— I co mu za to? Jakąbyście na niego karę naznaczyli? — pytał Samlicki.

— Do obory go zaprowadzić, pysk w gnój wsadzić i niech się nażre! Niech się nażre na śmierć! Marcepany mu posmakowały! Gnojem żył, niech od gnoju zdycha!

Kamocki śmiejące oczy obrócił na Ochockiego.

— Dobrze mówią — rzekł.

— Widzicie — odezwał się Samlicki — oszukaństwo oszukaństwem, lecz on oszukiwał takich, co mu zawierzyli. Naco byli głupi? Za oszukaństwo inna musi być kara.

— Dobrze osądzili — rzekł stary Kurek.

— No, kiedy dobrze, to pisz pani: *za oszukaństwo gnojem krowim ma być nakarmion.*

Poczem znowu:

— A ty, gromado cała, nie oskarżyszże go, że wieś ci spalił? Że pana dziedzica Kamockiego w domu jego napastował, jakby mu był co krzyw? Bohusz był jego panem, to się z nim rachował, ale tu czego szukał? Chodziliśmy to na pana Bohusza, żeby on chodził na naszego? Oskarżasz go gromado?!

— Oskarżamy!

— No, i co za to? — zwrócił się do sędziów.

Zasumowali się. Zbrodnia wielgachna. Za taką zbrodnię, za takie nocą podpalanie, trzaby mu rękę prawą odjąć po łokieć.

— Sędziowie mówią, że za to ma mu być ręka prawa odjęta po łokieć.

— Niech będzie!

— Pisz pani: *ma mu być ręka prawa odjęta po łokieć.*

— Niema już nikogo, ktoby go oskarżał? — pytał.

— Krzyże po cmentarzach rąbał! W piecach niemi palił!

— Prawda jest — potwierdził Samlicki. — Bluźnierstwo, świętokradztwo. Co mu za to?

— Za to kara musi być największa — rzekł Pichur. — Za to musi być śmierć.

— Za to musi być śmierć — rzekli inni.

— Niech będzie śmierć, ale jaka? — spytał Samlicki.

— Przez powieszenie — rzekł Zawada.

— Jakoż przez powieszenie? — sprzeciwił się Pichur. — Hmyz tu wisioł całą zimę za to ino, że przyszedł pode dwór. To jakże jego za tylą rzecz ino wieszać? Musi być śmierć, ale inaksza.

— Jaka?

— Przez powieszenie starczy — rzekł Zawada.

— Nie starczy!

— Nasampierw za bluźnierstwo i świętokradztwo — mówił Pichur — ma mu być prawa ręka odjęta.

— Już mu jest odjęta za podpalenie.

— Za podpalenie będzie mu odjęta lewa, a za świętokradztwo prawa — mówił z uporem. — A potem niech będzie poćwiartowan. Nie święto-

kradcaby on był i nie bluźnierca, inaczejby rzeczy poszły. Całe nieszczęście przez to.

— Więc jakże? — spytał Samlicki sędziów.

— Niech będzie poćwiartowan.

— Sędziowie orzekli, że ma być poćwiartowan!

— A bo i sprawiedliwie!

— Pisz pani: *ma być poćwiartowan.*

Tu spostrzegł, że niema co dłużej sądzić Szeli, i rzekł:

— Inne przestępki mogą mu być darowane, bo jakże karę z niego ściągać, kiedy nie będzie żył? Ma więc być gnojem nakarmion, lewa ręka, potem prawa ma być odjęta, a potem ma być poćwiartowan. — Sprawiedliwie, czy nie?

— Sprawiedliwie!

— Pisz pani.

Podyktował wyrok. Sędziowie zbliżyli się do papieru i kładli krzyże jeden po drugim. Panna Tekla pod znakami wpisywała nazwiska.

— Niech podpisze cała wieś! — zawołał z okna Kamocki.

Podchodzili jeden po drugim, mówili nazwisko i stawiali krzyże.

— Baby nie plątać się pod nogami! Sąd nie babska rzecz!

W lipkowskim dworze wybiła godzina jedna i druga. Wstali i wyrok z podpisami zanieśli Kamockiemu.

— Panie dziedzicu — przemówił Samlicki — on jest osądzon za zbrodnie przeciw całemu narodowi i za spalenie Lipek. Za to co w Siedliskach zrobił, niech go sądzą siedliczanie; za to co w Kuflewie — kuflewianie. Nie nasza rzecz.

— Osądziliście sprawiedliwie — rzekł Kamocki. — Jakie życie, taka śmierć! — I kazał dać im wódki.

— No i co? — spytał Ochockiego, gdy się rozeszli.

— Jakżeż pan ten wyrok wykona?

— Nie chodzi o wykonanie wyroku, tylko niech w Wiedniu rząd wie, jakie lud polski ma zapatrywanie. O to chodzi, rozumiesz pan? To jest akt polityczny. Dobrze powiedziałem? Akt polityczny. Jednak juchy srogie. Jabym mu rąk odcinać nie kazał. Ze skóry tężbym nie odzierał, tak się tylko gada. Poprostubym powiesił i pal go sześć!

Wyrok lipkowski na językach rozniesiony został po Wadowice, Tarnów i dalej. Gadki szły o nim z wsi do wsi. Szela osądzon na śmierć za oszukaństwo; za oszukaństwo przez chłopów swojej okolicy, którzy się wszystkiemu zbliska dokumentnie przyjrzeli. Ta jedna zbrodnia pokryła wszystkie. Nie mówiono o mordach, o dziewkach z Tarnowa przywożonych, o rąbaniu krzyżów, tylko o tej jednej — o oszukaństwie.

Chłopi spotykali się w karczmach, gromadki ich chodziły od jednej wsi do drugiej, zaglądali do siebie do chałup i ugwarzali o oszukaństwie Szeli.

— Siedliska zabrał, ożenić się chciał i pańszczyznę dla siebie i swoich dzieci zaprowadzić.

Jakże mogło być inaczej! Przebrał się zpańska, powozami rozjeżdżał, jadł, pił, kompanów spraszał, służbę utrzymywał, skądby na to brał? Starczyłoby mu na długo bez pańszczyzny? Oszukał naród, że cysorz listy do niego pisywał. Pisywał ta listy! Cysorzby pisywał do złodzieja! Widział to kto? Pokazywał papier, co u żyda na szynkwasie znalazł, i gadał, że od cysorza. Ludzie czytać nie umieją, a jak kto na literach się rozumiał, to widział, że nie polskie, ino żydowskie, i wierzył, że cysorz pisał. Niemcy żydowskiemi literami piszą. Zaganianoby chłopów do roboty, gdyby Szela z cysorzem listy do siebie pisywali?

O tem szło też coraz szerzej. Tu i owdzie zjawiał się komisarz i śledztwo prowadził, kto mordował i jak. Wiedziano o mordercach w kryminale już osadzonych. Obok tych gadek szły inne, że pańszczyzna darowana zostaje w dobrach, gdzie chłopi do rzezi nie przystąpili. Czego Szela Kamockiego napastował? Czego był największy jego wróg? Bo wiedział, że Kamocki chce znieść pańszczyznę. A jemu nie było to po myśli; jako że chciał ją w Siedliskach dla siebie utrzymać. Chłopów ćmił i szli za nim jako te barany!

Przypominano sobie, co ludzie starsi mówili, kim był i jakie były jego sprawki. Jako parobek ojca rodzonego spalił i w góry uciekł. Po gościńcach ze zbójami mordował. Wyuczył się. Praktyk był. I takiemu naród wierzył! Takiemu oszukańcowi!

Teraz wyrok na niego do Wiednia poszedł, zobaczy, jakie mu cesarz powinszowanie wypisze.

Bez uprzedniego zmawiania się gromada chłopów z Siedlisk, Smarzew i Kuflewa, takich, co w mordach brali udział lub przy nich asystowali, i takich, co od wszystkiego trzymali się zdala, zebrała się pod zamkiem. Chcieli zobaczyć, jak wygląda skazaniec, na co jeszcze czeka, czy jeszcze żyje.

Rozprzężenie panowało zupełne. Warty stały w bramie, ale dostępu nie broniły nikomu. Właził, kto chciał. Służba się trzymała. W budynkach dworskich kto zamieszkał, to siedział, bo jeść było co. Szela żydom sprzedawał inwentarz, owce wszystkie sprzedał, pieniądze miał i za nie pił. Ludzie dla tych pieniędzy jeszcze do niego lgnęli, ale animuszu już brakowało.

Chłopi rozglądali się dokoła. Niejednego smętek zebrał, że tyle dobra marnuje się bez potrzeby. Wszystko chciał zagarnąć, a niczego nie umiał zatrzymać. Zmarnował i tyle! W zamku okna powybijane, śmieci na terasie, psy wałęsały się zgłodniałe i opuszczone. Nikt nie wychodził, więc pogwarzyli i poszli na zamek. Przeszli komnatę jedną i drugą. Rozglądali się, dotykali miękkich mebli. Na takich siedział. Dobrze mu było. W jednym z pokoi ujrzeli Szelę. Spał. Wyciągnięty na łóżku, w butach, z ręką pod głową, okrutnie czerwony, spał jak kamień. W komnacie był odór wódki. Oddychał jak miech. Wąsy, jak zawsze wyszwarcowane, podkręcone do góry. Brwi mu się

i we śnie srożyły. Laska z siekierką stała przy łóżku. Mimo wszystko, co o nim mówili, lęk ich ogarnął na jego widok. Cofali się cicho, aby się nie przebudził.

— Cichojcie! Nie budzić go! Nie trza!

Co prędzej, zdjęci strachem, wynosili się z zamku.

XVIII.

— Chłopi idą!

Kordyga zziajany, zadychując się, wpadł przed dwór w Łączkach.

— Chłopi idą! Chłopi idą! — wołał.

Od karczmy Chaskiela leciał. Wysłany przez Kochanowskiego, tam napotkał pijącą bandę, gotującą się napaść na Łączki. I zrozumiał, dlaczego Kochanowski go posłał, dlaczego kazał się spieszyć.

— Chłopi idą!

Wybiegła z domu Brzeska i służba, z podwórza spieszył rządca.

— U Chaskiela w karczmie piją! Mają tu przyjść na wyrzynanie! Uciekajcie!

— Skąd wy jesteście? — spytała Brzeska.

— Ja nie stąd! Uciekajcie, póki czas!

— Słuchajno, człowieku — rzekł rządca — skąd ty to wiesz?

— W karczmie u Chaskiela...

— Kto cię tu przysłał?

— Co mnie się pan tak wypytujesz! Nie wierzysz pan, aż zobaczysz! Czekaj pan! Ja mówię ino tyle — ubrać się na biało, żeby nikt nie był w czarnem — i uchodzić!

Rządca rozśmiał się.

— Tyś tam też podpił sobie nienajgorzej!

— Nie widzi pan, żem trzeźwy? Kiedy mówię uchodzić, to uchodzić! Po próżnicy nie przychodzę!

— Ale skąd wy, człowieku, jesteście? — Brzeska zbliżyła się do niego.

— Skąd jestem, to jestem. Mam przykazane.

— Przez kogo?

— Cabaniarz! — zawołał rozpaczliwie.

Ściśnięto się przy nim kołem.

— Jaki cabaniarz? Co to takiego?

A drogą niósł się już tętent, pijany krzyk.

— Oni! — krzyknął Kordyga, wskazując ręką w tę stronę.

Wataha wwaliła się w otwartą bramę. Obskoczyli rządcę i zsiepali na śmierć. Zasłaniał się laską, rękoma. Zadawali mu z koni widłami rany głębokie. Padł na ziemię, dobili. Służba uciekała z krzykiem, każdy chronił się, gdzie mógł. We dworze zamykano drzwi.

Na przejeździe między domem a klombem spływał krwią trup rządcy.

Komendę trzymał Piotr Więch. Każdemu kazał trzymać po dwa konie, a z resztą runął do dworu. Wyleciały drzwi z zawias.

Kordyga nie szedł tam. Wyciągnął się na trawniku. Swoje zrobił. Nie usłuchali go — ich rzecz. Mało tego już widział! Pomordowani zostaną wszyscy, jak pomordowani zostali w Siedliskach, Więchy osiądą w Łączkach i będą rządzić, jak

Szela i Staszek. Nie przyszedł tu panów bronić, jeno ich ostrzec. Choćby chciał, toby nie obronił. Nie usłuchali, ich rzecz, swoje zrobił.

Sypało się szkło z tłuczonych szyb. Krzyk, gwałt, tupanie butów, groźby i klęcia. Ludzie, pilnujący koni, tak zajęci byli tem, co we dworze się działo, że nie zwracali uwagi na Kordygę i wcale go nie widzieli. On ich poznawał. Wszystkich prawie znał. Rzezał razem z nimi. Usłyszał znany sobie łoskot rozbijania szaf, wyciągania szuflad z komod, brzęk.

— Srebra biorą — pomyślał.

Nagle usłyszał nowy tętent kopyt i brzęk żelaza. Jakby pałasz brzęknął o strzemiona. Wyjrzał na drogę.

— Wojsko! — krzyknął, obracając się do koniuchów. Nim pojęli, co się dzieje, szwadron już rozwijał się, otaczał dom. Do wskakujących na konie chłopów zmierzono z krótkich karabinków.

— Stać! Nie ruszać się!

Pośród przybyłych ujrzał Tatarka. Coś mówił dowodzącemu oficerowi, na coś wskazywał.

— Tatarekby naprowadził Austrjaków?!

Chłopi, strzegący koni, stali bez ruchu przed wymierzonemi do siebie lufami. Oficer z kilku żołnierzami wszedł do środka. Kordyga słuchał i patrzył.

Chłopskie wrzaski, krótkie, głośne, spokojne głosy niemieckie. Jeden z rabusiów wyskoczył przez okno. Wzięto go na cel.

— Stój!

Stanął i stał. Kordyga usłyszał głosy kobiet, więc nie pomordowane.

Ostry brzęk ostróg, złowieszczy krzyk w kuchni.

— *Ein Mord!*

Znaleziono zarżniętą służebnę.

Przez otwarte naoścież drzwi wychodzili żołnierze, prowadząc napastników. Padła ostra, krótka komenda kucia w kajdany. Piotr Więch odwinął się i zdzielił przez głowę chwytającego go za rękę żołnierza. Jednego, drugiego. Powalili go, skuli. Nakładali wszystkim żelaza. Przywieźli akurat tyle, ile było trzeba.

Kordyga zatrząsł się. Skoczył do Tatarka.

— Kordyga!

— Co to wszystko znaczy?!

— Widzisz, co znaczy.

— Tyś ich naprowadził!

I chwycił go pazurami pod gardło.

Tatarek szarpnął się. Zatoczyli się, zwarli. Oficer dał znak, aby ich nie rozdzielać. Niech się biją. Patrzył ciekawie. Krew ciekła im z nosów. Zataczali się bez krzyku, mrucząc głucho. Odskoczyli od siebie i doskoczyli znowu. Tatarek zdołał wyciągnąć nóż. Kordyga chwycił go za rękę. Nóż drżał w powietrzu. Obydwaj padli na ziemię. Tarzali się po piachu i trawie. Trwali chwilę bez ruchu. Kordyga przycisnął Tatarka do ziemi i nagle opadł, zalewając go krwią. Tatarek jednym silnym ruchem poderżnął mu gardło tak, że głowa odwaliła się i gardło chlustało krwią. Wstał blady. Żołnierze dosiadali koni i pędzili przed sobą aresztowanych. Przed domem zostało ich czterech i oficer. Z podwórza nadchodziła służba. Lament, zawodzenie na widok zabitego rządcy. Brzeska zobaczyła trupa Kordygi i krzyknęła:

— Ten człowiek mnie przestrzegł!

— Kto jest ten człowiek? — spytał oficer, młody porucznik, zachowujący podczas tych wszystkich scen niezmącony spokój.

— Ten człowiek mnie przestrzegł! — wołała Brzeska rwącym się głosem.

— On przestrzegł! On! — wołali dworscy ludzie.

— Kto jest ten człowiek? — spytał porucznik Tatarka.

— Szeli adjutant, panie lejtnancie! — wyprostował się na baczność Tatarek.

I takim głosem jakby zdawał raport:

— Największy łotr pomiędzy tymi wszystkimi zbójami. Więcej on ma krwi na sumieniu jak ci wszyscy razem, których pan poaresztował. On Lipki z Szelą podpalał. On w Siedliskach rżnął. Kordyga się nazywał. Jest może kto, coby nie słyszał o Kordydze? Złodziej ze wszystkich złodziei największy. Psiawiara, panie lejtnancie. Do największych kryminałów namawiał. Drugiego takiego pomiędzy tymi zbójami się nie znajdzie.

— Dlaczegóż przyszedł ostrzegać?

— Pomiędzy Więchem, co tu dowodził, a Szelą jest złość. On tu przyleciał, żeby Szeli wygodzić. Żeby Więchy nie skorzystały, żeby się nie udało. Przez złość na Więchów przyleciał.

— Ach, tak. No, to wszystko w porządku.

XIX.

Siła Szeli jakby ulatywała i wracała znowu. To zdawało się mu, że przyszedł już koniec, że na nic nie jest zdatny i wszystko wypuścił z ręki. W takich chwilach o jedną tylko dbał rzecz: o swój pas. Z pasem tym nigdy się nie rozstawał. Cokolwiekby się stało, piętnaście tysięcy reńskich schowane w nim było na czarną godzinę. Był samotny, do rady nikogo nie miał. Staszek miał jakieś swoje interesy, z któremi nawet mu się nie zwierzał, zjawiał się i znikał, myślał o sobie. I znów przychodziły napływy energji i wszystko zmieniało się w oczach.

Nie da się. Ani panom, ani Austrjakom, ani nikomu. Wszystko znów drżało przed nim, gdy wychodził na dziedziniec, zaglądał w podwórze, rozkazywał na zamku. O wszystko bił. Niech się ktoś spojrzał tak, jak mu się zdawało, że nie powinien, walił w pysk, aż zęby leciały. Dziewki, co miał w zamku na usługi, prał pięścią i kijem i czem popadło. O byle co. Ludzie koło niego byli coraz to gorsi. Nie złodzieje, ale złodziejaszki, nie zbrodniarze, ale rzezimieszki. Co było wielkie, harde i krwawe, odeszło i nie pokazywało się. Z tałatajstwem, którem był otoczony, dawał sobie jednak

radę i czuł się wśród niego panem. Nikt pisnąć nie śmiał, nikt sobie na pyskowanie, jak Kordyga, nie pozwolił. Na sto kroków każdy czapkę zdejmował, gęby nikt bez pozwolenia nie otwierał. Do roboty jednak byli nanic. Buty miał nie wyłojone, strawę źle uwarzoną, porządku w podwórzu żadnego, bydło nie napojone, konie nie oprzątnięte. Bali się go, ale bez bicia żaden rozkaz nie był ważny. Nikt nic odrazu nie zrobił, póki po pysku nie dostał, póki kijem nie był wyłomotany.

Włóczyły się jakieś dziady z torbami, jakieś baby żebrzące. Zamiast je gnać, puszczano je i wypytywano, co się dzieje na świecie. Przychodziły z dalekich okolic, rozpowiadały, że państwo tu i tam wraca na swoje; że są wsie, gdzie wojsko do pańszczyzny zagania i ludzie muszą słuchać; że są takie okolice, gdzie chłop na wojsko się rzuca, a wtedy żołnierze go zbiją, w kajdany zakują, do cyrkułu prowadzą lub zastrzelą. Pijaństwo wielkie. Kto się zbogacił, wszystko przepił. Żydy się bogacą strasznie, do żydowskiej kieszeni majątek płynie. Wspominali o Kamockim. Co który z Lipek wędrował, był obdarowany i o potędze Kamockiego rozpowiadał. Kamocki wszystko robi, Kamockiego wojska cesarskie słuchają, Kamocki jest nad całą okolicą.

Szela kazał to żebractwo pędzić, wyganiać za bramę, szczuć psami. Nic nie pomagało, włóczyło się ciągle.

Raz zdybał Dudę. Nie poznał go odrazu.

— Ktoś ty jest? Jo ciebie raz widziałem.

— Widział mnie pan naczelnik — Duda pochylił się mu do kolan.

— Kaj?

— Ja jestem Duda.

— Duda? Czekajno... kaj to ja ciebie widziałem?

— Jak pan naczelnik z panią naczelnikową spał, to jo byłem w sypialni nocą.

— A! Toś ty ten Duda, co o Kamockim mi dał znać fałszywie. Czekaj, kondlu jeden!

Duda cofnął się wtył przed podniesioną pięścią, lecz Szela się powstrzymał.

— Jak to było? Opowiedz.

Duda opowiedział raz jeszcze. O liście od cesarza zapomniał i już o nim nie gadał, ale pamiętał, jak Kamocki był aresztowany i jak przyjechał austrjacki generał. Szela miarkował. Hojrowski aresztował Kamockiego, Haselhof wypuścić go kazał i z nim się porozumiał. To jest tak. Kamocki skumał się z rządem przez Haselhofa.

— Chodź do mnie na pokoje — rzekł do Dudy.

Spragniony był gawędy. Duda postępował za nim, trzymając czapkę w garści. Przepełniony był szczęściem i zachwytem. Gdy weszli do zamku, stanął w progu i posunąć się dalej nie śmiał.

— Siądnij — rzekł Szela.

— Postoję.

— Siądnij, kiedy mówię.

Duda się obejrzał, stołka ani ławy nie było, tylko fotele i krzesła miękkie, nie do siadania. Więc kucnął na progu.

— Cóż ty na ziemi siadujesz? Piesześ czy kot?

— Kiedy nie mam gdzie.

— Siadajże tu, głuptaku jeden — pokazał mu fotel.

Duda usiadł. O materacach słyszał jak o bajkach zamorskich. I oto teraz siedzi na materacu.

— Miętko — rzekł.

— Skądżeś ty, Duda?

— Jo?

— A o kogo pytam, jak nie o ciebie? Cóż ty mi mówisz „jo", kiedy ci mówię „ty". Skądżeś, pytam.

— Jo?

— No ty, durniu jeden!

— Jo znikąd nie jestem.

— Jakże znikąd?

— Jo nie jestem od żadnego pana. U chłopów na komornem siedzę.

Nie miał właściciela! Poddanym był wszystkich i nikogo. Nie posiadał gruntu, za któryby odrabiał pańszczyznę. Przesiadywał u pańszczyźnianych chłopów i im się wysługiwał. Za darmo. Nie należał do nikogo — był znikąd.

— Pocoś tu przyszedł?

Duda długo nie śmiał wyznać, wreszcie wybąkał, że przyszedł tylko poto, aby choć zdaleka popatrzeć na naczelnika. Szela przyjrzał mu się półchmurnie, pół ze śmiechem.

— Ostaniesz u mnie. Dam ci u siebie posadę. Nim Bogusze wrócą, na ich piernatach się wy-

śpisz. Choć nie wrócą, juchy jedne! Niedoczekanie ich!

Kazał mu przynieść wódki, nakarmił go i napoił. Po trzecim kieliszku Dudzie język się splątał. Opowiadać począł brednie, jakich Szela nigdy w życiu nie słyszał. Był głupi jak ten słup. Gadał, sam nie wiedzieć co. Szela nalał mu jeszcze kieliszek. Dudę zamroczyło całkiem. Jakby kto inny przy nim był, nie Szela, o Szeli gadał. Szela słuchał o swej wielkiej łaskawości. Dobry był. Dobry dla biednego narodu. Miłosierny. Nad każdym się ulitował. Ino jak się ozgniwał, to niebo czerniało. Ale gniewał się sprawiedliwie, kiedy krzywdę czyją widział. Koło niego ludzie były złe, oszukiwały go, otoczenie jego było psie, a przez dobroć nie widział, że takie ma otoczenie. Marzeniem Dudy było przestrzec go przed tem otoczeniem.

— Patrzajcie go — burknął Szela i zaśmiał się. — Jak ci miałem dać w pysk na dziedzińcu, to cóżeś myślał? że to jo, czy że to otoczenie miało cię rżnąć?

— Otoczenie — kiwał się na fotelu Duda.

— A powiedz ty mi — rzekł Szela — kto Bogusza ubił, jo czy otoczenie?

— Otoczenie!

— A Siedliska kto zajął?

— Otoczenie!

— A panów kto powypędzał i pokarał?

— Otoczenie!

— A kto nie dał, żeby chłopom krzywda się działa?

— Pan naczelnik.

— Ty masz swój rozum, Duda. Ostaniesz u mnie w służbie. Wisz, co bedziesz robił?

— Co?

— Bedziesz mi gadał. Nic inszego nie bedziesz robił, ino bedziesz gadał. Ładnie gadać potrafisz. Przed snem mi bedziesz gadał. Na spanie. Bedziesz mi gadał przy obiedzie i przy wieczerzy. Tero se tu po zamku chodź, po ogrodzie, przyodziewek tu najdziesz, buty dostaniesz, myśl se na powietrzu, abo tu, gdzie ci lepiej, i żebyś miał co gadać. Sypiać nie mogę, głowę mam zmęczoną, to przy tem gadaniu mi wypocznie. Głupie gadanie też potrzebne jest dla odpoczynku. Taką będziesz u mnie miał posadę od głupiego gadania.

Zawołał go do siebie, gdy już leżał w łóżku, kazał usiąść i rzekł.

— No, coś tam zmyślił?

Duda rozpoczął o pani naczelnikowej.

— Z babami daj ty mi pokój — rzekł Szela. Ale po chwili:

— No, gadaj.

I Duda gadał o urokach i wdziękach Katarzyny Malarskiej. Nie wiedział, że była Katarzyna i że była Malarska, że w Brzostku szynkowała. Nie zastanawiał się nad tem, że jej tu niema, nie zaciekawiało go, gdzie się podziała. Gadał tak, jak ją zapamiętał w tem łóżku. A zapamiętał ją zgoła inaczej, niż było w rzeczywistości.

Prześcieradłem była nakryta złocistem! Ręce miała bieluśkie. I oczy miała jak łania. Jako ta sarna...

— Abo krowa — rzekł Szela.

Dudzie nie przerwało to biegu myśli. Gadał, jak po zamku chodzi, po tych tu pokojach.

— No, idź spać — rzekł Szela.

Zasnął także, a rano, gdy się przebudził, ubrał się paradnie, kazał zaprząc do powozu i pojechał do Brzostka.

Wjechał ostro do miasteczka. Po drodze przewalił żyda, który nie zdążył przejść z drogi, przez nogi mu przejechał i kazał jeszcze furmanowi ściągnąć go batem za to, że łazi, gdzie nie trzeba. Stanął przed szynkiem Malarskiej.

Powóz otoczony został zaraz przez gamoniów, a on do szynku wszedł. Ujrzał tylko posługującą dziewczynę. Prócz niej nie było nikogo.

— Kaj pani?

— U siebie w izbie.

Okrążył szynkwas i nie pytając poszedł do drugiej izby i do trzeciej.

— Kasiu!

Zerwała się od stołu z nożycami, bo krajała sobie spódnicę, i cofnęła się ku oknu.

— Uciekłaś ode mnie!

— Ano uciekłam.

— Czemu?

Ostatnia pasja ją zdjęła.

— Natoś mnie zabrał, żebyś mnie bił!?

— Kiedy chłop baby nie bije, to jej wątroba gnije.

— Zgnijesz ty sam!

— Nim zgniję, wrócisz ze mną do Siedlisk.

— Ja miałabym z tobą wracać?

— Wrócisz. Powozem po ciebie przyjechałem.

— Wracaj sobie nim sam.

— Wrócisz, bo...

— Bo co?

— Bo ci każę.

— Patrzcie mi, jaki rozkazodawca! Do rozkazywania ci jestem? Rozkazuj swoim złodziejom w tem gnieździe złodziejskiem!

— Coś rzekła?

— Nie złodziejskie to gniazdo może? Porządny pan mieszkał, a tyżeś wszystko w złodziejstwo zamienił! Że też ja się dałam skusić, że też się dałam! Pan Bóg mnie pokarze, że z takimi zbójami się zadawałam! Gdzie ja rozum miałam?! Gdzie ja oczy miałam?! Panią byłam na swojem i poszłam w cudze! I do kogo? Do takiego starego dziada! Co to już do niczego! co się już z niego próchno sypie, co ma dorosłego syna. Starszego ode mnie! Przyszedł on do mnie, ten twój syn, gdyś pojechał na tę swoją wyprawę, jakeś mnie kopnął — przyszedł z zalecankami...

— Łżesz!

— Łżę? Patrzcie go! Łżę! Żebyś wiedział! Udałam mu się. Na ciebie wydziwiał, straszył mnie, że tak mnie zamordujesz, jakeś swoją pierwszą żonę zamordował! Prawdę powiedział. Jak

tu wróciłam, trzy dni byłam chora. Gdzie ja oczy miałam? Gdzie ja rozum miałam? Gdzie mi się wstyd zapodział?! Żeby iść do takiego starego woła...

— Co było, to było, a teraz powrócisz.

— Nie powrócę, żebyś wiedział! Wynoś mi się stąd, żebym cię na oczy nie widziała!

— Dam ci szafirowe kamienie. Znalazłem je po twoim wyjeździe.

— Po nieboszczce pani Boguszowej.

— Wszystko jedno po kim. Zdobyczne.

— Zdobywaj dla takich, jakiś sam. Znajdź sobie jaką babę z wypłyniętem okiem — zaczęła mówić piskliwie i przekornie. — Wsadź ją pod pierzynę, ustrój ją w brylanty i szafiry, może się jej udasz, a ona tobie. Patrzcie go! kawaler! Z uczernionemi wąsami! Wymyłbyś je sobie, byłoby ci ładniej. Ja mam do niego wracać?! Po pokojach tych chodzić, jak kto głupi! Za królewnę się przebierać, żeby się ludzie śmieli! Mówią o tobie, żeś mądry, a tyś taki głupi, że głupszego nie widziałam!

— Przestań pyskować, abym się nie ozgniwał.

— Ozgniwaj sie, ozgniwaj — przedrzeźniała go. — Pana udajesz, a mówisz jak cham.

— Milcz, babo!

— Milcz ty sam, żebym cię w ślipia temi nożycami nie źgnęła. W Siedliskach mnie skopał, a tu mi milczeć każe. Świnie może z tobą pasałam?

— A tu co?

U progu stał w czamarze, z czapką na bakier, wysoki, młody, przystojny mężczyzna.

— A tu co? — powtórzył.

Szela się obejrzał.

— To twój chłop? — spytał.

Ujęła się pod boki.

— Mój! A co ci?

I nagle krzyknęła rozpaczliwie:

— Antoś, uciekaj!

Znała wzrok Szeli.

— Uciekaj!

Nie zdążył. Szela błyskawicznym ruchem wyciągnął pistolet i strzelił mu w same piersi.

— Masz ode mnie podarunek, kiedyś innego nie chciała!

— O, Jezu! o Jezu! — krzyczała, rwąc włosy z głowy. — O Jezu!

Trącił jeszcze leżącego nogą i wyszedł z karczmy.

Wesoły, śmiejąc się, wracał do Siedlisk. Potrzebne mu były strzał i krew. Orzeźwiał. Jakby w upalny dzień skoczył w chłodną wodę. Myśli rodziły mu się w mózgu kupami. Łączyły w jeden obraz planów.

— Stań — rzekł, przejeżdżając koło małego ceglanego domku.

I z powozu na całe miasto:

— Pan Podobny jest?! Bywaj!

Z domu wyszedł powolnym krokiem człowiek w wieku średnim, łysawy, w drucianych okularach, w spodniach kraciastych, spiętych paskiem

rzemiennym, zsuwających się pod skurczoną, podciągniętą wgórę kamizelką, tak że wyglądała mu na brzuchu przybrukana koszula. Ujrzawszy Szelę, poprawił okulary, jakby oczom nie wierzył.

— Chodźno, panie Podobny. Jakżeż pan sie miewasz? Zbieraj sie pan, ino duchem, bo czasu na czekanie nie mam. Jak jesteś. Papiru weź do pisania, ile masz. Wszystek papir zabierz. I piór. Wszystko, czego do pisania potrza. Siadaj i pojedziesz do Siedlisk. Możesz czy nie możesz, to mi jest *wurst*. Zbiraj mi sie w mig!

Bonifacy Podobny był jeneralnym, z bożej łaski, prawnikiem na Brzostek i okolicę, adwokatem, rejentem, we wszelkich sprawach doradcą. Pisywał skargi, umowy, radził, procesami kierował. Szela go znał z dawniejszych czasów, on Szelę także, i wiedział, że wahać ani wykręcać się nie może. Wyszedł z pliką papierów, związanych sznurkiem.

— Siadaj pan na koźle, koło stangreta. Ruszaj!

Byli za miastem w polach, gdy Szela rzekł:

— Przyjechałem do tego mojego Brzostka, aby sprawiedliwość wymierzyć. Śmiercią pokarałem jednego huncwota. I pana za jednym zachodem ze sobą zabiram, bo pisania mam huk, a nie mam, ktoby pisał.

Podobny, zgięty w kabłąk, kiwał się na koźle.

— Krzywdy pan u mnie nie będziesz miał, jo płacę, nie pytam.

Jechali przez wieś. Chłopi wylegali na przyzby, wylęknieni, kłaniali się w pas.

— Szela jedzie!

Nikomu głową nie skinął, rozparty w powozie. Teraz tak trza. Żadnej poufałości, żadnego bratania się. Naczelnik jest i wódz.

Przejeżdżając przez dziedziniec, krzyknął na wałęsającego się człowieka:

— Czegój, cholero jedna, pyskiem po podwórzu świcisz? Do roboty sie bier, kondlu jeden! Darmo ci bede jeść dawał, chorobo!

— Pomóż wysiąść! — huknął na siedzącego na schodach terasy wartownika. — I żebyś mi tu nie siadywał, ino stał, jeśli nie chcesz zębów w piasku szukać! Kondlu jeden!

Taki strach poszedł, jak za najlepszych czasów.

Kiedy zzuł buty, odsapnął i podjadł, Dudzie kazał trzymać się wpogotowiu, a Podobnego zawołał do gabinetu, posadził za biurkiem i kazał pisać pod dyktando:

„Jakób Szela, naczelnik, na Siedliskach panujący, do Marcina Kamockiego, zamieszkałego w Lipkach. Któremu nakazuje stawić się przed sobą od doręczenia tego pisma w godzinach trzech, pod rygorem kary, jaką w razie nieposłuszeństwa postanowi".

— Weźmiesz ten papir, Duda, siędziesz na konia — umiesz na koniu siedzieć?

— Umiem, panie naczelniku. Jo za pierwszym razem na koniu tu przyjechałem.

— Na konia siędziesz i pojedziesz z tem do Lipek. Wisz gdzie? Do Marcina Kamockiego, kulawego szlachcica, tego, któregoś widział u Hojrowskiego w kajdanach. Żebyś mi się przed nim nie ukorzył, nie czapkował, ino ten papir mu z konia dasz, że to od naczelnika. Jak bedzie cie chciał z konia ściągnąć, zmykaj. A jakby cie dopadł, to już tam przecierpisz, co ci pisane, a on i tak za to zapłaci. Darowane mu nie bedzie.

Duda siadł na konia naoklep. Czapki nawet nie wziął, tak się spieszył, papier za pazuchę wsunął i przez całą drogę macał, czy nie zgubił.

Zarył konia przed dworem i na cały głos wykrzyknął:

— Rozkaz pisemny naczelnika do Marcina Kamockiego!

Kamocki wyjrzał przez okno. Krew nabiegła mu do twarzy. Słowa nie mógł wymówić z irytacji. Już kulą stukał, aby tego posłańca za łeb ściągnąć, gdy Leokadja, wyglądając mu przez ramię, zawołała:

— Przecież to Duda!

— Jaki Duda?

— Pan go nie zna?

— Nie.

— No, Duda! To jest głuptak, proszę pana. W głowie ma trochę pomylone. On tu do kuchni przynosi grzyby, jagody i historje takie opowiada, że dziewuchy puścić go nie chcą, tak się śmieją. Przecież to Duda!

— Duda nie Duda, a co on tu będzie przed domem mi się wydzierał!

— Niechże mu pan da spokój!

— No, wyjdź do niego.

Otworzył pismo i oniemiał. A Leokadja tymczasem wyniosła Dudzie kieliszek wódki i pajdę chleba z masłem i serem.

— Cóż ty się, Duda, na takim koniu rozjeżdżasz? Zejdźno na ziemię i wypij.

— Nie dozwolone — rzekł Duda.

— Wódki ci się napić nie dozwolone?

— Wódki napić sie dozwolone, ino zleźć z konia nie.

— No, to napij się na koniu, kiedyś taki nieruchawy. Gdzież ty teraz jesteś?

— U naczelnika w Siedliskach.

— U tego zbója?! Nie wstyd ci, Duda?! Grzechu się nie boisz?! Żebyś ty się w takie sprawy wdawał!

Duda potrząsnął głową, jakby odganiał od siebie te słowa.

— Odpowiedź ma być — rzekł.

— Jaka odpowiedź?

— Od Kamockiego naczelnikowi.

— Jakże ty, Duda, o panu dziedzicu mówisz? Już i ciebie nauczyli? Głupie to, a złego się nauczy. Dałby ci pan, gdyby słyszał!

Duda siedział na koniu wyprostowany. Nic już nie mówił, tylko czekał. A z kuchni zaczęły wyglądać dziewuchy.

— A dyć to Duda!

Ten i ów nadszedł z podwórza.

— Duda! Cóżeś ty na takim ogierze! Kto ci go dał? Duda!

— Toś ty się jeszcze nie ożenił? Pannyś sobie jeszcze nie namówił? Wisz, że każda za ciebie rada!

— Może mnie weźmiesz?

— Cichoj! on się do mnie ma. Nie wisz to?

— Chodź do kuchni, Duda!

— Będziesz to tu wołała takiego zbereźnika! Nie boisz się?!

— Nie ładny to kawalir?!

— Jak na takiego konia wsiadł, to na ciebie już nie spojrzy. Nie bój się!

Michał wyniósł zapieczętowaną kopertę i oddał Dudzie.

— Wracaj — rzekł — i Bogu podziękuj, że ci się nic nie stało.

— A trzymaj się Duda dobrze końskiego ogona, żebyś nie zleciał! — wołały za nim dziewki.

Dumny ze spełnienia misji wracał do Siedlisk.

Szela z niecierpliwości doczekać go się nie mógł. Stał na terasie.

— Wróciłeś! Nie stało ci sie nic?!

— Obległa mnie jego służba — opowiadał Duda — lecz nikt mię nie tknął. Bojali sie. Ino strasznie pomstowali.

— Pomstowali, mówisz?

— Straśnie! Wygrażali. „Nie wstyd ci u zbója za pachołka być?"...

— Milcz, kondlu jeden, kiedy cie nie pytam. A on?

— List przysłał.

— Dawaj!

Poszedł z listem do Podobnego.

— Czytaj pan, co on ta wypisuje. Niczego nie opuszczaj.

Podobny poprawił okulary i czytał:

„Pan Marcin Kamocki, właściciel wsi Lipki, do Jakóba Szeli, złodzieja, mordercy i podpalacza...

— Co?

— *„Złodzieja, mordercy i podpalacza"*.

— No, czytaj dalej.

„Posyłam ci, szelmo, w odpisie wyrok, jaki na ciebie wydał lud polski, zebrany w Lipkach. Naucz go się napamięć, żebyś nie zapomniał i wiedział, co cię czeka.

— Czytaj pan ten wyrok — rzekł chłodno Szela.

Podobny czytał wyrok, wykaligrafowany przez pannę Teklę:

„Lud polski, zebrany w Lipkach, ustanawia, że Jakób Szela oszust jest, podpalacz i świętokradca. Za oszukaństwo ma być do obory zaprowadzon i gnojem krowim nakarmion...

— Czytaj — rzekł Szela.

„Za podpalenie wsi Lipek ma mu być lewa ręka po łokieć odjęta. Za świętokradztwo ma mu być prawa ręka odjęta, poczem ma być poćwiartowan".

— Dobrze — rzekł Szela. — Schowaj to do papirów. Już wim, co Kamockiemu sie zrobi. Nie

bede se głowy suszył! On bedzie łykał krowi gnój, tu, w Siedliskach, nie ja!

Na Kamockiego karę trzeba było obmyślić, że się nie stawił. Za niestawienie się i zuchwalstwo. Narazie dał spokój. Na cały dzień zamknął się z Podobnym i dyktował mu manifesty do ludu polskiego.

Robota była kunsztowna, wymagała dyplomatycznych i politycznych talentów. Szela oznajmiał, że nadużycia, przez austrjackich oficerów i komisarzy czynione, dzieją się wbrew woli i bez wiadomości cesarza. Urzędnicy austrjaccy po dworach nałupili i nakradli, teraz boją się kary i z panami się godzą, na mocy zobopólnego układu, który opiewa, że za pomoc przy poskramianiu chłopów łup zostawiony im będzie. Wszystko dzieje się w imieniu cesarza, bo cesarz daleko, więc się nie dowie.

Jako przykład układu, o którym nadmieniał, cytował z dokumentu, przez Breindta wystawionego, obietnicę nagrody za zdradę chłopów. Jego, naczelnika Szelę, psubraty przekupić chciały!

Podobny odłożył pióro i przez druciane okulary spojrzał na Szelę.

— Nie można, panie naczelniku, wyrazów takich stawiać na urzędowym papierze. Psubraty, panie naczelniku, to nie jest termin urzędowy.

— A jakbyś pan napisał?

— Należy napisać — zastanowił się Podobny — żeby myśl oddać dokładnie, a po pisarsku... należy napisać... osoby źle myślące.

— Dobrze oni myślą, nie bój się pan.

— Oni myślą dobrze, panie naczelniku, w języku jednak urzędowym oznacza to akurat to, co pan naczelnik chce wyrazić.

— Jo chcę wyrazić, że są psubraty. Pisz pan — jak każę! Urząd — to jestem jo. Do chłopów gadam tak, aby rozumieli. Nie po austryjacku, ino po chłopsku.

I sadził wyrazami najdosadniejszemi.

Podobny kręcił głową, ale pisał.

„Nie daliście się panom, nie dajcie się Austrjakom! Posłaliście na piwo do Abrahama jednych, poślijcie drugich. Do wideł, do cepów, do kłonic, narodzie polski!"

— Jabym to obrócił inaczej — rzekł Podobny.

— Jakbyś pan obrócił?

— *„Oparliście się panom i dziedzicom, więc mam nadzieję niepłonną, że oprzeć się takoż potraficie zakusom ludzi wam nieżyczliwych, nadużywających cesarskiego imienia.*

Aż zarumienił się z ukontentowania, tak mu to zdanie ślicznem się wydało.

— Co mi pan tam bajesz? Pisz tak, jak każę.

„Koło naczelnika Szeli stań, chłopski narodzie! Nie zawiódł cię on i nie zawiedzie! Us..j sie, narodzie, na austrjackie gadanie!...

— Nie można, panie naczelniku! — rzekł z mocą Podobny.

— Czemu nie można?

— Takiego wyrazu nie może być na piśmie.

— Może być w gębie, może być i na piśmie. Pisarz nie jestem, ale to wim.

— Jabym to wyraził inaczej. *„Niech do ciebie przystępu nie mają języki niegodziwe..."*

— Nie mówię, żeby do niego języki nie miały przystępu, ino żeby sie na nie... Pisz pan, jak każe.

„Chłopi, gromadząc się koło Szeli, rozkazów jego słuchając, wygrają.

„Zwycięstwo do nas należy.

„Są tacy, z rozumu obrani, wyrodki narodu, co posłuch dają największemu chłopskiemu wrogowi, kulawemu szlachcicowi z Lipek. Porachowane im to będzie. Sprawiedliwość się spełni".

Tak go Kamocki bolał, że ręka go swędziała, aby rżnąć w pysk Podobnego. Podobny jednak pokornie dalej pisał, nie szemrząc.

— Objedziesz pan wsie w asyście moich ludzi i odczytasz, co tu stoi. Ale najpirw odczytaj mi.

Z początku słuchał spokojnie czytania, lecz w środku porwał się.

— Jak to pan czytasz, niech cie cholera! Do ludu tak bedziesz czytał? Wstań! Siedzący bedzie czytał, widzicie go! Brzuch wypnij, czegój ten pęcherz w siebie wdychasz? Wstydzisz sie brzucha, czy co?! Papir trzymaj od siebie zdala, nie pod samym nosem. Tak! — podbił mu ręce. — I czegój tak mamroczesz? Wełna ci w nosie urosła, czy jak? Czytaj jeszcze raz!

Podobny nie wiedział, co z sobą czynić. Kroplisty pot wystąpił mu na czoło, papier drżał w ręku.

— Narodzie polski! — przedrzeźniał go Szela. — Tak to wygłasza, jakby na ten przykład użalał sie, że w kiszkach go rżnie. Czegój tak jęczysz? Choryś, czy co?

— Narodzie polski! — ryknął. — Powtórz pan! z mocą!

— Narodzie polski! — zapiszczał rzewnie Podobny.

— Piejesz jak kogut. Ani na pisarza, ani na wołacza nie jesteś pan wydarzony. Duda potrafiłby lepiej. Jeszcze raz od początku.

Położył się na kanapie i okrutnemi a kpiącemi oczami świdrował Podobnego. Bawił się nim.

— Brzuch wypnij! nogi rozstaw! głowę podnieś! papier zdala! Jeszcze raz od początku!

— No, starczy — rzekł, gdy się już zmęczył i znudził. — Pojedziesz pan teraz z tem nasampirw na wieś do Siedlisk, potem do Smarzew, potem do Kuflewa, wszystkie wsie objedziesz dookoła i to odczytasz.

— Panie naczelniku, a jakąż ja mogę mieć gwarancję, że nie będę za to ukarany?

— Przez kogo?

— Przez władze austrjackie, o których pan naczelnik wyraża się w sposób prawem niedozwolony?

— Niech cie o to głowa nie boli. Pojedziesz i już. Tu jo rządzę i tu jo prawa stanowię. Brzostek mi twój burmistrz oddał w posiadanie, a tyś jest z Brzostka. Pojedziesz i basta.

Podobny musiał jechać. Wozem drabiniastym, z siedzeniami ze słomy, derą nakrytemi, w cztery zaprzężonym konie. Szela dodał mu dwóch mądrzejszych chłopów, między nimi w środku usiąść mu kazał, i Podobny pojechał.

Kiedy wyjechali za bramę, furman zapytał:

— Kaj to mamy jechać?

— Nie powiedział ci naczelnik?

Asystujący Podobnemu popatrzyli na niego pytająco. Nie wiedzieli także. W Podobnym serce radośnie zabiło.

— Do Tarnowa — rzekł. — Ino żywo.

Z dwóch niebezpieczeństw wybierał mniejsze. Szeli się bał, starostwa jeszcze bardziej. I nosem czuł, że panowanie dyktatora ma się ku końcowi. Na jego herolda się nie nadawał.

— Zaczekajcie tu na mnie — rzekł, gdy wjechali do miasta. — Załatwię sprawy pana naczelnika i powrócę.

Podreptał wprost do Breindta. Miał stosunki, znał woźnych i pisarczyków, a gdy powiedział, że z Siedlisk przybywa i bardzo ważne rzeczy ma do zakomunikowania, czekać długo nie potrzebował.

Breindt siedział za biurkiem.

— Cóż mi Podobny powie? — spytał po polsku.

— Dobrześ zrobił — rzekł wysłuchawszy jego raportu. — Przeczytajże te proklamacje.

Przy najsoczystszem miejscu zzieleniał.

— Dam ja mu austrjackie gadanie!

Z założonemi rękoma chodził po gabinecie. W stosunku do Szeli decyzja nie była jeszcze powzięta. Czekano, aż chłopi sami przeciw niemu się obrócą, i ufano pod tym względem doniesieniom Kamockiego. Sprawa przybierała obrót inny. Szela, rachując na opieszałość urzędów, do nowego przystępował działania. Z założonemi rękoma chodził Breindt po gabinecie.

— Dopraszam się łaski pana komisarza — rzekł Podobny — uczyniłem, co mi sumienie kazało i rozsądek.

— Tak, tak, bardzo dobrze uczynił Podobny.

— Naraziłem się jednak najniebezpieczniejszemu człowiekowi...

— Nic Podobnemu nie będzie.

— Gdybym teraz powrócił do Brzostka, życia nie byłbym pewny. Upraszałbym więc pana komisarza o pozwolenie zostania tutaj.

— Niech Podobny zostanie.

— Ja wiem, panie komisarzu, lecz przecież ja, nie posiadający tutaj mieszkania, a mający w Brzostku familję, nie mogę w położeniu swojem, po uczynieniu takiej rzeczy, która w mniemaniu mojem posiada niejaką wagę... — spojrzał przez druciane okulary na komisarza.

— Pragnie Podobny wynagrodzenia?

— Wynagrodzenia, gdyby takowe mnie spotkało, nie ośmieliłbym się odrzucić. Przyjąłbym je z należną wdzięcznością i podziękowaniem. Z wynagrodzenia jednak utrzymać się, panie komisarzu, choć nie wiem, jakieby ono było, nie wydaje mi

się możliwe. Egzystencja zaś moja została zachwiana.

— Czegóż Podobny chce?

— Ośmieliłbym się prosić pana komisarza, żeby wynagrodzenie, słusznie, jak mniemam, mi się należące, zostało przesłane familji mojej do Brzostka, z zawiadomieniem, jako nic złego mi się nie dzieje, a ja żebym pod ten czas, nim bezpieczeństwo zupełne nastąpi, mógł znaleźć u pana komisarza zajęcie jakie, któreby mi pozwoliło na poratowanie siebie w tem ciężkiem położeniu. Nie jestem wymagający i w wolnych godzinach, tuszę, dorobićbym sobie potrafił. Rękę do pisania mam włożoną, jak pan komisarz z tych manifestów, w których za wyrażenia nie odpowiadam, może ocenić, a wszystkie paragrafy tak w pamięci mam ułożone, że w postępowaniu mojem pod tym względem omyłki zachodzić nie mogą.

— Dobrze — rzekł Breindt — Podobny mówił, że końmi Szeli przyjechał. Gdzież one są?

— Czekają na mój powrót, panie komisarzu.

— Pokaże Podobny policji, gdzie czekają.

Zadzwonił i wydał polecenia. Konie zaprowadzono do stajen starostwa, ludzi, którzy Podobnego przywieźli, do aresztu.

XX.

Ogłoszenie manifestu miało być początkiem urzeczywistnienia wielkiego planu, który dojrzewał w umyśle Szeli, środkiem dla ponownego skupienia rozpierzchających się sił włościańskich, wstrząśnienia niemi i wlania w nie energji w obliczu zbliżającej się katastrofy. Na czele rozognionych tłumów, ufny w swą osobistą potęgę, powołując się na umowy i zobowiązania władz, mógł stawić czoło komisarzom, działającym, jak zdawał sobie z tego sprawę, bojaźliwie, bez silnych decyzyj i z wyraźną chęcią niedoprowadzania sprawy do ostateczności. W Siedliskach go nie napastowano, a od niego przecież należało zacząć, jeżeli chodziło o szybkie i ostateczne poskromienie gwałtów. Skoro nie chcą z całą siłą chłopską mieć do czynienia, lecz występują tylko w poszczególnych wypadkach, jakby te nie łączyły się z sobą i nie były przejawem powszechnego ruchu; skoro z chłopską masą lękają się zetrzeć, to należy ich do tego zmusić, wzajemne stosunki, w nową wchodzące fazę, wyjaśnić i w rozpoczynającej się walce wygrać, co wygrać się zdoła.

Trza robić to, czego wróg nie chce, aby było robione, choćby nawet przyczyny jego niechęci się nie znało.

Nie przenikał wszystkich arkanów polityki austrjackiej, wiele w niej rzeczy było mu niejasnych, tę jednak prawdę przeniknął.

Austrjacy nie chcą z całą masą chłopską mieć do czynienia. Całą masę chłopską należy na nich rzucić.

Austrjacy nie chcą pokazać się wrogami chłopów. Trzeba ich do tego zmusić.

Bez sztabu, bez pomocników, bez ludzi sobie oddanych, jak Jardys, sam, rozmyślał nad wielkim planem walki z rządem.

Znał swoją siłę bezpośredniego oddziaływania na tłumy chłopskie. Z umysłu jednak nie zwoływał ich odrazu tutaj i natychmiast przed niemi nie stawał. Wobec legend, wśród chłopów krążących, gadek najróżniejszych, wyroków na siebie wydawanych, musiałby w wyjaśnienia się wdawać, odpowiadać na pytania, poufalić się i powszednieć. Po manifestach, gdy te nową staną się strawą, gdy z nich nowe wyklują się legendy, on tłum zbierze i wtedy sam jego widok wystarczy. Wystarczy, że się pokaże. Wystarczą dwa mocne słowa, rzucone jako hasło i jako obelga austrjackim komisarzom. Poza tem sposób przyjęcia manifestów byłby dla niego miarą usposobienia tłumów.

Czekał cierpliwie na powrót Podobnego. Wieczór zapadł. Powinien był już wrócić. Noc przyszła. Nie wracał. Szela kazał pozapalać światła w komnatach i przechadzał się po nich. Sen go odleciał. Nad ranem się zdrzemnął. Gdy się obudził, słońce stało wysoko, Podobnego nie było.

— Kaj on sie zawieruszył?

Posłał konnego na wieś do Siedlisk. Podobny nie przyjeżdżał tam wcale. Posłał do Smarzew i Kuflewa. Nikt go tam nie widział.

Nie widziano nawet wozu, przejeżdżającego w cztery konie.

Przecież w powietrzu się nie rozwiał!

Czy nie pojechał do Brzostka? Zabrał go, jak stał, w kraciastych porciętach i drucianych okularach, nijako mu było przed narodem tak się ukazywać, chciał pewnie się przebrać, surdut czarny przywdziać. Delikatny, na ceregiele uważający. Gada jak guwerner, co pańskich dzieci pilnuje. Czegoby jednak tam tak długo siedział? Posłał do Brzostka, Podobnego tam nie było.

Rozesłał posłańców we wszystkie strony. Wracali z jedną wieścią. Nikt go nie widział. W głowę zachodził. Czas niepotrzebnie tracił. Cokolwiekby się stało, Podobnym nie może głowy sobie nabijać, musi działać. Sam, w pustych ścianach. Nie miał ludzi. Ani Jardysa, ani Kordygi, ani Tatarka, ani Więchów. Ino ten Duda, dobry dla zabawy, na inne czasy, nie na takie, jakie szły. Odszukał Staszka.

— Kaj ty chodzisz? Co sie z tobą dzieje?

— Co sie ma ze mną dziać? Ociec wszystko z ręki puszcza, trza, abym o sobie myślał, wszystkiego nie stracił.

Znalazł dziewczynę i chciał się żenić. Na rabunkach się zbogacił, pokradzione klejnoty umiał między żydami wysprzedać, objęcia Siedlisk i pa-

nowania nad niemi się wyrzekł i czekał, aż czasy spokojniejsze nastaną, aby w karczmie osiąść i szynkować. Upatrzył już gdzie i rozmyślił, jak to wykona. Chłopem już nie będzie, a panem nie zostanie. Karczma najlepszy interes.

Szela zmarkotniał. Innego w pyskby wyrznął, nogami skopał, ale gdy od syna takie rzeczy słyszał, zdjął go smutek.

— Z kogoś ty sie narodził?

— Ociec mnie o to pyta?

— Innyżeś był. Nie takżeś gadał, nie takążeś miał fantazyję przed Siedliskami.

— Fantazyję zawsze miałem jedną. Ino wtedy myślałem, że dostaną mi sie całe te dobra, a tera widzę, że muszę sie małem kontentować. Wolę małe jak nic. Nie bede tego, co mam, puszczał, aby gonić to, czego nie złapię. Już to dobrze widzę. Człowiek żyje chlebem, a nie myśleniem o kołaczach. Z takiego myślenia nikt nie utyje.

— Na bliskość patrzysz.

— Na bliskość lepiej sie patrzy jak na dalekość.

— Wszyscyście wy takie — splunął Szela. — Przez te wasze kurze ślepia przepadają największe sprawy.

Uniósł się.

— Dla ciebie ino żarcie. Inszego pomyślenia nie masz. Takich i wyswobadzać nie warto. Niechby cie do pańszczyzny zagnano, nie żałowałbym. Jaka korzyść z tego, że pańszczyzny odrabiać nie bedziesz? Przez te wasze kurze ślepia sławę mo-

ją tracę! Coście wy za jedne! Aboście do poniewierki, aboście do rozbójnictwa. Abo pana po butach całować, abo go widłami pchnąć. Aboście złodzieje, abo pańszczyzniaki! A co inszego, to już nie wasza głowa i nie wasze serce. Ścierwy jedne! kondle! Pijanice zapowietrzone! Końskie łby! Więcha nie widziałeś?

— To ociec nie wi, gdzie Więch?

— Nie.

— W Tarnowie, w kryminale.

— Więch??

— To ociec i o Łączkach nie wi?

— Co w Łączkach?

— Ociec za wodza sie podaje, a nie wi tyle, co dziad przy kaplicy. Nie pozwala ociec do sie gadać, nikomu ociec dobrego nie da słowa, to ludzie bojają sie do ojca przystąpić, i siedzi ociec w tym zamku jak tabaka w rogu. Myślałem, że choć to ociec wi.

Opowiedział, co się stało.

Szeli twarz szarzała. Gdy Staszek skończył, wstał i rzekł:

— Zaczekaj na mnie.

Chciał w samotności rozważyć, co powinien robić.

— Jo mam swoje zatrudnienie.

— Ty ze mną, Staszek, nie żartuj — rzekł bez uniesienia, ale tak, że w Staszku dech zaparło. Usiadł i posłusznie czekał.

Niedługo Szela wyszedł, w świtce, kaszkiecie i długich butach.

— Każ mi konia przyprowadzić i sobie też. Pojedziesz ze mną. Niech jedzie dwóch chłopów z podwórza, wszystko jedno kto.

Strzemię mu podtrzymano. Gdy siedział na siodle, spojrzał na swój orszak.

— Złaźcie z koni — rozkazał. — Ostaniecie. Ty, Staszek, bedziesz czekał na zamku do mojego powrotu. Ludzi nie mam. Odpadki mi same ostały. Pojadę sam.

Jechał stępa ku wsi, dość od zamku oddalonej. Pierwszy człowiek, którego spotkał, stanął jak skamieniały. Nawet czapki nie zdjął, tylko poprostu zgłupiał. Szela go minął. Wjechał w wieś, między chałupy. Ruszyło wszystko, co żyło. Chłopi, w portkach spiętych rzemieniami, w koszulach otwartych na piersiach, wybiegali z domostw. Widział do szyb przyklejone twarze kobiece. Kłaniano mu się, pozdrawiano. Obojętnie, jakby codzień miał zwyczaj tu się przejeżdżać, podnosił rękę do kaszkietu.

Za wsią ściągnął cugle i jechał zupełnie wolno. Nie oglądał się, lecz wiedział, że za nim wali chłopska ciżba. Na jej czele wjechał do Smarzew.

W Smarzewach tłum wzrósł. Droga między dwoma rzędami chałup była pełna, gdy stanął przed swoją zagrodą.

Zszedł z konia, podał go do potrzymania pierwszemu stojącemu obok człowiekowi i wszedł do środka.

Włażono na płoty. Młode chłopaki wdrapywały się na drzewa, zaglądając, co tam będzie robił.

Dom był porządniejszy od innych, bardziej chędogi, ze studnią, pobielony. Wyszła go witać bosa kobieta w zapasce, trzymając za rękę ośmioletniego chłopca o włosach koloru słomy, zamorusanego jak nieboskie stworzenie.

— To wy tu zamieszkujecie? — spytał Szela.

Od czasu, gdy Smarzewy opuścił, jeszcze tu nie był.

— Wasz syn tu mnie osadził, żeby pustką nie stało. Kazał doglądać. Z mężem siedzę, ale go niema, pojechał do lasu. Wracacie na swoje?

Zobaczył w jej oczach niepokój. Chciałaby tu zostać na zawsze.

— Nie wracam. Przyjechałem popatrzyć.

Przeszedł próg izby.

Na framudze stały doniczki z nierozwiniętemi jeszcze kwiatami, nad dostatniem łóżkiem, z upiętrzonemi poduszkami, wisiały święte obrazy, których za niego nie było. Stół prosty pod ścianą, koło komina garnki na gwoździach. Ogień się palił.

Nie mógłby tu już mieszkać. Zadusiłoby go. Jakby kto dęba chciał wsadzić w tę doniczkę na oknie.

Wyszedł co prędzej. O gospodarstwo nie pytał. Nigdy o nie bardzo nie dbał. Przeszedł się jednak po podwórzu i rzekł do kobiety:

— Siedźcie tu, dokąd chcecie. Nie bede was wyganiał.

Pocałowała go w rękę. Czuł, jaka ciekawość idzie tłumem. Dlaczego ona go w rękę całuje? Co jej wyświadczył? Co do niej gada? I wtedy zwrócił się do ciżby.

— Nie widzieliśmy sie dawno. Przyjechałem obejrzeć tę chudobę swoją, jako że do niej powrócę, gdy dzieło, które zacząłem, dokonane bedzie. Powrócę tu między was, kiedy już od panów bedziemy spokojni, kiedy raz na zawsze bedziemy wiedzieć, że nas nikt na pańszczyznę gnać nie bedzie, że gronta, na których robimy, są nasze, lasy nasze, pastwiska nasze, że te bogactwa, co z naszej krwi i potu wyrosły, do równego są między wszystkimi podziału.

Uczyniło się strasznie cicho.

— Dużo już uczynione, ale nie wszystko. Nie wszystko, bo wola narodu słabieje. Bo jak kto widzi, że ekonom nad nim kijem nie wygraża, to myśli, że nigdy wygrażać nie bedzie. A co sie zaczęło, jeszcze nie skończone! Nie czas na piecu do góry brzuchem leżeć, dziecka na przyzbach iskać, w pułap patrzeć po próżnicy. Zmawiają sie panowie z komisarzami po urzędach. Obiecowują im zapłatę za pomoc przeciw chłopom. W tarnowskim kryminale kości łamią tym, których, bez obrony zostawionych, przyłapali. Kijami do pańszczyzny wszystkich chcą zapędzać. W bydło obrócić pragną naród. I zostanie bydlęciem ten, kto zapomina o kłonicy, o widłach, o cepach, o tym

chłopskim orężu. W bydło sie obrócicie, z głodu pozdychacie, jak sie dacie. Jo sam jeden, bez was, nie poredzę. To wam ino powiadam.

Siadł na konia.

— Mnie nie potrza nic. Karku za was nadstawiam, bo z was jestem. Jakem wszedł do tej chałupy i na łóżko spojrzał, to mnie ciągnęło, aby na niem legnąc i wyspać się. Ale sen nie dla mnie

Ruszono hurmem za nim. Kobiety i co starsi zostawali, inni szli. Tak objechał wsie. Wszędzie tak przemawiał. Nad sam wieczór, tłumem otoczony, wjechał do Siedlisk. Uzbrojeni byli w chłopski oręż, ale takich, którzy mordowali, było niewielu. Ci rozpierzchli się, potworzyli nowe bandy, powędrowali z niemi w inne okolice, albo pili po karczmach. Został żywioł spokojniejszy lub bierny. Z tego jak szli, jak widły trzymali w garści, jak cepami potrząsali, widział, że inni, że niema w nich prężącego się zła, łakomstwa krwi i pasji mordu. Inni byli, nie tacy!

Trzeba wybrać co lepsze, rozpalić i rozjuszyć, brać się do nich inaczej.

Jedno było — nie kazał za sobą iść, a szli. Podwórze, dziedziniec, park, ogród wypełnił się nimi.

Wszedł na pokoje, podwiódł Staszka do okna i rzekł:

— Spojrzyj, jaka moja potęga! Bedziesz mi tu gadał, że nie jestem wódz. Bo o słoninie, jako ty, dniem i nocą nie myślę. Do wszystkich karczem, do żydów, po wódkę posłać, wszystką tu

zwieźć. Niech chlają. Człowiek dopiero wtedy człowiekiem sie staje, gdy sie nachla, jako to bydlę. Taka jest jego natura. Duda! Kaj Duda?

— Był tu, a kaj sie podział, nie wim.

Staszek był oszołomiony. Ojciec do potęgi wracał.

— Duda!

— Mówię ojcu, że tu był.

— Jak był, to jest.

Obszedł zamek. Nie było Dudy na pokojach. Znalazł go w kuchni. Siedział między dziewuchami i babami i bajał z niemi o tem, czego nigdy nie było. Zasromały się wszystkie i przelękły, gdy Szela wszedł, jakby je złapał na czemś najgorszem. Zawołał go ze sobą do swojej komnaty.

— Idź między te ludzie, co sie zebrali. Chodź między nimi i gadaj, jakim jo jest. Tak jakeś do mnie gadał. Użyj se. Bedziesz miał dosyć uszów do słuchania.

— Zrobiłeś, co rozkazałem? — spytał Staszka.

— Jeszcze nie miałem kiedy. Czem ociec żydom za wódkę zapłaci?

— Nie twoja głowa.

— Tych pieniędzy, co ma ociec w pasie, niech ociec nie rucha.

— Zrób, jak ci powiedziałem, i niech cie o nic głowa nie boli.

Pogardliwym i gniewnym wzrokiem przeprowadzał Staszka. Zmarnował mu się syn. Za matką poszedł. Matka też ino w garnek patrzała.

Wyszedł na terasę i przemawiał do zgromadzenia. Powiedział teraz to, co wypisał w manifestach. Kazał, aby każda wieś stanęła osobno i wybrała z pośród siebie zaufanych, którzyby przy nim zawszę byli. Przez nich będzie zwoływał lud, przez nich będzie wysyłał rozkazy, oni przynosić będą żądania.

W oświetlonym księżycem parku chłopi radzili. Kiedy każda wieś miała już swoich delegatów, dali znać Szeli. Znowu wyszedł na terasę i przemówił. Delegatom kazał zostać, wszystkim innym wracać do domu i trzymać się wpogotowiu. Wezwał delegatów na zamek — było z trzydziestu chłopów.

XXI.

Porucznik Redke w sto koni ruszył do Siedlisk. Kołysząc się na siodle, rozmyślał nad swą trudną misją.

Miał dostawić Szelę do Tarnowa bez gwałtu, aresztować go po przyjaźni.

Słońce grzało. Gdy przejeżdżał przez wsie, ludzie wylegali z chałup. Patrzyli, nic nie dając poznać po sobie. Czasem ktoś skoczył i biegł polami naprzełaj. Gdy dojeżdżał do Siedlisk, spotykał gromady w tę samą stronę spieszących chłopów. Tłum ich, uzbrojony w cepy i widły, otaczał zamek. Rozstępował się jednak na rozkaz.

Zamek otoczony został obręczą wojska, oddzielającą go od tłumu. Redke sam, bez żołnierzy, przy szabli tylko i pistoletach, wszedł na pokoje.

W sieni musiał opowiedzieć się warcie i został przez nią zaprowadzony do największej komnaty zamkowej. Czekano go. Na fotelu, w sukmanie, trzymając laskę z siekierką w ręku, siedział Szela, otoczony zaufanymi wsi. Staszek stał obok niego.

— Chcę widzieć Jakóba Szelę — rzekł Redke.

— Zbliż sie pan.

Redke miał wrażenie, że przybywa na posłuchanie do udzielnego władcy. Szela rozparł się,

nogi w wyłojonych butach wyciągnął i laskę kręcił w ręku. Redke stanął przed nim i dwa palce podniósł do czaka. Nie było krzesła, na któremby mógł usiąść.

— Witom! — rzekł Szela.

— Z rozkazu pana komisarza Breindta von Wallerstern wzywam pana, abyś się udał ze mną niezwłocznie do Tarnowa.

— Kto? Jo?!

— Panie Szela...

— Naczelnik jestem, a nie pan Szela. *Verstanden?*

Porwał się i uderzył laską w podłogę.

— Odkąd to pan Breindel ma mi co do ozkazywania? Do wydawania rozkazów jestem jo. Prawo i rozkaz tu — to jo. Rozumisz pan? Jak pan Breindel ma do mnie interes, niech przyjedzie. Nie dalej z Tarnowa do Siedlisk, niż z Siedlisk do Tarnowa!

— Niech pan mnie nie zmusza do użycia siły — rzekł Redke.

— Spróbuj pan! Widziałeś lud, co sie zbiegł?! Spróbuj!

Redke miał rozkaz unikać starcia z chłopami. Powinien był dokonać aresztowania tak, aby wywołać wrażenie, że Szela dobrowolnie z nim jedzie. Zmienił ton i począł perswadować.

Musi wykonać rozkaz, lecz pragnie uczynić to w sposób, który nikomu ujmyby nie przyniósł. Komisarz Breindt ma wielki szacunek i przyjaźń dla Szeli. O aresztowaniu niema mowy. Jest tylko

prośba, aby udał się do Tarnowa. Swojemi końmi. Może zabrać z sobą, kogo chce.

— Jo do Tarnowa jeździć nie bede. Nie mam czasu na takie rozjazdy.

— Stawiasz pan opór władzy.

— Tu nima innej władzy jeno moja.

— W całym kraju jest władza jego c. k. mości.

— Cysorzem tu jestem jo! Inszego cysorza tu nima! *Verstanden?*

— Obrażasz pan majestat.

— Nijakiego majestatu nie obrażam. Gdyby nie mój majestat, toby tamtego majestatu już nie było. Jo tu koronę cysorza uratowałem. Zdarliby mu ją polscy panowie z głowy, gdyby nie jo. Przychodziliście wtenczas do mnie, żebym was ratował. Po łapachście mnie całowali. Podchlebialiście mi. Obiecowaliście. Papiry mam od was z obietnicami. A teraz, jak niczego już sie nie boicie, do hareštu mnie brać chcecie?! Poczekajcie, kondle jedne!

Redke zacisnął zęby.

— Ostatni raz pytam, czy pan ze mną uda się dobrowolnie do Tarnowa?

— Ostatni raz powiadam — wracaj pan, skądeś przyszedł.

Redke nie rzekł już nic. Wyszedł z sali.

— Lud mnie nie da? — zwrócił się Szela do zaufanych.

Laska okuta w siekierkę dygotała mu w ręku.

— Luda zebrało się dużo — odpowiadali niepewnie. — Ale co lud na wojsko poredzi?

— Są tacy, co pójdą na wszystko — mówili inni. — A jak pójdą, to resztę pociągną.

— Bedzie bitka.

— Co ociec zrobi? — rzekł Staszek. — Z Austryją bedzie ociec wojował? Z cysorzem? Czego nas tu ociec zwołał? Żeby nas razem z ojcem pognano do kryminału? Trza było iść po dobroci, jak ojcu nakazował. Byłoby lepiej.

— Byłoby lepiej, żeby zamiast ciebie był tu Kordyga, albo Jardys. Już ten Austryjakby nie żył.

— A ociec sam nie mógł?

— Sam nie mogę nic.

Puszczając na salę austrjackiego oficera, sądził, że zebrani przedstawiciele wsi trupem przez okno zamku go wyrzucą. Wtedy wszczałby się bój z pozbawionem komendy wojskiem. Gdy jednak Redke wszedł na salę, poznał, jak zupełnie się omylił. Pomiędzy zaufanymi byli zbóje, znani z krwawych czynów. Ale ani jeden nie zawrzał. Dusza się ich odmieniła. Czuł, że gdyby krzyknął: Bier go! niktby się nie ruszył. Siła jego przestała iść w innych.

A na salę wszedł Redke z żołnierzami.

— Ostatni raz pana wzywam — rzekł.

Wtedy Szela obciągnął sukmanę, pomacał pod nią pas. Wsparł się silnie o laskę z siekierką.

Było mu tak, jakby mu ktoś wór kartofli znagła zarzucił na plecy. Chyliło go ku ziemi.

— Idę z panem. Byłem wiernym sługą cysorza, więc i teraz woli jego nie bede sie przeciwić.

— Byliśmy o tem przekonani — rzekł Redke.

— Koń dla mnie jest? Piechtą przecież nie pójde. Choć wolałbym wozem.

— Pojedzie pan końmi z Siedlisk. Jak pan chce.

Szela usiadł znowu w fotelu.

— Idźcie i czekajcie na mnie w sieni. Chcę jeszcze coś panu powiedzieć, panie poruczniku.

— Słucham pana.

— Kogo pan ostawi w Siedliskach?

Redke nie posiadał na to instrukcji.

— Kogoś ostawić trza — mówił Szela. — Inaczej wszystko rozkradzione tu bedzie. Gdyby nie jo, nic nie ostałoby z tego, co pan tu widzi. Najwięcej nakradł Chomiński, komisarz austrjacki. Był tu za pierwszej bitwy. Jeszcze krew sie lała, a już kradł po pokojach. Łyżki śrybrne pozabiroł. I zabrał taką rzecz, jakiej nigdzie na świecie nima — dzieło śtuki.

— Co? — spytał Redke, nie rozumiejąc.

— Obraz tu taki był, starszy od tego zamku. Może miał pięćset lat, może więcej. Nikt dobrze nie wi. Po pierwszy ten obraz rękę ściągnął. Trza u niego rewizyi dokonać i odebrać. Nie chcę, żeby to na mnie było. Jo stąd nie wzionem nic. Tak jak tu wszedłem, tak stąd wychodzę.

— Kogóż pan radzi zostawić?

— Jeden jest tylko taki w okolicy, co go sie bedą bojali. Kamocki z Lipek. Przy nim nikt nic

nie ruszy. Przy nim nikt sie nie pożywi. Oni czekają, ino my stąd pójdziemy. My za próg, a cała chmara tu sie wwali. I kraść bedą. On nie da.

— Możeby posłać po niego? — spytał Redke.

— Poślij pan.

Tłumy chłopów czekały za łańcuchem żołnierzy. Zwołani na wieść, że wojsko idzie, zbiegli się zewszechstron i schodzili się jeszcze. Gwar ich bił w okna zamku. Szela słuchał i machnął niechętnie ręką. Nie było w tym gwarze grozy, nie czerwienił się ogniem i krwią.

Odgrażają sie po próżnicy! Niechże Kamocki nad nimi panuje, kiedy takie!

Redke jednego z wprowadzonych na salę żołnierzy posłał po Kamockiego. Przeszedł wraz z Szelą do pokoju, gdzie były krzesła. Usiedli obydwaj, już nic nie mówiąc do siebie. Jedno mieli tylko pragnienie, aby wszystko jak najprędzej się skończyło.

Gdy rozległ się turkot, Szela wyjrzał przez okno. Kamocki nadjechał sam. Chłopi usuwali się z drogi, co bliżsi zdejmowali czapki.

Słychać było stuk jego kuli, rozlegający się echem po roztworzonych naoścież komnatach. Stanął w progu. Ujrzał Szelę i zatrzymał się. Mimo że Szela najwidoczniej był aresztowany, a zamek otoczony był wojskiem, po Kamockim ciarki przeszły. Nie widział Szeli od nocy w Siedliskach. Stanęła mu w oczach ta noc. Ten człowiek ją sprawił. Drżał, patrząc na Szelę. Słowa więzły mu w gardle.

— Nie bój sie, panie Kamocki — rzekł Szela, nie podnosząc się z krzesła.

Opanował się.

— Czegóż mam się bać? — burknął.

— Nie bój sie pan i siądnij.

Redke przedstawił mu się i w kilku słowach wyjaśnił, poco go wezwał.

— Naznaczyłem pana — przerwał Szela — abyś tu ostał i zarządzał, dopóki co postanowione nie bedzie. Do nikogo to tero nie należy.

— Należy do prawych właścicieli — rzekł Kamocki.

— Prawy właściciel jestem jo, bom to zdobył. Wojnę prowadziłem z wami regularną, cysorza miałem za sobą. Gdybym tu siedział, porządekbym zrobił, jakiegoście jeszcze nie widzieli. Pan, panie Kamocki, jeżelibyś nie zginął, pod kaplicąbyś siedział i rękębyś wyciągał, bo o jednej nodze do chodzenia na chłopszczyznę nie byłbyś zdatny. Zamiast pańszczyzny chłopszczyznaby nastała, panie Kamocki, żebyś wiedział! Z waszemi pannami parobki by sie zabawiali, jak wy z wiejskiemi dziewuchami zabawialiście sie po dworach. Całowałbyś Szelę w rękę, panie Kamocki, jak siebie całować kazałeś! A buntowałbyś sie, wrzepiłbym ci tyle kijów, ilebym chcioł!

Zęby mu błysnęły. Rżnął laską o ziemię.

— Żebyś wiedział, panie Kamocki!

— Kiedy to szlachta was mordowała?! Kiedy?! — krzyknął Kamocki, zalewając się krwią. — Nie mieliście pomocy ze dworu?! Nie chodziły

panie do waszych dzieci, kiedy były chore?! Nie ratowano was w nieszczęściu?! w potrzebie?!

— Tere fere kuku! Strzelo baba z łuku! — zaśmiał się Szela. — Panie dziecka chłopskie kurowały, rycynusy im przynosiły! Krowę też kurujesz, panie Kamocki, bo ci mleko daje. I lepiej ją kurujesz, bo krów mosz mniej! Chłopskich dziecków więcej sie lęgnie jak cieląt! Chłopu nie trzaby było waszego kurowania, waszego ratunku. Samby sie kurował i ratował bez waszej łaskawości! Takibym porządek zrobił! Nie zrobiłem, niechże wasz panuje do czasu! Wolę, że wasz, niżby rozpirać sie tu miały takie, co mnie opuściły. Powidz więc tym nowym, prawym właścicielom, panie Kamocki, że nic stąd nie wzionem, tak stąd wychodzę, jak wszedłem.

— Owczarnię całą wysprzedałeś!

— Służbę musiałem opłacić, ludziom dać żryć! Rządzenie kosztowna rzecz. Wy szlachta — powinniście to wiedzieć. Co sprzedałem, było moje, bo zdobyłem. Panem tu byłem jo! Ale nie wzionem nic. Jak bedzie czego brakowało, szukajcie u austryjackiego komisarza, Chomińskiego. Nic mu nie darujcie. On ukradł najważniejszą tu rzecz, dzieło śtuki!

— Jakie dzieło sztuki? — spytał Kamocki.

— Jeździliście tu, jedliście, pili, a nie widzieliście najważniejszego. Tu wisiało dzieło śtuki, obraz, co wartał więcej jak Siedliska i pana Lipki. Nikt z was, szlachty, nie wiedział. Głupiaście szlachta! Gdybyście nie byli głupie, nie dalibyście

sie wyrzynać jak barany. Baran tyżby nie wiedział! To wam ino powim, panie Kamocki. Uważaj więc pan, że było tu dzieło śluki, które znajduje sie tero w rękach komisarza Chomińskiego.

— Skądże wy wiecie, że było takie dzieło sztuki? — spytał Kamocki.

— Jo już ta dobrze wim. Nie takim baran, jak wy.

— Cóż ono wyobrażało?

— Obraz.

— Dzieło sztuki może wrócić — buchnął Kamocki, w którym nagle wszystkie nerwy jakby pękły. — Co skradzione można odnaleźć! Co spalone, można odbudować! Ale nie wróci nikt życia tym, którycheś ty pomordował, kacie, piekielniku! Nikt nie wróci życia Boguszom, Sulmierskiemu, Osieckiemu i tym wszystkim! Bodajeś tę krew wiecznie miał przed oczami, bodaj ci jej wspomnienie skonać nie pozwoliło!

— Nie krzycz pan, bo ni mosz czego — rzekł Szela. — Ciesz sie, żeś zdrów i cały. Jo nijakiej krwi przed oczami mieć nie będę, choćbyś całą noc krzyczał. Nie nato pana wezwałem, abyś mi bajki gadał, jak Duda, ino żebyś miał na ten zamek baczenie, dokąd sie co nie postanowi.

— Wymordowałeś ludzi, zniszczyłeś Siedliska, zniszczyłeś cały kraj, w krwi zatopiłeś co najlepsze, a teraz będziesz niewinnego udawał i o dzieła sztuki będziesz się troszczył!

— Nikogo nie udaję i niczego nie żałuję. Tacy jak ci, co ich pomordowałem, porodzą sie znowu, końca z nimi nie bedzie. Mała szkoda. Nie poto pana wezwałem, abyś kazania gadał. Na słuchanie kazań mam czas. Jakże więc pan od rabunku i nieporządku to zabezpieczysz?

— Ja tu przecież sam mieszkać nie mogę — rzekł Kamocki.

— Nic panu sie nie stanie, nie bój sie. Kiedy Szeli tu nie bedzie, włos ci nie spadnie z głowy. Naród polski już taki jest. Abo za Szelą idzie, abo za Dudą. Nie bój sie pan. I służbę znajdziesz, i posłuszeństwo. I wszystkiego ci zapomną i rozesławią, żeś taki, jakiego świat nie widział. Bylebyś otoczenie miał dobre, to gront. Ostaw sobie Dudę do pomocy, starczy ci, żebyś rządził.

— Lipek nie mogę opuścić.

— Daje mu sie do ręki władzę i wszystko — zwrócił się Szela do Redkego, — a jemu Lipki w głowie. Widzisz pan, panie poruczniku, jakie one są! Nawet taki, co jeden sie nie dał. Ano to trza zrobić inaczej. Dom pozamykać, zaryglować, żołnierzy ostawić, żeby pilnowali, i z Tarnowa z cyrkułu kogoś przysłać, aby doglądał.

— Najlepiej — rzekł Kamocki — bo ja rzeczywiście Lipek zostawić nie mogę.

Uczyniono, jak powiedział Szela. Gdy Redke zarządzenia wydawał, Kamocki przekładał mu jeszcze, że dojeżdżać z Lipek będzie.

— Teraz jednak zostać nie mogę. I cóżbym tu robił? — sumitował się.

Powóz w dwa konie zaprzężony stał przed zamkiem. Szela ukazał się na terasie w asyście

Redkego i żołnierzy. Za nim szli, ociągając się, zaufani i Staszek. Nie obejrzał się na nich.

— Szela! Szela! naczelnik! — wołał ten i ów, potrząsając cepami.

Nie rzekł nic, wsiadł do powozu, koło niego Redke.

— W drogę! — krzyknął na furmana.

Powóz ruszył, otoczony przez konnicę. Poniósł się w drogę ku Tarnowu.

Cała ludność wyległa ujrzeć go, gdy wjeżdżał. Tyle o nim krążyło legend i taka od nich biła groza, że choć otoczony był żołnierzami i miał przy sobie austrjackiego oficera, ludzie patrzyli z lękiem.

— Szela! Szela! — szedł szmer.

Brzmiało już to nazwisko jak obelga.

Spyszniał, widząc takie tłumy. Podniósł rękę do kaszkietu i rzekł donośnie:

— Witom!

Kamień świsnął mu koło ucha. Uderzył w konia po drugiej stronie jadącego żołnierza.

— Zbój! Złodziej! Szelma! Rabacyi naczelnik! — zerwał się grzmot głosów.

Uśmiechnął się pogardliwie. Furman zacinał konie, żołnierze dobyli pałaszy.

— Na szubienicę z nim! Na szubienicę!

Tłoczono się koło starostwa. Gdy wyszedł z powozu, żołnierze tak go otoczyli, że widać go nie było. Prowadzony przez pokoje biurowe do gabinetu Breindta, stanął jak wryty.

— Podobny!

Podobny podniósł się od stolika i, poprawiwszy druciane okulary, obrzucił Szelę spojrzeniem od stóp do głów.

— Jakże wy mówicie do mnie? — zapytał.

Szelą zatrzęsło. Redke przy aresztowaniu nazywał go panem. Tak całą drogę zwracał się do niego. A ten pisarczyna, wywłoka, co od chłopów za skrobanie na papierze grajcary pobierał, śmiał go mianować, jak kogoś ze stanu niższego!

— Ty kondlu jeden! Naczelnikiem ci byłem, a teraz jestem ci wy? Papiruśniku! Łajdusie! Okularniku zapowietrzony! Nauczę cie moresu!

Kanceliści uśmiechali się przy stolikach, radzi z postponowania nowego kolegi.

— Wypraszam sobie podobne traktowanie — jąkał Podobny, cofając się pod ścianę.

— Skradłeś mi papiry, austryjacki lizusie, i tuś je przywiózł! A moje konie kaj?

— Niech o to pan spyta pana starosty. Ja spełniłem, co nakazywał mi obowiązek.

— Poczekaj, mój obowiązkowy. Jeszcze ty mnie popamiętasz!

Pogroził mu laską i wszedł do gabinetu Breindta.

— Cóż, panie starosto? Widzieliśmy sie przed rabacyją, widzimy sie po rabacyi. Mnie przywieziono do Tarnowa, pana powinni zawieźć do Widnia, ale dokądby z Widnia pojechał cysorz?

Breindt uśmiechnął się kwaśno.

— Myśmy we trzech to dzieło wykonali, a tu kamieniami ciskają i krzyczą: rabacyja! W cyso-

rza godzą, panie komisarzu, w głowę ukoronowaną. Porządek psuje sie w naszej Austryi. Cóż pan na to? Jo bojący sie nie jestem, na pana jednak miejscu — bym się bał.

— Niechże pan usiądzie — rzekł Breindt.

— Siądnąć mogę, choć mnie już od siedzenia gnaty bolą. Nie wim, co postanawiacie, ale wy widzcie, że jo skórą sam płacić nie bede. Podzielimy sie zapłatą.

Breindt uspokoił go.

O aresztowaniu mowy niema. Oddany zostaje tylko pod straż, a to z tego powodu, aby osoba jego była zabezpieczona, żeby mu coś złego się nie stało.

— Czegoście mnie tu przyprowadzali? W Siedliskach straży waszej nie potrzebowałem.

— Polityka się zmieniła.

— To wyście tero przez politykę tak wybieleli? Psiakrew! W co polityka może człowieka przemienić!

— Dążymy do uzdrowienia stosunków.

— Przypuśćcie i mnie do spółki. Razemeśmy mordowali, bedziemy razem uzdrawiali. Z takimi uzdrawiaczami jak jo, pan i cysorz, Galicyja uzdrowieje na wszystkie czasy.

— Osoba j. c. k. mości, panie Szela, do tak poufałych rozmów się nie nadaje.

— Poufałości mi z nim nie trza, ale gadam, co wim. Gęby nikt mi nie zamuruje.

Spostrzegł, że z nim się jeszcze liczą, i hardział coraz bardziej.

Dano mu mieszkanie koło starostwa, woźnego do usługi, przynoszono kawę i dwie bułki rano, obiad w południe z deserem, na wieczór knedle. Przy drzwiach postawiono straż. Zainteresowała się nim pani komisarzowa. Osoba ta, nienawidząca polskiej szlachty, że jej nie przyjmowała, a rozczytana w niemieckiej literaturze romantycznej, dopatrzyła się podobieństwa w tarnowskim więźniu do Wilhelma Tella. Zapragnęła być jego aniołem opiekuńczym. Pewnego rana przysłała mu szlafrok i pantofle. Jedno i drugie wyrzucił przez okno.

— Nakradli sie, łyżki śrybrne z całej okolicy zebrali, dzieło ślutki wzieni, do bogactwa przeze mnie doszli, a tero mi stare szmaty w podarunku przysyłają! Szmaciarze! Niech ich choroba!

Nudził się. O losie swoim, ani o tem co w powiecie się działo, dowiedzieć się nie mógł. Wreszcie odwiedził go Staszek.

— Jakże tu ojcu?

— Jak ma być? Na niemieckich betach sypiam, na austryjackiem żarciu jestem, konfitury mi dają i ulęgałki w cieście.

— Nie głodny ociec, to najważniejsza.

Do Siedlisk Kamocki dojeżdża. Ma je objąć Bogusz, krewny zabitego dziedzica. Po wsiach źle, jeść niema co. Co kto wziął, zdążył przepić, głód czeka, na Szelę pomstują, że Austrjakom się zaprzedał. Austrjacy na pańszczyznę chłopów gnają, tam nawet, gdzie dziedzic chce ją darować. Chłop musi pod dozorem żołnierskim w pola wy-

chodzić. Panów, co uciekli do miasta, pod bagnetami do majątków sprowadzają i pilnują, żeby wszystko było po dawnemu, i jeszcze gorzej. On, Staszek, musi wyrzec się karczmy, bo chłopiby mu ją spalili, tak imię Szeli jest znienawidzone. Umyślił więc z tem, co posiada, przenieść się w inne, dalekie strony. Niech ojciecby co dołożył, a założyliby gdzie daleko karczmę razem. Alboby świniami handlowali. To też jest dobry interes.

— Nahandlowałem sie już świniami dosyć — rzekł Szela.

— Tych pieniędzy, co ociec ma w pasie, ociec nie rucha?

— Nie duża ta tego jest.

— Pietnaście tysięcy ryńskich! Co też ociec gada! Nic z tego ociec nie ruszył?

— Nie.

— To wyjedziemy w inne okolice i założymy interes.

— Niewiadomo, czy mnie puszczą.

— Gdzieby ojca nie puścili! Jeśćby kto ojcu cięgiem darmo dawał? Radzi bedą, jak sie ojca pozbędą.

Nie mylił się. Szela ciężył starostwu i władzom miejscowym. Nie wiedziano, co z nim począć. Zbyt wiele wiedział, aby go można było puścić na wolność, a że i ferment wśród chłopów nie ustawał, obawiano się, aby ruchu nowego, teraz już przeciw rządowi, nie wywołał.

Po długich korespondencjach z Wiedniem otrzymał darowiznę, ziemię i dom na Bukowinie.

— Ano więc ostane dziedzicem — rzekł, gdy go o darowiźnie zawiadomiono. — Niechże i tak bedzie.

Wyjeżdżał z Tarnowa o świcie, chyłkiem. Miasto spało. Mało kto przechodził ulicą. Breindt, narzuciwszy na siebie szlafrok, wyszedł go pożegnać.

Szela usadowił się z Staszkiem na przeznaczonej dla siebie bryce i, wyciągnąwszy rękę do Breindta:

— Dziękuje za wszystko pieknie. Kłaniaj sie pan ode mnie austryjackiemu cysorzowi.

I, gdy bryka ruszyła, splunął.

— Austryjackie łajdusy! Oszwabiły mnie!

— Niech ociec bedzie kontent, że tak sie skończyło. Mało to jeszcze ojcu?

— Tyś z bele czego kontent.

— Gront i dwór to nie bele co. Ziemia tam, mówią, dobra. A pas ociec ma?

— Mom.

Przejeżdżali koło kryminału. Do krat przywarte były wyglądające na świat głowy ludzkie.

— Szela! Szela! — krzyczano.

Spojrzał w te kraty i poznawał krwawych swoich kompanów.

— Kaj jedziesz? Uciekasz? A nas ostawiasz tutaj? Austryjakomeś nas zaprzedał! Żeby cie morowa zaraza! Hyclu zapowietrzony! Psiawiaro!

Odwracał oczy i kopnął woźnicę nogą w plecy, aby jechał prędko.

— Kondle jedne! Porządku nijakiego nimo, żeby takim zuchwalcom pozwolono z za krat wyzierać.

— Przez ojca oni za kratami siedzą.

— Stul pysk, bo cie za łeb z tej bryki zruce i do majątku ze mną nie dojedziesz!

— Bo ociec tak gada, jakby ociec nigdy z nimi nie był.

— Nie w tem rzecz, że z nimi byłem, ino w tem że teraz z nimi nie jestem. Jak ten pies z za kraty nie wyglądam, żeby mnie z nimi równać. Rozumisz?!

KONIEC.

KSIĄŻNICA PODLASKA im. Łukasza Górnickiego
1341 A
KS. ARCHIWALNY
w Białymstoku

Wojewódzka Biblioteka Publiczna
3937
Białymstoku

STANISŁAW SZPOTAŃSKI

ODLOTY

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

CENA ZŁ 7.—

Książka piękna, niezwykle zajmująca, szlachetna w tendencji, pisana językiem mocnym, żywym a nieskazitelnym.

Oświata Polska

W „Odlotach" skusiły wyobraźnię autora pierwsze lata niewoli pod rządami Paskiewicza. W ich odmalowaniu talent artysty pióra święci pełne zwycięstwo. Bohaterowie i bohaterki „Odlotów" drgają życiem, to budząc podziw, to łzy wyciskając, trwożąc lub smucąc. To rzecz odczuta do głębi, przeżyta sercem tak, jakby autor w wypadkach sam uczestniczył.

Rzeczpospolita

MACIEJ WIERZBIŃSKI

WOLNOŚĆ

POWIEŚĆ
Z CZASÓW ODRODZENIA WIELKOPOLSKI.

CENA ZŁ 7.50

W powieści swej zebrał autor tak bogaty materjał faktyczny, tak umiejętnie wplótł w nią różnobarwną nić polityczną i tyle odsłonił przed nami „tajemnic" konspirującej wolności, że czytamy tę powieść jak studjum historyczne.

Kurjer Warszawski

Powieść Wierzbińskiego odznacza się żywością postaci w niej uczestniczących i plastyką scen patrjotycznych. Z kart jej tchnących umiłowaniem serdecznem ojczyzny bliżsi nam będą okrwawieni witezie wolności, niż z najwierniejszych relacyj drobiazgowej kroniki.

Rzeczpospolita

WOLNOŚĆ

3237